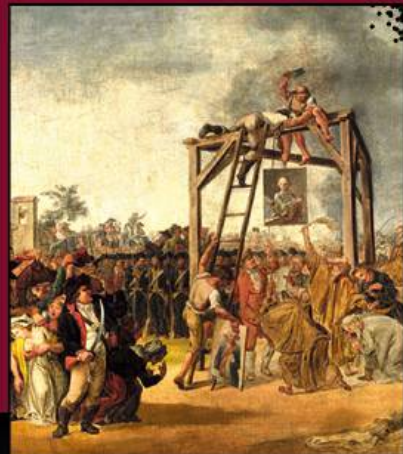


**Lud Warszawy
wymierzył biskupom
sprawiedliwość.
A szubienica była
odpowiedzią na zdradę**



PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ

CZŁOWIEK ZIOBRY UCIEKŁ NA BIAŁORUŚ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299





MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

WŁOCHY – GOŚĆ HONOROWY

targiksiazkiwarszawa.pl



MIĘDZYNARODOWE
TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE

WŁOCHY GOŚĆ HONOROWY 2024

23-26 maja 2024 r.
PKiN i plac Defilad

Organizator



madeinitaly.gov.it



Ministero degli Affari Esteri
e della Cooperazione Internazionale



MINISTERO
DELLA
CULTURA



Ambasciata d'Italia
Varsavia



ITALIA TRADE AGENCY



ESPOSIZIONE
DI TORINO
E LA CULTURA



Italiana
in Europa



AIE
Associazione
Italiana
Editori

Gość Honorowy



MARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Małgorzata Kidawa-Błońska



Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Minister
Spraw Zagranicznych



Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy

Patronat honorowy

Patronat honorowy



Wydarzenia towarzyszące

Patronat medialny



Patronat medialny





Zielony Ład zamiast czarnego luda

„Precz z zielonym wałem!”, krzyczał na wiecu w stolicy Piotr Duda, szef Solidarności. I to był jeden z najdelikatniejszych epitetów, którymi obrzucano Zielony Ład, rząd Tuska i Unię Europejską. Wśród potoku bredni i kłamstw wyróżnił się reprezentant rolniczej Solidarności, który ogłosił, że Polacy są jednym z najbardziej wykształconych narodów świata. Słuchając go, żałowałem, że tak niewielu z tej grupy przyjechało do Warszawy. Nie ma co udawać w imię poprawności politycznej, że głupota, jaką bez żenady popisywali się kolejni przemawiający na demonstracji, jest czymś innym niż pokazem wtórnego analfabetyzmu i prymitywizmu. Mamy z tą częścią narodu problem, bo to przecież kilka milionów ludzi. Trudno też napisać, że świadomie i z własnego wyboru należą do społeczeństwa. Bo nie uznają żadnych zasad, na których buduje się podstawowe więzi między ludźmi. Zmanipulowani przez polityków i Kościół traktują ludzi inaczej myślących jak osobistych wrogów. O Zielonym Ładzie nie są w stanie powiedzieć nawet kilku sensownych zdań. Kiedyś straszono czarnym ludem, teraz zastąpił go Zielony Ład. Nie znaczy to, że trzeba umierać za Zielony Ład w tym wydaniu, które akceptował rząd PiS, a reklamował Janusz Wojciechowski, pisowski komisarz rolny Unii. Brukselska biurokracja narobiła wiele głupot, które doprowadziły do masowych protestów w całej Unii. To trzeba zmienić. Nie wyrzucając jednak tej idei do kubła.

Piotr Duda, choć ciągle podkreśla swoją związkowość, jest cwany politykiem. Tak silnie związanym z PiS, że przebiją wielu zawodowych polityków tej partii. Lubi mówić o picowanej demokracji w Polsce. A sam od wielu lat jest przyspawany do stołka przewodniczącego Solidarności. Jakoś mu wielokadencyjność nie przeszkadza w demokracji związkowej.

Jaki Duda jest, każdy widzi. Ale o Solidarności, związkowej przybudówce PiS, ciągle słyszymy. Związki zawodowe są, a przynajmniej powinny być, ważną częścią systemu politycznego. Lecz jako byt odrębny od świata politycznego. Związek Solidarności jest tego zaprzeczeniem. A OPZZ, od czasu gdy Andrzej Radzikowski zastąpił Piotr Ostrowski, nie wykazuje wyraźniejszej aktywności. Tak to jest, gdy związkami próbują manipulować politycy. W tym przypadku były to Razem i Nowa Lewica Czarastego.

Jeszcze w maju ukażą się dwie kolejne książki PRZEGLĄDU. Pokażemy też naszą zmodyfikowaną stronę internetową. Bardzo więc proszę o wspieranie tego, co robimy, darowiznami.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



**PRENUMERATA
POCZTOWA
PRZEGLĄDU**

**Jeden egzemplarz
w prenumeracie
7,50 zł**

**97,50 zł –
III KWARTAŁ**

**195 zł –
III, IV KWARTAŁ**



**Zamówienia są przyjmowane
do 25 maja 2024 r.
w placówkach pocztowych
lub u listonoszy albo drogą
elektroniczną pod adresem:
prenumerata.poczta-polska.pl**

W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Zaufany człowiek Ziobry i Piebiaka**
Szmydta zbudowała grupa hejterska
- 16 **Kiedy lud wymierza sprawiedliwość zdrajcom?**
– rozmowa
z prof. Stanisławem Filipowiczem
- 20 **Kopernik wstąpił do PiS**
„Sławy” z Akademii Kopernikańskiej
- 24 **Afera klasy premium**
Obajtek chciał grać jak zawodowcy
- 28 **Już tylko złomiarze**
Porcelana Karolina była ostatnia
- 31 **Wrocławskie klimaty wyborcze**
Przepychanki i bratobójcze walki
- 54 **Konserwatyzm, katolicyzm i kapitalizm**
A gdyby to Spytkowice były Polską?

ZAGRANICA

- 10 **Spadkobiercy Żelaznego Feliksa**
Co potrafi białoruskie KGB
- 32 **Rumunia buduje nową stolicę NATO**
Detronizacja Ramstein

HISTORIA

- 36 **Pomijane walki żołnierzy,**
którzy szli ze Wschodu

KULTURA

- 40 **Spotkanie strachu ze strachem**
– rozmowa z Lidią Dudą
- 44 **Reżyser, czyli kto?**
Jubileusz Grzegorza Mrówczyńskiego
- 46 **8 i pół Urbana**
Spektakl Łażni Nowej
- 48 **Culturalia**
- 66 **Andrzej Will (1914-1992)**
110. rocznica urodzin artysty

EKOLOGIA

- 49 **Ekościema linii lotniczych**
Mrzonki o czystym lataniu

ZWIERZĘTA

- 51 **Czujny jak żuraw**
Ptak symbol

OBSERWACJE

- 58 **Roszczeniowi czy świadomi**
Zetki na rynku pracy
- 60 **Jak pokochałem kartacze**
Smaki Podlasia

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Zielony Ład zamiast czarnego luda
- 15 **Roman Kurkiewicz**
Sędzia, hejter, szpieg
– baśniowa pałka na tamtych
- 19 **Jan Widacki**
Obok orła znak Pogoni...
- 27 **Andrzej Romanowski**
Partyni
- 35 **Tomasz Jastrun**
Pączki w maśle
- 47 **Wojciech Kuczok**
Wielkie żarcie na Zabłociu

40 KULTURA



SPOTKANIE STRACHU ZE STRACHEM

– rozmowa z Lidią Dudą



49 EKOLOGIA

EKOŚCIEMA LINII LOTNICZYCH

Mrzonki o czystym lataniu



CZUJNY JAK ŻURAW

Ptak symbol

Projekt okładki: Iza Mierzejewska





f Dlaczego prawica kocha Trumpa

Kochają pieniądze, bezkarność i możliwość okłamywania milionów ludzi, którzy intelektualnie są zbyt bezbronni, żeby wiedzieć, że są oszukiwani i wykorzystywani. Kochają też Putina.

Jacek Olejnik

To proste – oprócz populizmu Trump ma jeszcze jedną zaletę. W nosie ma, czy w danym kraju jest praworządność, czy jej nie ma, grunt, że kupują u niego. Na własnym podwórku można więc robić wszystko bez obaw o reakcję Trumpa. Z UE tak się nie da, ale i tu Trump przychodzi z pomocą, widząc w UE wroga, którego trzeba rozmontować. W każdym przypadku Trump jest pisowcom na rękę.

Tomasz Majewski



f Gra o życie, gra o tlen, gra o tron

Przy okazji prezentacji kandydatów na europosłów nasuwa się myśl, że 20 lat temu Unia była innym tworem, niż jest obecnie. 20 lat temu Unia potrafiła jeszcze zrobić coś dobrego dla szarego obywatela wbrew interesom kapitału. Obecnie jest sterowana przez ludzi całkowicie oderwanych od rzeczywistości i grających tylko na siebie, ewentualnie na lobbystów. Dziś coraz głębsze ruchy i pomysły zamiast pomagania całej wspólnotie i poszczególnym krajom członkowskim powodują to, że Unia strzela sobie w kolano – od superdrogich rozwiązań dotyczących Zielonego Ładu, przez wyśrubowane normy w rolnictwie i przemyśle spożywczym, po nałożone na Rosję sankcje, które niszczą gospodarki krajów wspólnoty. Nie ma co się dziwić, że retoryka antyunijna znajduje coraz więcej słuchaczy.

Michał Czarnowski

f Najstabsze ogniwa

W XXI w. lewica nie ma już zadań. Nie ma typowego niewolnictwa, mamy szkołę, pracę. W zasadzie zniknęło pole do jej działania. Politycy niejako z automatu przekształcili się w partie propopulistyczne, prawicowe, co dzisiaj widać wyraźnie. SLD czy PO – żadna różnica. Śmierć lewicy nastąpiła osiem lat temu, kiedy zaczęły się rządy PiS. Pozostała tylko nazwa, ale czasy i obyczaje się zmieniają, potrzeby też.

Danuta Kansy



f Quo vadis lewica?

Partie polityczne są potrzebne w społeczeństwie obywatelskim tylko jako ośrodki analityczno-doradcze. Partie polityczne we władzach przekształcają się w mafie i działają jak mafie. Do władz powinniśmy wybierać swoich przedstawicieli, zależnych od wyborców mandatem. Odkąd świadomie rozróżniam lewica-prawica, zawsze byłem bardziej na lewo, w stronę PZPR czy SLD. W tej chwili SLD to w moim rozumieniu klientystyczna partia karierowiczów, jak PZPR w drugiej połowie lat 70. Potwierdzeniem tego są informacje, że trzy czwarte posłów SLD jest na posadach rządowych. Z jednej strony, dowodzi to, że trójkąt władzy jest pustą nazwą, oszustwem. A z drugiej, ukazuje, że klientelizm jest wpisany w ustrój zwany demokracją, bez względu na opcję polityczną mafii rządzącej. Należałoby rozdzielić władzę ustawodawczą i władzę wykonawczą.

Józef Brzozowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Warszawa, ulica Wiejska, zakończenie protestu przeciwko zapisom Zielonego Ładu. 10 maja 2024 r.

4,806 mln osób było w 2023 r. objętych prywatnym ubezpieczeniem zdrowotnym. Polacy przeznaczyli na nie 1,706 mld zł (**Polska Izba Ubezpieczeń**).

Prokuratura prowadzi **sześć dochodzeń w sprawie Orłenu**, przeszukano dom byłego prezesa Obajtka. ABW i wewnętrzne służby bezpieczeństwa ostrzegały go przed współpracą z Libańczykiem Samerem A., podejrzanym o kontakty z Hezbollahem. Obajtek mimo tych zastrzeżeń postawił go na czele Orlen Trading Switzerland, w efekcie czego Orlen stracił 1,6 mld zł (**więcej na s. 24-26**).

Ministerstwo Rozwoju i Technologii **uchyliło w całości decyzję wojewody mazowieckiego Zdzisława Sipiery** z 2018 r., na podstawie której zbudowano pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej na placu Piłsudskiego. PiS odebrało stolicy władanie tym placem i nadało mu status terenu zamkniętego, jaki mają poligony, lotniska, bazy.

Nowymi ministrami w rządzie premiera Tuska zostali **Tomasz Siemoniak** (MSWiA), **Hanna Wróblewska** (resort kultury i dziedzictwa narodowego), **Krzysztof Paszyk** (Ministerstwo Rozwoju i Technologii) oraz **Jakub Jaworowski** (Ministerstwo Aktywności Państwowych).

Zmarł Zbigniew Szałajda, charyzmatyczny menedżer, cieszący się szacunkiem środowisk, z którymi pracował. Był m.in. dyrektorem Huty Kościuszko w Chorzowie, Huty Katowice, największego przedsiębiorstwa w Polsce, ministrem hutnictwa i przemysłu maszynowego oraz wicepremierem.

Prof. Jadwiga Puzynina, językoznawczyni i badaczka literatury, oraz **Jerzy Maksymiuk**, dyrygent, kompozytor i pianista, zostali **odznaczeni Orderem Orła Białego**.

Nowym dowódcą generalnym rodzajów sił zbrojnych został **gen. broni Marek Sołkowski**. W życiorysie ma misje w Iraku i Afganistanie. Chwali się też dyplomem Collegium Humanum. Choć z tego epizodu bardziej powinien się wytłumaczyć.

Ukazał się 100. numer kwartalnika „Forum Myśli Wolnej” Towarzystwa Kultury Świeckiej. Redaktorom i wydawcom gratulujemy konsekwentnego promowania świata wartości, które w naszym kraju przebijają się z trudem.

Od 14 marca policja tymczasowo zatrzymała już ponad 1 tys. pojazdów prowadzonych przez pijanych kierowców.

Wyrok kary śmierci można wykonywać w 55 państwach na świecie, choć w 23 nie było takiego przypadku od ponad 10 lat. Najwięcej egzekucji jest w Chinach (szacuje się, że ponad 1 tys. rocznie, oficjalnych danych nie ma) i w Iranie (576). W USA przeprowadzono w 2023 r. 24 egzekucje.

66,6% dorosłych Polaków ma symptomy depresji (**badania UCE RESEARCH i platforma ePsycholodzy.pl**).

Na świecie jest ok. **2800 miliarderów dolarowych**, którzy dysponują majątkiem w wysokości ok. 14 bln dol. Najwięcej jest ich w Ameryce Północnej (1011), Europie (933) i Azji (835). W USA jest ok. 800 miliarderów, a w Chinach ok. 400.

PRZEBŁYSKI

Kogo chce zastąpić Morawiecki?

Bezsporne jest, że Mateusz Morawiecki to człowiek sprytnie gromadzący gigantyczny majątek osobisty. I tak ambitny, że dla kariery zjada kolejne żaby serwowane przez prezesa Kaczyńskiego. Kłamał przy tym tak często, że dorobił się przydomka Pinokio. Tyle o „plusach ujemnych” Morawieckiego. Ale jest jeszcze coś. Skromna inteligencja w ocenianiu świata realnej polityki. Tu Morawiecki jest raptusem strzelającym samobójcze gąfy. Zaczął od zgłoszenia siebie na fotel po prezesie PiS. A to się Kaczyński uśmieł! A jeszcze bardziej rozbawiła go zapowiedź, że Pinokio chętnie wystartuje w wyborach prezydenckich. I wygra z Tuskiem.



Przechodnia koszulka Kohuta

Czekamy na występ muzyczny Łukasza Kohuta. Chcemy posłuchać, jak śpiewa: „Przebieraniec ci jo i wędrowniczek”. Celebryta, który jedzie na śląskiej nucie, mógłby to zaśpiewać gwarą. Zdziwicie się, ale Kohut nie jest Ślązakiem. To dla Ślązaków klasyczny gorol. Urodzony w Warszawie, wędrował sobie po Europie. A gdy wrócił, to w 2012 r. związał się z Ruchem Palikota, późniejszym Twoim Ruchem. Był tam sekretarzem w Rybniku i przewodniczącym zarządu. Z mizernymi efektami. Bez skutku startował do Sejmiku Województwa Śląskiego (1435 głosów). Poszedł



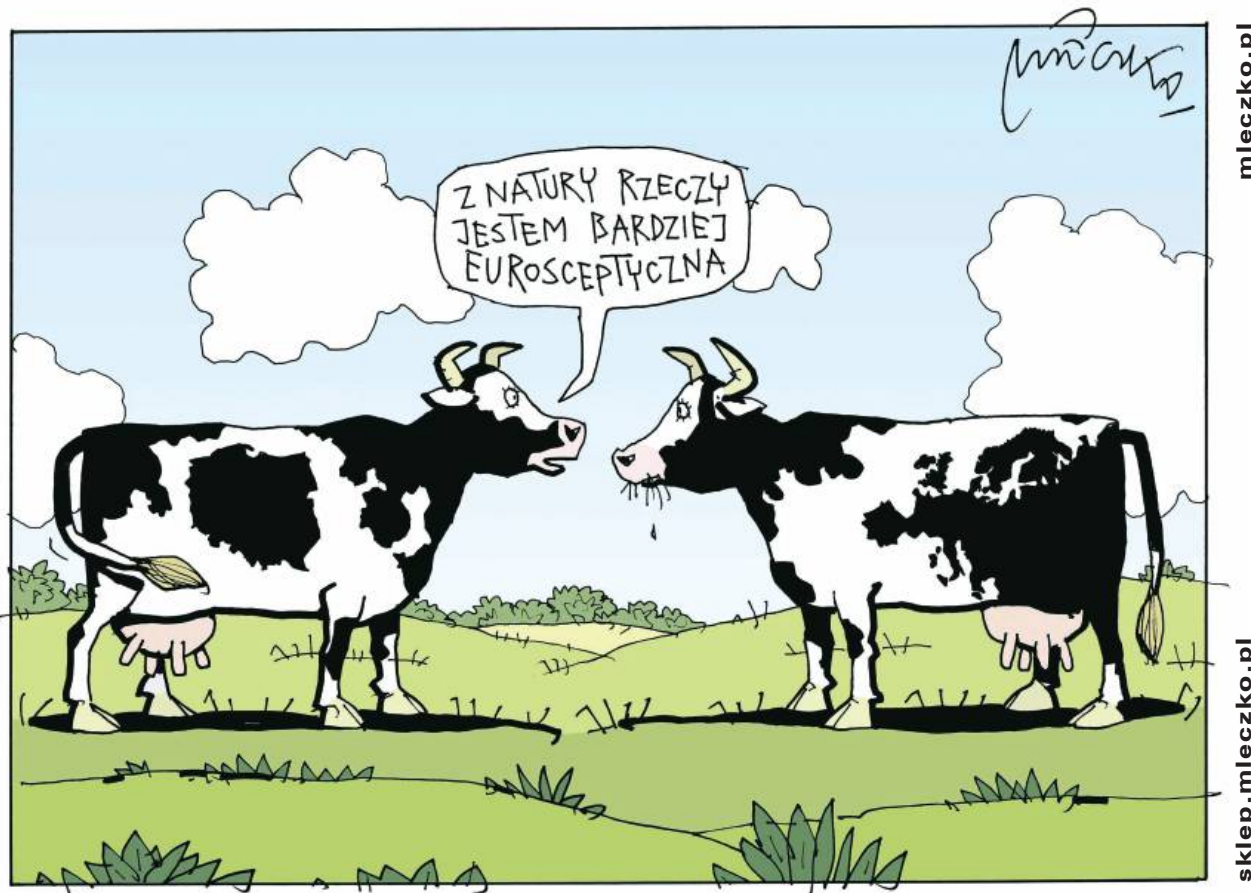
do Nowej Lewicy, a później do Wiosny Biedronia. Trafił do Parlamentu Europejskiego. A że koniecznie chce tam wrócić, zmienił koszulkę partyjną. Na KO. Przebieraniec liczy na dupowatość Ślązaków (cyt. z Kutza). Jak go znowu wybiorą, pewnie zajmie się Saharą Zachodnią. To nie jest żart. Kohut w Brukseli był właśnie w takiej grupie.

Matka Boska traci cierpliwość

W Siemianowicach Śląskich po wyborach ciągle gorąco. Choć w drugiej turze wygrał stary prezydent Rafał Piech (52,87%), to jego rywalka Anna Zasada-Chorab (47,13%) pokazała, że bardzo wielu mieszkańców ma już serdecznie dość nawiedzonego Piecha. I tego, co Piech zrobił w 2015 r., gdy powierzając miasto Maryi, powiedział, że „otrzymała klucze od miasta i jest jego menedżerem”. Powołał się przy tym na swoją babcię, której 70 lat temu ukazała się Matka Przenajświętsza, prawdopodobnie Matka Boska Fatimska, i to babcia wymodliła zawieszenie Siemianowic Śląskich Niepokalanemu Sercu Maryi.

Po wynikach wyborów samorządowych można w tę opiekę wątpić. Albo w pierwszej turze Matka Boska zasnęła, albo Piech mocno jej podpadł. A w drugiej? Patronka przechnęła go jakimś cudem. Może to kara za jakieś nieznane grzechy mieszkańców.





PYTANIE TYGODNIA

Czy Tusk powinien przyspieszyć?

PROF. ROBERT ALBERSKI,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

Powinien, ale nie ma w tym momencie takiej możliwości. W kampanii wyborczej Tusk rozniecił ogromne oczekiwania społeczne. Właśnie te obietnice dały mu zwycięstwo. Niestety, w momencie przejęcia władzy okazało się, że występuje wiele czynników, które niezwykle utrudniają spełnienie tych obietnic. Wyróżniłbym tu cztery główne powody. Po pierwsze, ekipa Tuska nie spodziewała się nawet w najgorszych scenariuszach, że zastaną państwo w tak złym stanie. Po drugie, nowa władza nie doceniła skali oporu, jaki będą stawiać instytucje znajdujące się nadal pod kontrolą Prawa i Sprawiedliwości. Mówię tutaj m.in. o prezydencie, Trybunale Konstytucyjnym czy części prokuratury. Po trzecie, Tusk przecenił spójność własnej koalicji. Różnice poglądów w różnych obszarach coraz bardziej się uwiadcniają, a poszczególne części koalicji blokują się wtedy wzajemnie. Po czwarte, Tuska spowalnia sama jakość kadr. Niewieleu otaczających go polityków może dotrzymać mu obecnie kroku.

PROF. JAROSŁAW FLIS,
socjolog, Uniwersytet Jagielloński

Oczywiście lepiej jest, jak władza pokazuje, że działa sprawnie. Natomiast, co wiemy z poprzedniej kadencji, niektóre decyzje podejmowane pochopnie okazują się potem decyzjami głupimi. Donald Tusk na pewno powinien przyspieszyć dyskusję

nad wieloma kwestiami, tak żeby mógł w jej następstwie przyjąć nowe, proponowane mu rozwiązania. Kiedy się dyskutuje, przede wszystkim powstaje wrażenie, że coś się dzieje i jest dobrze przygotowane. W tym sensie Tusk powinien przyspieszyć dyskusję publiczną nad kluczowymi problemami. To też komunikat dla wyborców, że dyskusja pcha sprawy w jakąś konkretną stronę. To lepszy obrazek niż rozwiązania wymyślane w zaciszu gabinetów, które potem, w praktyce, okazują się mniej mądre, niż zakładano.

DR SŁAWOMIR DUDEK,
prezes i główny ekonomista Instytutu Finansów Publicznych

W obszarze gospodarczym i w obszarze finansów publicznych rzeczywiście zmiany dzieją się zbyt wolno. Gospodarka nie może czekać i naprawa finansów publicznych jest dziś równie ważna jak naprawa praworządności. Dopiero niedawno zobaczyliśmy białą księgę finansów publicznych. Można powiedzieć, że jest kompleksowa, jeśli chodzi o diagnozy, jednak w warstwie rekomendacji brakuje konkretów. Tymczasem mamy bezprecedensową sytuację. NIK bardzo negatywnie oceniła finanse publiczne. Na dodatek mimo negatywnej opinii NIK rząd w 2022 r. uzyskał absolutorium budżetowe. Zauważmy wreszcie, że budżet, który generuje koszty, również łamie konstytucję.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

ZAUFANY CZŁOWIEK

Ziobry i Piebiaka

Sędzia Szymdt: zbudowała go hejterska grupa Kasta

Robert Walenciak

Sędzia Tomasz Szymdt uciekł na Białoruś. Nikt nie ma wątpliwości, że szpiegował dla tamtejszego KGB, a może i dla Rosjan. Uciekł i tym samym otworzył worek z pytaniami. Do służb i do polityków.

Te do służb są oczywiste. Kiedy został zwербowany? Przez kogo? Jak ta współpraca wyglądała? Do jakich informacji miał dostęp? Co mógł przekazać? Jakie szkody Polsce wyrządził? Dlaczego uciekł?

Politycy zadają pytania inne, które sprowadzają się do jednej kwestii: komu Szymdta można przypisać? Komu przykleić? PiS czy PO? I wbrew pozorom właśnie one są najważniejsze. Dlaczego?

Żeby znaleźć się w kręgu zainteresowania służb specjalnych, trzeba mieć dostęp do ważnych informacji.

Żeby znaleźć się w kręgu zainteresowania służb specjalnych, trzeba mieć dostęp do ważnych informacji. Czyli trzeba się znaleźć wśród odpowiednich ludzi i (lub) w odpowiednim miejscu. Wystarczy zatem spojrzeć na życiorys Szymdta, kiedy był w takiej sytuacji, i wszystko staje się jasne. Jego kariera to czasy PiS.

Tymczasem PiS, a w zasadzie Suwerenna Polska, próbuje odwracać kota ogonem. Wmawiają nam, że Szymdt raz był tu, raz tam. Że zaczynał w sędziowskim stowarzyszeniu Themis, potem – owszem – prześlizgnął się przez Ministerstwo Sprawiedliwości, ale później widywało się go w liberalnych mediach

i w otoczeniu posłów PO. To próba zamydlenia oczu.

Z Themis Szymdt został usunięty, gdy poszedł pracować do ministerstwa Ziobry. Tam działał w grupie najbardziej zaufanych ludzi wiceministra Łukasza Piebiaka, był członkiem grupy hejterskiej Kasta. Jej działalność została ujawniona, więc przeszedł do pracy w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w Warszawie.

Wtedy udzielił kilku wywiadów, w których opowiedział o grupie hejterskiej, zapewniał też, że bardzo żałuje udziału w niej. To dlatego był zapraszany do mediów czy na posiedzenia różnych gremiów – w charakterze człowieka, który mechanizmy wojny z sędziami zna od środka i może o nich opowiedzieć.

Twierdzenie, że raz był z ziobrystami, raz z PO, jest zwyczajnym wykrętem. Po stronie PO nie był nigdy, ewentualnie w roli skruszonego ziobrystowskiego sędziego. U Ziobry był ważnym cynglem, uczestniczącym w naradach, planującym działania, człowiekiem ze środka. To jest ta różnica.

Patrząc na życiorys Szymdta, widzimy, że sędzia dwa razy znajdował się w miejscach interesujących dla służb specjalnych. W Ministerstwie Sprawiedliwości i w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w Warszawie.

Zacznijmy od tego drugiego miejsca. Do WSA Szymdt skierowany

został po odejściu z Ministerstwa Sprawiedliwości. Orzekał m.in. w sprawach osób, którym służby nie wydały poświadczenia bezpieczeństwa i które od tych decyzji się odwoływały. W ten sposób miał dostęp do danych szczególnie wrażliwych – tzw. ankiet bezpieczeństwa, które wypełniały osoby starające się o prawo dostępu do materiałów tajnych. Miał też wgląd w materiały ABW, na podstawie których agencja odmawiała poświadczenia.

Jak na dłoni miał więc materiały dotyczące funkcjonariuszy i urzędników pracujących w miejscach ważnych dla bezpieczeństwa państwa, oraz całą kuchnię służb bezpieczeństwa. Dla każdej tajnej służby to nadzwyczaj interesujące.

Ale jeszcze bardziej interesujące z punktu widzenia służb były jego praca w Ministerstwie Sprawiedliwości oraz udział w grupie hejterskiej.

Do 2017 r. jego kariera rozwijała się stopniowo, kolejni prezydenci podpisali jego kolejne nominacje. Przemoc nastąpił właśnie w roku 2017.

8 maja 2017 r. sędzia Szymdt został delegowany do pracy do Ministerstwa Sprawiedliwości, do Departamentu Prawa Administracyjnego, który zajmował się obsługą pracy komisji ds. reprivatyzacji nieruchomości warszawskich, tzw. komisji Jakiego. Została mu tam przyznana funkcja głównego specjalisty. Ale już dwa dni później (!) decyzją wiceministra Łukasza Piebiaka objął funkcję naczelnika tego departamentu. Skąd ta kariera? Kto go skierował do obsługi komisji Jakiego? Dlaczego Piebiak natychmiast go awansował?

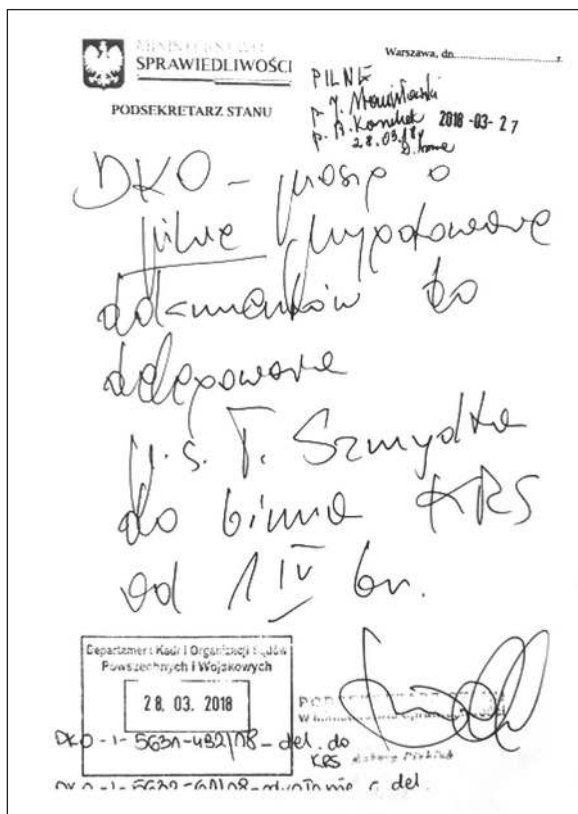
To są istotne pytania. Ale ci, którzy mogliby na nie odpowiedzieć, albo milczą, albo udają, że niewiele wiedzą. Łukasz Piebiak zdążył już wypowiedzieć się na temat swoich związków ze Szymdtem – określił je jako stricte służbowe: owszem, pracowali w tym samym ministerstwie, ale bliższych kontaktów nie utrzymywali.

Fakty temu przeczą. Obecny wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha ujawnił w Sejmie pisma, na których są podpisy i dekrety Piebiaka dotyczące Szymdta. Pierwszy dokument to jego polecenie, by w trybie pilnym przedłużyć Szymdtowi delegację w Ministerstwie Sprawiedliwości. Drugi to rekomendacja do pracy w Krajowej Radzie Sądownictwa, w której Szymdt objął funkcję dyrektora biura prawnego.

W nieformalnych rozmowach charakteryzowano go jako patriotę, człowieka „biało-czerwonego”, naszego. Wiemy też, że sympatyzował z ONR i ultrasami Jagiellonii Białystok.

A wracając do pism z Ministerstwa Sprawiedliwości... Michał Wójcik, który był w latach 2016-2020 wiceministrem sprawiedliwości, pytany przez dziennikarzy, zaprzeczał, że znał Szymdta. Tymczasem wystawił mu upoważnienie do dostępu do informacji niejawnych, w klauzuli „zastrzeżone”. Ten dokument istnieje.

Również Zbigniew Ziobro zdążył powiedzieć, że nie znał człowieka, nigdy go nie spotkał. A przecież jest zarządzenie z 2018 r., podpisane przez Ziobrę, o powołaniu zespołu ds. czynności ministra sprawiedliwości podejmowanych w postępowaniach dyscyplinarnych sędziów i asesorów. W skład tego zespołu powołani zostali m.in. Łukasz Piebiak, sędziowie Schab, Lasota, Radzik, Cichocki i Szymdt. Co warto zauważyć, to ci sami sędziowie, którzy byli członkami grupy Kasta. Dodajmy – zespół działał, są protokoły jego posiedzeń.



Szymdt zapraszany był także do telewizji braci Karnowskich, w której atakował sędziów z *Justitii* i występował jako twarz „dobrej zmiany”. Oto los człowieka, którego dziś nikt nie pamięta.

Oficjalna kariera Szymdta w Ministerstwie Sprawiedliwości i w KRS jest tylko luźnym odbiciem nieformalnej roli, którą odgrywał.

U Ziobry był ważnym cynglem, uczestniczącym w naradach, planującym działania, człowiekiem ze środka.

Otóż istniała w ministerstwie, pod auspicjami wiceministra Piebiaka, grupa Kasta. Jej członkowie byli w stałym kontakcie i uzgadniali działania hejterskie przeciwko kolejnym sędziom. Atakowali pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Gersdorf, rozsyłali paszkwile na szefa *Justitii* sędziego Krystiana Markiewicza i wielu innych.

Wiemy o tej grupie, bo w 2018 r. rozpadła się w dość kuriozalnych okolicznościach. Otóż jedną z głównych

Wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha ujawnił w Sejmie pisma dotyczące Szymdta, w tym rekomendację do pracy w Krajowej Radzie Sądownictwa.

funkcji pełniła w niej żona Szymdta, Emilia, nazywana Małą Emi. Członkiem grupy był też sędzia Arkadiusz Cichocki. Los sprawił, że zostali kochankami, potem się pokłócili, w efekcie rozpadło się małżeństwo Szymdttów, a Mała Emi ujawniła mediom tajemnice zespołu, łącznie z zapisami ich rozmów.

Te informacje wywołały skandal i tak wstrząsnęły i Cichockim, i Szymdtem, że przeprosili sędziów, których atakowali, i opowiedzieli w mediach o swojej roli. Onet razem z OKO.press publikowały wieloodcinkowy serial temu poświęcony. Nawet dziś, po kilku latach, materiały te budzą grozę. Oto niektóre fragmenty:

• „Z okresu roku 2018 pamiętam, że moja ówczesna żona Emilia na pewno regularnie kontaktowała się z Łukaszem Piebiakiem – mówi Onetowi i OKO.press sędzia Szymdt. – To były i telefony, i rozmowy przez komunikatory, i wiadomości, tak na tych komunikatorach, jak e-mailowe”.

• Jednym z kluczowych momentów afery hejterskiej było wystanie

przez Emilię Szymdt do tysięcy członków stowarzyszenia sędziów *Justitii* anonimowego, czterostroniowego paszkwilu na temat sędziego i prezesa *Justitii* Krystiana Markiewicza. Zawarła w nim niczym nieopartą sugestią, że prezes *Justitii* miał nakłonić jakąś kobietę do aborcji. Paszkwil trafił także pocztą na adres domowy Markiewicza – Małemu Emi dostarczył go właśnie Piebiak, korzystając najpewniej z danych ministerstwa, czyli przechowywanych tam

► akt osobowych każdego z sędziów sądów powszechnych. Zarówno proces przygotowywania tej akcji, jak i jej przebieg Emilia na bieżąco uzgadniała z Piebiakiem, co potwierdzają ujawnione przez Onet screeny. Wtedy właśnie w ich korespondencji, gdy Emilia półżartem napisała, że „ma nadzieję, że jej nie wsadzą”, Piebiak odpisał słynną frazę: „Za czynienie dobra nie wsadzamy”.

• Cichocki mówi: „Przeglądałem też, »bez żadnego trybu«, tzw. zielone teczki w gabinecie ówczesnego wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka, który mi te teczki udostępnił. Chodziło o znalezienie haków na wskazanych z nazwiska sędziów. Tyle że wgląd do tych teczek powinno mieć wyłącznie kierownictwo ministerstwa. Ja ten wgląd dostałem, bo byłem »swój« i miałem znaleźć coś na wskazanego sędziego”.

• „Tak to działało na co dzień. Ktoś podpadł tzw. prezesom faksowym (powoływanym faksem przez ministra Ziobrę – przyp. red.) albo kierownictwu ministerstwa, to od razu ruszała machina szukania haków i trałowania wszystkiego – akt z sądu, »zielonych teczek«, wypowiedzi publicznych. Na zasadzie: dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”, mówi Cichocki.

• „Sam byłem świadkiem tego, że dokumenty specsłużb z klauzulą poufne swobodnie krążyły między ludźmi niemającymi żadnego prawa dostępu do takich materiałów”, zaznacza Szmydt.

•
Udział w grupie Kasta budował pozycję Szmydta w obozie władzy. Był uważany za człowieka zaufanego, miał więc dostęp nie tylko do materiałów z klauzulą poufne, ale i do samych szefów Ministerstwa Sprawiedliwości. Wiedział, co planują, docierały do niego informacje o rozgrywkach wewnątrz obozu władzy, jego opinie też były wysłuchiwane. Był dobrze ulokowany. Nasuwa się zatem pytanie, czy już wtedy był agentem. Na razie tego nie wiemy. Ale wiemy na pewno, że to Kasta zbudowała jego pozycję i że od tego wszystko się zaczęło.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Grzegorz Rudnik

Pojawienie się sędziego Tomasza Szmydta w Mińsku na Białorusi wywołało na naszej scenie politycznej efekt trzęsienia ziemi. Szok, niedowierzanie i przerażenie mieszały się z podejrzeniami, że ten prawicowy sędzia był szpiegiem. Zaczęto się zastanawiać, kogo znał, co wiedział i jakie dokumenty mógł wywieźć. Najgorsza była myśl, że białoruskie KGB ograło nasze chwalone specsłużby.

Problem w tym, że polscy politycy nie zdają sobie sprawy, czym w rzeczywistości jest tamtejsza służba. A powinni, bo to nie pierwsza tak głośna jej operacja zakończona sukcesem.

Po rozpadzie ZSRR prezydent Jelcyn rozgromił potężne KGB, kilkakrotnie likwidując i reorganizując rosyjskie służby. Władze białoruskie nie zrezygnowały nawet z nazwy KGB.

W 2015 r. młody białoruski blogger i dziennikarz Raman Pratasiewicz wraz z kolegą Sciapanem Puciłą założyli na internetowym komunikatorze Telegram kanał muzyczny Nexta, który z czasem przekształcił się w kanał informacyjny. Jesienią 2018 r. uruchomili kolejny kanał – Nexta Live, udostępniający informacje nadsyłane anonimowo przez czytelników i widzów. W 2020 r. zdobyły one ogromną popularność wśród Białorusinów, którzy masowo wyszli na ulice Mińska i innych miast, protestując przeciwko Aleksandrowi Łukaszenko po „wygraniu” przez niego kolejnych wyborów prezydenckich. Nexta w czasie rzeczywistym transmitowała to, co się działo w dużych miastach. W reakcji władze w Mińsku uznały ją za formację ekstremistyczną, a jej redaktorów za przestępców. Wtedy do akcji weszło KGB.

23 maja 2021 r. lecący z Aten do Wilna samolot linii Ryanair FR 4978 został zmuszony do lądowania na lotnisku w Mińsku pod pretekstem, że na jego pokładzie jest bomba. Wśród 120 pasażerów znajdowali się Raman Pratasiewicz oraz jego partnerka Sofia Sapiega, mająca obywatelstwo rosyjskie.

Prosto z lotniska trafili oni do aresztu. Po kilku dniach okazało się, że Pratasiewicz poszedł na współpracę z organami ścigania i w trakcie specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej odciął się od swoich wolnościowych poglądów. Wkrótce też wyszedł z aresztu i ożenił się z inną kobietą. Sofia Sapiega została zaś skazana na sześć lat kolonii karnej, mimo że współpracowała z władzami. W 2023 r. została ułaskawiona przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę i wyjechała do Rosji. W tym samym roku w odrębnym procesie sąd skazał Pratasiewicza na osiem lat pozbawienia wolności, lecz niemal natychmiast także on został ułaskawiony.

Zatrzymanie pary było dobrze zorganizowaną i przeprowadzoną

operacją białoruskiego KGB. I sygnałem, że z nim nie ma żartów.

Czekiści

Każdego roku w grudniu funkcjonariusze białoruskiego KGB (Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego) obchodzą rocznicę powstania Wszechrosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej przy Radzie Komisarzy Ludowych do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (w skrócie Czeka), na czele której stanął polski szlachcic i rewolucjonista Feliks Dzierżyński.

Do dziś w Moskwie i w Mińsku o funkcjonariuszach specsłużb mówi się z szacunkiem i strachem „czekiści”. Różnica między Rosją i Białorusią jest taka, że po rozpadzie Związku Radzieckiego prezydent Borys Jelcyn dosłownie rozgromił potężne KGB, kilkakrotnie likwidując i reorganizując rosyjskie służby, władze białoruskie zaś nie zrezygnowały nawet z nazwy KGB. Dlatego dziś oficerowie w Mińsku uważają się za jedynych prawowitych kontynuatorów tradycji Czeka, GPU, OGPU i NKWD.

Odrodzenie KGB na Białorusi nastąpiło po wyborach prezydenckich w 1994 r. wygranych przez

SPADKOBIERCY Żelaznego Feliksa

Białoruskie KGB to profesjonalna i groźna służba specjalna, podpora władzy Aleksandra Łukaszenki



Tomasz Szmydt na konferencji w Mińsku, po ucieczce 6 maja 2024 r.

Aleksandra Łukaszenkę. Początki jego kariery politycznej bardzo przypominają karierę... Zbigniewa Ziobry. Podobnie jak nasz były minister sprawiedliwości Łukaszenka swoim znaniem rozpoznawczym uczynił walkę z korupcją. Na początku 1993 r. ten był dyrektor sowchozu stanął na czele Czasowej Komisji ds. Badania Działalności Komercyjnych Struktur Utworzonych przy Organach Władzy Państwowej, zwanej potocznie Komisją do Walki z Korupcją, i przed kamerami gromił przeciwników politycznych, oskarżając ich o sprzedajność.

W lipcu 1994 r. w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich Łukaszenka pokonał w drugiej turze premiera Wiaczesława Kiebicza. Musimy pamiętać, że ówczesne władze polskie wsparły kampanię Łukaszenki. Zwłaszcza że w jego otoczeniu znaleźli się politycy postrzegani jako

szczerzy demokraci i liberałowie, tacy jak literaturoznawca i politolog Aleksander Fiaduta, ekonomista Wiktor Hanczar czy prawnik Anatol Labiedzka.

Niemal natychmiast po złożeniu przysięgi prezydenckiej Łukaszenka pozbył się politycznych

Dziś oficerowie w Mińsku uważają się za jedynych prawowitych kontynuatorów tradycji Czeka, GPU, OGPU i NKWD.

przyjaciół i postawił na sprawdzone kadry białoruskiego KGB. Jego łącznikiem z „czekistami” został szef ochrony mjr Wiktor Szejman, były uczestnik wojny w Afganistanie i szef sztabu Brzeskiej Brygady Desantowo-Szturmowej.

Łukaszenka mianował go sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Republiki Białorusi i awansował do stopnia

pułkownika. W 1996 r. Szejman był już generałem majorem.

Pierwszym przewodniczącym KGB powołanym przez Łukaszenkę został wywodzący się z radzieckich specsłużb Władimir Jegorow, w latach 1985-1986 minister spraw wewnętrznych Łotewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a w latach 1990-1994 minister spraw wewnętrznych Białorusi.

Fundamentem kadrowym białoruskiego KGB stała się mińska uczelnia o dziwnej nazwie Wyższe Kursy KGB ZSRR przy Radzie Ministrów, a właściwie jej wykładowcy.

W Związku Radzieckim główną placówką kształcąca oficerów cywilnych specsłużb była moskiewska Wyższa Szkoła KGB im. Feliksa Dzierżyńskiego. Mińskie Wyższe Kursy kształciły kadrę dowódczą KGB, oficerów, którzy mieli już osiągnięcia w służbie. Wśród absolwentów byli m.in.: sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaj Patruszew, który w latach 1999-2008 kierował Federalną Służbą Bezpieczeństwa;

Siergiej Iwanow – w latach 2001-2007 minister obrony Federacji Rosyjskiej; gen. Sāt Toqpaqabajew – w latach 1999-2001 minister obrony Kazachstanu.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego na Białoruś wrócili nie tylko pochodzący z tej republiki funkcjonariusze, ale i oficerowie wyrzuceni z pracy w wyniku jelicynowskich ▶

► reform lub niezadowoleni ze zmian, głównie Rosjanie i Ukraińcy. Mieli doświadczenie, silną motywację, autorytet i wsparcie polityczne.

Pierwszym zadaniem, jakie postawił im Łukaszenka, było powstrzymanie rozwoju przestępczości zorganizowanej w republice. Mieszkańcy Białorusi z przerażeniem obserwowali, jak w Moskwie i Petersburgu rozpanoszyli się profesjonalni kryminaliści, tzw. *wory w zakonie* lub *awtoritety*. Na ulicach dochodziło do regularnych strzelanin, organizowane były zamachy bombowe, a skorumpowana władza nie umiała sobie z tym poradzić.

Białoruskie KGB tymczasem w ciągu roku rozwiązało problem. Krymi-

utrzymać budżet, pożyczął pieniądze w Moskwie, lecz ich nie oddawał.

Pod koniec rządów prezydenta Jelcyna swojski „Baćka” stał się tak popularny wśród Rosjan, że według sondaży, gdyby wystartował w wyborach prezydenckich, wygrałby je.

Rozprawę z opozycją polityczną Łukaszenka powierzył Wiktorowi Szejmanowi, którego oskarża się o zorganizowanie Specjalnego Oddziału Szybkiej Reakcji, którym dowodził płk Dmitrij Pawliczenko. Polska Fundacja

na lata do więzienia. Głównym zadaniem „czekistów” stała się walka z wywiadami sąsiednich państw i Stanów Zjednoczonych.

Jak to się robi w Mińsku

Jeśli wierzyć temu, co pokazuje białoruskie kanały telewizyjne i o czym piszą w tamtejszych gazetach, białoruscy „czekiści” biją na głowę kolegów z rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Mieszkańcy Białorusi z przerażeniem obserwowali, jak w Moskwie i Petersburgu rozpanoszyli się kryminaliści. Białoruskie KGB u siebie w ciągu roku rozwiązało problem.



Od lewej: szef rosyjskiego wywiadu Siergiej Naryszkin, szef białoruskiego KGB Iwan Tertel, jego poprzednik Walerij Wakulczyk, oraz prezydent Aleksander Łukaszenka podczas spotkania w Mińsku, 22 października 2020 r.

naliści, którzy próbowali tworzyć zorganizowane grupy przestępcze, albo trafili za kraty, albo uciekli, albo... zniknęli. Dlatego w republice nie ma dziś przestępczości zorganizowanej. I prości obywatele to doceniają.

W latach 90. XX w. Białorusini żyli bardzo biednie, lecz emerytury wypłacano regularnie, podobnie jak pensje nauczycielom, lekarzom i urzędnikom. Łukaszenka dbał, by bezrobocie było niskie. Przed kamerami niczym sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego rugał ministrów, urzędników i dyrektorów sowchozów. By

Wolność i Demokracja podejrzewała go o udział w zorganizowaniu porwań i morderstw przeciwników politycznych Łukaszenki: Wiktora Hanczara, biznesmena Anatola Krasouskiego, gen. Jurija Zacharenki i dziennikarza Dmitrija Zawadzkiego. Ci ludzie po prostu zniknęli. W 2000 r. Pawliczenko został nawet aresztowany przez KGB i oskarżony o kierowanie „szwadronem śmierci”. Była to wewnętrzna rozgrywka, gdyż sprawa rozeszła się po kościach.

Dziś białoruskie władze nie likwidują opozycjonistów, lecz starają się ich skompromitować lub wsadzić

Są agresywni, pomysłowi i skuteczni. Prowadzą gry operacyjne z wywiadami państw ościennych, niemal hurtowo wyławiają szpiegów, ostatnio Białorusinów werbowanych przez ukraińskie specsłużby.

Nie są też skorumpowani jak ich moskiewscy partnerzy. W białoruskim KGB nie utrzymałby się ktoś taki jak zatrzymany w 2016 r. płk Dmitrij Zacharczenko, który w wynajętym mieszkaniu przechowywał 8 mld rubli w gotówce (ponad 123 mln dol.), a jeszcze 20 mln śledczy znaleźli w należącym do niego samochodzie. Trzy lata później skazano go na 15 lat kolonii karnej.

Rosyjscy dziennikarze pytali retorycznie: „Jeśli tyle bierze pułkownik, to ile musi brać generał?”. Odpowiedź na to pytanie padła kilka tygodni temu. W Moskwie aresztowano wiceministra obrony narodowej Timura Iwanowa, odpowiedzialnego w resorcie za prowadzenie inwestycji budowlanych. Rosyjscy politycy mówią o setkach miliardów „prowizji”, które przytulił ten wybitny urzędnik. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Iwanow nigdy nie ukrywał bogactwa. W mediach społecznościowych publikował zdjęcia swoich luksusowych posiadłości i z wczasów na Łazurowym Wybrzeżu. Jego żona organizowała wystawne przyjęcia z udziałem rosyjskiej socjety. Nazywano go „Glamurnym generałem”.

Białoruskie KGB lubi się chwalić sukcesami, ujawniając nie tylko

nazwiska podejrzanych i skazanych, ale nawet szczegóły przeprowadzanych operacji. Często przed kamerami opowiadają o nich ci, którzy zostali schwytani.

Jak pracują mińscy „czekiści”, przekonali się dwaj nasi attaché wojskowi z ambasady RP w Mińsku – w 2004 r. płk Kazimierz Witaszczyk, a w 2014 r. ppłk Paweł Adamczyk. Obaj zostali zatrzymani przez KGB, gdy kontaktowali się ze swoimi informatorami, i wydeleni z Białorusi. Władze polskie twierdziły, że były to prowokacje.

W odniesieniu do schwytanych agentów KGB działa w stylu legendarnego łowcy szpiegów gen. Rema Krasinikowa, który w latach 80. kierował na Łubiance II Zarządem Głównym KGB, czyli kontrwywiadem. Agresywnie i skutecznie. Rejestrując zatrzymania funkcjonariuszy CIA ówczesną nowinką techniczną – kamerą wideo.

W 2016 r. KGB zatrzymało oficera stacjonującego w Białymstoku 18. Pułku Rozpoznawczego im. gen. bryg. Nikodema Sulika, który – jak podano w komunikacie – „został przekazany polskim władzom na korzystnych dla Białorusi warunkach”. Moment przekazania oficera został sfilmowany i był pokazywany w białoruskiej telewizji. Z oczywistych względów nasi tym się nie chwaliли.

W 2016 r. inny oficer, tym razem wydziału kontrwywiadu białostockiej delegatury ABW, został w pierwszej instancji skazany na sześć lat

Białoruscy czekiści biją na głowę kolegów z rosyjskiej FSB. Są agresywni, pomysłowi i skuteczni.

więzienia za utrzymywanie poza służbowych sekretnych kontaktów z Olgą Solomenik, Białorusinką podejrzaną o współpracę z KGB. Sąd Apelacyjny w Białymstoku zmienił później orzeczenie, uznając, że nie była to zdrada ojczyzny, ale przestępstwo urzędnicze, i skazał go na dwa lata i dwa miesiące pozbawienia wolności. Solomenik zdążyła wyjechać na Białoruś i dziś możemy stwierdzić, że podejrzenia o współpracę z KGB miały bardzo silne podstawy.

W 2015 r. oficer GRU (czyli wywiadu wojskowego) Sztabu Generalnego Białorusi skontaktował się w Polsce z przedstawicielami naszego wywiadu i zaproponował przekazywanie, w zamian za stosowne wynagrodzenie, cennych informacji. Oferta została przyjęta. Współpraca trwała kilka lat. Zdemarkowali go funkcjonariusze kontrwywiadu KGB, w 2021 r. został skazany na 19 lat więzienia. Podobnych przykładów jest znacznie więcej.

Książki PRZEGLĄDU dostępne TYLKO jako E-BOOKI

Kupuj szybko i wygodnie
na sklep.tygodnikprzeglad.pl



Łgarstwa historycznych szarlatanów. Manipulowanie pamięcią, mity, kłamstwa i kłamstewka!



Dlaczego historia decyduje o teraźniejszości? Bo politycy jej nie znają

W 2014 r. polskie służby, na podstawie kompromitujących materiałów, zwerbowały białoruskiego oficera. Miał zbierać dla nas informacje dotyczące obronności swojego kraju. Długo się nie utrzymał. Został schwytany i skazany na 11 lat więzienia.

O wiele częściej w ręce białoruskiego KGB wpadają oficerowie i współpracownicy ukraińskich służb – SBU (Służby Bezpieczeństwa Ukrainy) i GUR (Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy). Są to obywatele białoruscy, którzy za wynagrodzenie zbierają informacje o oddziałach wojskowych – rosyjskich i białoruskich – rozlokowanych w pobliżu granicy z Ukrainą, i ich mocodawcy.

Demaskowani są też ludzie, którzy, stosownie wynagradzani, przenoszą przez błota Polesia z Ukrainy na Białoruś materiały wybuchowe, amunicję i broń. Następnie umieszczają ładunek w tajnych skrytkach, a inni współpracownicy ukraińskich służb przewożą go później w głąb Rosji. To najkrótszy szlak.

Wiadomo, że ukraińskie służby stoją za zamachami, do których regularnie dochodzi w ostatnich miesiącach na terytorium Federacji Rosyjskiej. Na Białorusi podobne incydenty się nie zdarzają.

► KGB jest także zaangażowane w ochronę ważnych dla Rosji instalacji wojennych, takich jak zlokalizowana w Hryniowiczach ogromna stacja radiolokacyjna Wołga, zdolna wykryć i zidentyfikować lecące rakiety balistyczne. Może również wykrywać i śledzić obiekty kosmiczne. Obsługuje ją tysiąc rosyjskich żołnierzy.

Ważny jest też węzeł łączności rosyjskiej marynarki wojennej w pobliżu miejscowości Wilejka, zapewniający kontakt z okrętami podwodnymi na północnym Atlantyku i Oceanie Indyjskim. Mińscy „czekiści” unie możliwili co najmniej jedną próbę wysadzenia tej instalacji przez, jak się wydaje, ukraińskich dywersantów.

Liczy się tradycja

Od czterech lat na czele białoruskiego KGB stoi Polak, gen. Iwan Tertel, pochodzący ze wsi Przewałka na Grodzieńszczyźnie, niedaleko granicy z Polską. Wychowany w katolickiej rodzinie, której krewni służyli w Armii Krajowej, Tertel zrobił karierę

Łukaszenki zastąpił na stanowisku przewodniczącego KGB gen. Walerija Wakulczyka. Ze względu na asceetyczne skłonności bywa porównywany do Feliksa Dzierżyńskiego.

Tertel jest lojalny wobec prezydenta Łukaszenki i ma opinię profesjonalisty. Pod jego kierownictwem

Od czterech lat na czele KGB stoi Polak, gen. Iwan Tertel, pochodzący ze wsi Przewałka na Grodzieńszczyźnie, niedaleko granicy z Polską.

białoruskie KGB zaczęło częściej podejmować działania ofensywne wobec polskich, litewskich i ukraińskich służb. Białorusini dają też do zrozumienia Rosjanom, że powinni się z nimi liczyć.

W 2020 r. wybuchł skandal, gdy KGB, przed wyborami prezydenckimi, zatrzymało w hotelu pod Mińskiem 32 najemników z Grupy Wagnera. Oficjalnie podejrzenia dyrekcji hotelu wzbudziło to, że Rosjanie nie pili i poruszali się w grupach.

KGB lubi się chwalić sukcesami, ujawniając nie tylko nazwiska podejrzanych i skazanych, ale nawet szczegóły operacji.

w białoruskich służbach. Absolwent elitarniej Riazzańskiej Wyższej Uczelni Powietrznodesantowej był w czasach Związku Radzieckiego oficerem 106. Dywizji Powietrznodesantowej. Po rozpadzie ZSRR wrócił na Białoruś i podjął służbę w wojskach pogranicznych. W 2008 r. przeszedł do KGB w ślad za dowódcą, gen. Zajcewem. Pod koniec października 2020 r. decyzją prezydenta

Wagnerowców zwinęto przed kamerami ze stosowną brutalnością, a prokuratura wszczęła śledztwo. Potem okazało się, że najemnicy przyjechali na Białoruś w wyniku skomplikowanej operacji ukraińskich służb, które chciały ich ująć i postawić przed sądem. Ostatecznie prezydent Łukaszenka kazał ich wypuścić.

Wysocy rangą funkcjonariusze KGB podkreślają w wywiadach, że

profesjonalizm i skuteczność ich formacji wynika z faktu, że nie została zerwana ciągłość służby od czasów Czecha, co oznacza, że dysponują skumulowaną wiedzą i doświadczeniem pokoleń. Identyczne pryncypia przyświecają brytyjskim służbom specjalnym MI5 i MI6.

Przy okazji Białorusini wytykają niski, w ich ocenie, poziom służb wywiadowczych państw bałtyckich i Polski. Podkreślają, że w KGB nigdy nie było lustracji ani nie reformowano ich służby wedle scenariuszy pisanych przez zachodnich doradców, bo to zawsze prowadziło do chaosu i upadku. W ich gabinetach wiszą portrety „Żelaznego Feliksa” i pamięta się o bohaterstwie czekistów z czasów II wojny światowej.

W 2004 r. władze odnowiły zrekonstruowany dwór rodziny Dzierżyńskich w Dzierżyńowie. W otwartym znajdującym się w nim muzeum Feliksa Edmundowicza uczestniczył prezydent Łukaszenka.

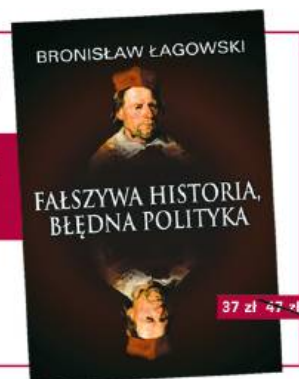
Białoruś jest dyktaturą, a Komitet Bezpieczeństwa Państwowego jednym z jej filarów. Tego łatwo się nie zmieni. Warto więc uświadomić sobie, że za naszą wschodnią granicą działa groźna i profesjonalna służba specjalna, z którą nie poradzą sobie funkcjonariusze zainteresowani wyłącznie robieniem kariery w ochronie Orłenu.

Grzegorz Rudnik

Teksty prof. Bronisława Łagowskiego pisane dla PRZEGLĄDU

Dla postsolidarnościowych partii najchlubniejszymi kartami polskiej historii są przegrane powstania

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nieregistrowanym Poczta Polska.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Historia sędziego Tomasza Szymdta zdominowała ostatnie dni medialnie, politycznie, sejmowo. Sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, zatrudniony w Ministerstwie Sprawiedliwości i Krajowej Radzie Sądownictwa, znany z udziału w tzw. aferze hejterskiej – animowanej przez jego żonę zorganizowanej nagonce na sędziów krytycznych wobec pisowskich ograniczeń niezależności sądownictwa – wyjechał na Białoruś. Tam zwrócił się o udzielenie mu azylu politycznego w wyrazie protestu „przeciwko niesprawiedliwej i krzywdzącej polityce prowadzonej przez władze RP wobec Republiki Białorusi i Federacji Rosyjskiej”. Uzasadniając równocześnie rezygnację z funkcji sędziego, argumentował, że jest przeciwny „działaniom zmierzającym do wprowadzenia (...) [Polski] do bezpośredniego konfliktu zbrojnego z Republiką Białorusi i Federacją Rosyjską”, oraz apelował „do władz Polski

Jeśli wyrażony przez niego pogląd polityczny, oceniający obecną sytuację na linii Polska-Rosja (Białoruś) jako parcie przez Polskę do konfliktu zbrojnego, miałby być ujawnieniem jakiejś „tajnej wiedzy” sędziego, to może bardziej należałoby się martwić źródłami takich poglądów? Jeśli apel do władz Polski o normalizację i dobrosąsiedzkie uregulowanie kontaktów między Polską a Rosją jest uchybieniem godności sędziego, to jaki zatem apel byłby uszanowaniem owej godności? O wojnę? Nie ulega wątpliwości, że sędzia Szymdt swoim cokolwiek ekscentrycznym wykorzystaniem urlopu wypoczynkowego naruszył kilka tabu w obowiązującej w Polsce retoryce prowojennej, wyłamując się z tradycyjnie i obowiązkowo nam panujących narracji polityczno-medialnych. Ale żeby miało to świadczyć o szpiegostwie? Jeśli kiedyś dojdzie do uczciwego procesu w tej historii, będzie on zapewne pasjonujący.

Sędzia, hejter, szpieg – baśniowa pałka na tamtych

o normalizację i dobrosąsiedzkie uregulowanie kontaktów”. W kilku wystęпах w mediach i programach prokremlowskich wyjaśniał, że czuje się w Polsce zagrożony z racji głoszonych poglądów, otrzymywał też sygnały, że może zostać oskarżony o szpiegostwo. W rzeczy samej, już po jego deklaracjach mazowiecki pion Prokuratury Krajowej wszczął śledztwo w sprawie udziału sędziego w działalności obcego wywiadu.

Nad przypadkiem tym pochylili się już wszyscy najważniejsi święci polskiej polityki od Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, przez Zbigniewa Ziobrę, po Bronisława Komorowskiego, posłowie wszelakich partii oraz komentariat propisowski i antypisowski. Zasadniczo wszyscy od sędziego się odzegnują, nie znają, nie mieli kontaktów, związków, relacji – wszystko to mieli „ci inni”. Sędzia Szymdt okazuje się wzorcową samotną wyspą, choć w instytucjach wymiaru sprawiedliwości kwitł od lat, a chwilami nawet (za PiS) można powiedzieć, że owocował.

Przeciwko Szymdtowi prowadzone są obecnie także sprawy dyscyplinarne o liczne uchybienia godności sędziego. Wiadomo, że rozpoznawał spory związane z odmawianiem przez służby poświadczeń bezpieczeństwa w dostępie do niejawnych dokumentów i informacji (w tym do informacji dotyczących NATO). Poświadczenia są wydawane różnym osobom po przeprowadzeniu szczegółowej weryfikacji przez służby. W razie odmowy sprawę rozpatruje sąd. Szymdt miał więc przy tej okazji bezpośredni dostęp do dokumentów niejawnych o różnych klauzulach (sędzia zapoznaje się z nimi w kancelarii tajnej).

Intensywność i wielokierunkowość aktywności rozliczeniowych Szymdta może jednak prowadzić na manowce.

Sędzia Szymdt zaskoczył polską opinię publiczną, bo nie tyle nawet wyszedł przed szereg, ile skoczył w ogień piekielne Złego i stamtąd śmie się odzywać. Reakcje na aktywność publicystyczną sędziego Tomasza (Niewiernego!!!) są historyczne, a należałoby zachować dystans i cierpliwie poczekać na lepiej przygotowany front oskarżenia. Na razie sprawia to wrażenie armat wytoczonych przeciw komarowi.

A może wzrok trzeba skierować w stronę setek, tysięcy funkcjonariuszy stojących na straży antyszpiegowskiej? Gdzieście byli i co robili? Teraz prześwietlacie kontakty, wydatki, długi sędziego, jego wschodnie peregrynacje? Ta historia jest raczej śmieszna niż straszna, ale ma ewidentnie potencjał rozwojowy. W tym literacko-filmowy. Scenarzyści, do piór! Polska od miłości sędziego Tomasza Szymdta do bałki Łukaszenki się nie zawali. Polsce w ogóle nic groźnego się nie stanie, chyba że sędzia Tomasz wie coś, czego my jeszcze nie zrozumieliśmy. Pozostaje nam życzyć sobie raczej komediowej telenoweli ślaspstickowo-szpiegowskiej niż historii o potwornej zdradzie, zaprzaństwie i uchybieniu godności sędziego. Tomasz Szymdt wystarczająco i wyczerpująco uchybił godności swoim udziałem w aferze hejterskiej. I nie sądzę, żeby to się okazało kwiatkiem do kozucha.

Może warto pamiętać, że jak dotąd to mamy słowa, słowa, słowa wypowiedziane nie tam, gdzie nasi dominatorzy narracyjni by chcieli. Ale gadanie nawet głupot lub naiwności nie jest jeszcze zbrodnią (a groźba dożywocia dla sędziego już się pojawiła...). Chyba że się myłę.

Kiedy lud wymierza sprawiedliwość zdrajcom?

Ci, którzy wymierzali biskupom sprawiedliwość, to był lud Warszawy. A szubienica była odpowiedzią na zdradę

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ

– politolog, członek rzeczywisty PAN, wykłada na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

Czy wiemy, co to jest targowica?

– Niespecjalnie. Poruszamy się po omacku. Raczej jest to inwektywa polityczna stosowana bez opamiętania i bez żadnej próby przemyślenia kontekstu, znaczenia. To słowo żyje własnym życiem.

Uczestniczy w polityce.

– Ale najniższego lotu. A szkoda – targowicę warto przemyśleć, warto pamiętać, że działa się w naszej historii, nie tak bardzo odległej, rzeczy, które powinny powodować rozterki.

W 1792 r., gdy targowica triumfowała, mało kto ze współczesnych zdawał sobie sprawę, co się zdarzyło. Targowiczanie wciąż uważali, że bronią wolności i republiki. Niepodległość wydawała się niezagrożona.

– Jeżeli zajrzymy do publicystyki obozu targowicy, to odnajdziemy tam wiele głosów przytomnych, ważnych. Dykma Bończa-Tomaszewski, sekretarz Generalności, czyli persona znacząca w środowisku targowicy, napisał rozprawkę „Uwagi nad konstytucją i rewolucją dnia 3 maja roku 1791”, w której wyłuszcza argumenty przeciwko konstytucji. Píše, że w obrzydliwy sposób zgwałcono łono polskiej wolności. Że przyjęto obce zasady, dokonano zmiany, która działa się pod dyktando pewnej grupy radykalnych zwolenników zwrotu historycznego. Że były to działania uderzające w tradycję, w swobody republikańskie, w wiarę. Że uderzały w ład, w którym żyły pokolenia – nagle wszystko się zmieniło!

Dlatego przeciwnicy Konstytucji 3 maja poprosili carycę, żeby broniła ich wolności? Tu jest rozum?

– Nie. Tu nie ma głęboko przemyślanych racji, to są jakieś uwikłania, można powiedzieć, kontakty osobiste.

Nie podobała im się polska monarchia, więc zafundowali sobie carskie samodzierżawie.

– Jeśli prosi się o interwencję obce siły i z góry zakłada, że mają one przyczynić się do obalenia istniejącego porządku, to jest rzecz, której usprawiedliwić w żaden sposób nie można.

A wyjaśnić?

– Sądzę, że zaważyły interesy własne. Myśli wielkiej w tym nie było. Jest rozpacz, że przeszłość gdzieś się oddala, więc jest desperacka obrona wszystkich tych posterunków, które można kojarzyć z trwaniem dawnego ładu. Nie ma próby dostosowania się do współczesności. To jest taki konserwatyzm XVIII-wieczny. Może nie oceniamy zbyt surowo. Bo wtedy wszystko było prostsze – masoni, zdrajcy. Kto był zdrajcą, kto zdradził Polskę?

Napisał pan to w felietonie dla PRZEGLĄDU: zdradził Kościół. Przypomniał pan, że 2 września 1792 r. w warszawskich kościołach odczytywano list bp. Antoniego Okęckiego, nawołującego do modłów, „ażeby Bóg pobłogosławił pracom konfederacji generalnej”.

– Jest znakomita książka, jedna z najważniejszych prac historycznych, które powstały w wieku XIX: „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta” autorstwa Waleriana Kalinki. Nie została nigdy wznowiona, a jest to książka demaskatorska, która stawia

kler w niewygodnym położeniu. Pozwala widzieć biskupów jako uczestników intryg politycznych, obyczajowej swawoli; pozwala zastanawiać się nad ich skłonnościami, kiedy mówimy o moralności, przyzwoitości itd. Nie przemyśleliśmy czasów konstytucji, czasów insurekcji do końca, żeby dostrzec głęboki dramatyzm tamtych dziejów. Bo to jest moment zwrotu. Jakaś paralela przykładów francuskich – unicestwienie sakralnej podstawy. Zgładzenie biskupów! Tych, którzy zawsze byli przewodnikami i do których należało władztwo duchowe!

A lud Warszawy ich powiesił, ukarał za udział w targowicy.

– To był moment symbolicznego zerwania. Moment oczyszczenia. Bardzo radykalna zmiana kierunku naszej historii. Ci, co wymierzali biskupom sprawiedliwość, to nie byli jacyś lewacy, którzy oszaleli i postanowili się zemścić. To był lud Warszawy. A szubienica była odpowiedzią na zdradę. To był sprawiedliwy osąd ludu. Zaskakujące, jak bardzo Kościół był oddzielony od głównego nurtu narodowego życia i jak wyalienowany.

Dlaczego Kościół aż tak się zaangażował w obronę dawnego ustroju? Dlaczego popierał reakcję? Targowicę, potem Katarzynę II?

– Trzeba brać pod uwagę realia epoki i pewne wektory, które pozwalają widzieć i rozumieć historię Kościoła. Dziś, gdy pojawia się słowo masoni, masoneria, jest ono kojarzone w sposób trochę efekciarski, trochę marionetkowy, który niestęchanie to spłyca. Myślimy



Obraz Jana Piotra Norblina „Wieszanie zdrajców” przedstawia autentyczne wydarzenie. Wyrok na przywódcach targowicy wykonano *in effigie*, na wizerunkach skazanych, w Warszawie 29 września 1794 r.

o spiskach, intrygach, w najlepszym razie rytuałach itd. A przecież to jest ruch, który miał wielkie aspiracje. To jest wielka tradycja racjonalistycznej wiary w odnowę świata, w całkowitą jego przebudowę. Ale ona zagrażała tej koncepcji prawdy, tej całej tradycji myślenia, która ukształtowała się w nurcie historii Kościoła. Walka była więc tutaj nieprzejednana. To widać, kiedy spoglądamy na poczynania papieżstwa. To jest cały wiek XIX. Kościół podtrzymuje ton alarmu, pojawiają się kolejne encykliki, bulle papieskie, w których masoneria jest piętnowana.

Zaskakuje zapal Kościoła, z jakim ten włączył się w politykę i poparł targowicę, poparł Katarzynę, potem drugi raz, gdy walczyła ona z Kościuszką. Wolał, by prawosławna Rosja panowała nad katolickimi ziemiami polskimi.

– Kościół troszczył się o losy Kościoła. Niekoniecznie o losy wiary, o losy całej wspólnoty wiernych, którzy łączyli najgłębsze nadzieje z jego obecnością w polskim życiu.

I pilnował swoich interesów.

– Swoich interesów, prawda? A barwy narodowe nie miały znaczenia. Katolicyzm, prawosławie, jak tu pogodzić te dwie tradycje? Można! Tam, gdzie pojawia się dążenie

do obrony własnych interesów, nie ma żadnego wahania. Interwencja ze strony wielkiego imperium, które buduje swoją tożsamość na tradycji prawosławia, panom Kościoła nie przeszkadzała.

W efekcie papież Pius VI składał brewe dziękczynne Katarzynie Wielkiej, nazywając ją „heroiną stulecia”. Dziś Kościół już nie jest przeciwnikiem Konstytucji 3 maja. Udaje, że był po dobrej stronie.

– Polskie losy są niesłychanie pogmatwane, jeżeli zastanawiamy się nad fakturą zdarzeń, które przenieśliśmy do kalendarza pamięci. Gdy pojawia się Święto Konstytucji, rzadko myślimy, jak bardzo ta tradycja jest zawita. Bo gdzie dotkniemy – wszystko się chwieje. I wciąż mamy ten sam kłopot. Gdzie byli ci najciotliwsi, a gdzie byli zdrajcy? Gdzie mamy szukać punktu oparcia?

Są zdrajcy, ale są i bohaterowie. Na ich czele Kościuszko, generał wojsk polskich, potem naczelnik insurekcji.

– Bardzo żałuję, że nie doceniamy Kościuszki, nie rozumiemy insurekcji kościuszkowskiej. A to przecież tradycja wielkiego czynu patriotycznego! My nigdy nie byliśmy bliżej Zachodu niż w 1794 r., jeżeli chodzi o pewien przekrój nadziei, o pewną koncepcję świata.

Insurekcja była określeniem się po stronie republiki, po stronie Francji, oświecenia.

– Wolnej Ameryki! Kto w końcu był amerykańskim generałem? Kto otrzymał najwyższe odznaczenia z rąk Amerykanów i stał się bohaterem, którego Ameryka zapamiętała? Poza tym, jeżeli szukamy wzorów cnót, uczestniczących w historii, która nie wspina się na pomniki, jeżeli szukamy przykładów autentycznych, poruszających, ważnych, to Kościuszko jest tu kimś nieprześcignionym. To człowiek, który w tak uczciwy sposób traktował swoje przekonania, że wyrzekł się własnego majątku. Pieniądze, które otrzymał od Kongresu amerykańskiego, zaległą żołnierską zapłatę, przeznaczył na wykup niewolników. Zmniejszył pańszczyznę w swoim majątku, a później, w testamencie, przyznał chłopom wolność. Kościuszko to nie była jakaś polityczna inicjatywa wokół wielkich idei, haseł, która chwiała się na nogach, bo nie bardzo było wiadomo, czy ktoś za kurtyną tego nie wymyślił i nie nakręcił. To było bardzo szczere, bardzo autentyczne – żywa treść republikańskich nadziei.

Powstanie kościuszkowskie było zrywem obywatelskim. Początkiem przełomu, który można kojarzyć z tworzeniem się, powstawaniem narodu obywatelskiego.

Kościół winien być oddzielony od państwa. Naród winien być panem własnego losu i jego prawa powinny być nadrzędne wobec praw Kościoła. Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej wystawię tylko me życie. To jego słowa.

– To była zupełnie inna koncepcja tożsamości narodu niż wcześniej. Konstytucja 3 maja tę kwestię w jakimś sensie ominęła. Natomiast u Kościuszki mamy do czynienia z inną koncepcją działania, która najbardziej zbliża się do idei powszechnego zaangażowania.

Bo wszyscy jesteście równi.

– A jeżeli chodzi o powstania, to jest arcyprzykład, archetyp, bardzo rzadki w polskiej historii przykład połączenia woli i rozumu. Bo nam zawsze brakowało albo woli, albo rozumu.

Porównajmy je z innymi. Powstanie listopadowe? Chłopicki, który ▶

► dramatyzował, hamletyzował. Był w teatrze, gdy proponowano mu dyktaturę, to się wykręcał. Dwa dni później propozycję przyjął, ale nie był przekonany. Chociaż niewątpliwie był wybitnym wojskowym. Umiejętności, rozum – on je miał. Ale woli całkowicie brakowało. Powstanie styczniowe to z kolei jakaś ekwilibrystyka na krawędzi tragedii, śmieszności. Wola walki i całkowity brak rozumu. Tragedia, ale i groteska. Brak sensownej perspektywy. A Kościuszko wszystko przemyslał. W środowisku przeciwników

determinacji wrogość – więc tym brakiem kalkulacji bym się nie zachwycał. Podobnie jak tym, że tak łatwo bohaterowie odstąpili. Że król przystąpił do targowicy. Mamy kłopoty z tym naszym ostatnim królem. Trudno nie docenić wielu jego zasług, ale też trudno uznać, że jego ostatnie działania miały jakiś autentyczny sens polityczny.

Mimo to świętujemy dzień Konstytucji 3 maja, słuchamy przemówień.

– Celebra wokół Konstytucji 3 maja jest świadectwem głodu tradycji, jakiegoś oczekiwania, które można

nowego społeczeństwa. Myślę, że jego historia nie została jeszcze odczytana w taki sposób, który by nas dzisiaj inspirował. Byśmy mogli wyciągnąć z tego ważną naukę poprzez refleksję, nie poprzez obrzędy.

Dotycząc tamtych czasów i dzisiejszych?

– Absolutnie tak. Ale mam jeszcze inną refleksję, niepoprawną. Myślę, że surowy osąd, który dotyczył zdrajców, te szubienice, to był akt oczyszczenia poprzez gniew. Wynikał z tego, że pojawiła się autentyczna rozpacz, że odczuwano dramatyzm położenia, że znikamy, że zostaliśmy rozszarpani – więc jak to wszystko ma wyglądać?

Przywódcy zdradzili swój lud.

– Zastanawiam się, czy dzisiejsi politycy biorą pod uwagę, że można wywołać gniew ludu. Właśnie wtedy, kiedy zdradza się wszelkie idee i zasady, kiedy sprowadza się politykę do kłamstwa, szalbierstwa, manipulacji i można powiedzieć, że najwyższe piętro polityki to platforma X, gdzie wszyscy wszystkich próbują znieważyć, obrazić, wyszydzić. A ludzie domagają się przynajmniej dozy uczciwości w polityce. Gotowości do podjęcia wysiłku myślenia, które wykracza poza realia jarmarcznej szamotaniny. Tego nie ma w polskiej polityce. Nie ma dzieł, nie ma autorytetów, nie ma polityków, którzy chcieliby się angażować. Wszystko jest oparte na manipulacji. Nie wykluczałbym więc, że lud wymierzy sprawiedliwość zdrajcom, bo to jest rodzaj zdrady. Dlatego że zdradza się pewne oczekiwania, ideały, pewne aspiracje.

Nie można traktować ludzi jak podległego elektoratu, którym dowolnie się manipuluje?

– Tak naprawdę chodzi o to, żeby zagłosowali, a potem coś się zrobi i coś się powie. To zdrada, dlatego że każdy akt wyborczy to jest również misterium panowania i sprawowania władzy. I ludzie naprawdę czekają na rzeczy ważne. Nie chcą brnąć w stronę rzewnych roztrząsań, ale takie wartości jak prawda, uczciwość, zasady tkwią w głębi, w sferze oczekiwań.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Jeżeli szukamy przykładów autentycznych, to Kościuszko jest nieprześcigniony. Zmniejszył pańszczyznę w swoim majątku, a w testamencie przyznał chłopom wolność.

targowicy, w Dreźnie, były naciski, żeby jak najszybciej, natychmiast. On oponował, domagał się lepszego przygotowania, przyjął koncepcję działania, która pozwala się zastanawiać, jaki to będzie miało kierunek, przebieg. Myślę, że jest niedoceniany.

Posppekulujmy: gdyby twórcy Konstytucji 3 maja swoją akcję przeprowadzili parę lat później, może nie sprowokowałyby reakcji Rosji, nie byłoby targowicy i II rozbioru? Gdyby Kościuszko insurekcję przeprowadził później, gdy Francja miała inną pozycję, może byśmy jako państwo przetrwali? Może warto było poczekać na lepsze czasy?

– Myślę, że w tych działaniach odnajdziemy rodzaj silnej afektacji patriotycznej i zupełny brak kalkulacji. Wola działania przewyższała rygory prawdopodobieństwa. Przewyższała te wszystkie wymagania, które dotyczą polityki rozumianej jako sztuka możliwości. Nikt tego, co możliwe, a co nie, nie brał pod uwagę. W tym nie było żadnego elementu trzeźwej kalkulacji, oszacowania zagrożeń, uwzględnienia interesów innych państw, uwarunkowań, które wpływają na ich postępowanie. A interesy Kościoła? Podobnie. Nikt nie zastanawiał się nad tym, że pogwałcenie pryncypiów kościelnej tradycji może spowodować konflikt i wywołać pełną

by kojarzyć z ustanowieniem symbolicznego porządku nowych zasad. Ale – to trzeba powiedzieć – ten typ myślenia, z którym mamy do czynienia dzisiaj, brawurowe, entuzjastyczne zaangażowanie po stronie tradycji 3 Maja, jest czymś mało przekonującym, bo widzimy dziury i szczeliny w wielu miejscach. Ale też do jakiej tradycji mamy sięgać?

Mamy głód symboliki, prawda?

– Mamy. Ale tego głodu już nie zaspokoimy. Dlatego że w czasach, kiedy polityka przechyla się w stronę kiczowatości w sposób tak gwałtowny, tak rozpaczliwy, wszelkie symbole będą miały charakter parodii.

Parodią jest opowieść, że Bruksela jest targowicą.

– Podobnie jak opowieść o „partii zewnętrznej”, działającej w imieniu wrogów. To dokładnie ta sama konstrukcja – że są obce dwory i zdrajcy, którzy czerpią korzyści z tego, że stoją po stronie obcych interesów.

Lata 1791-1795 to wielki polski konflikt. Niezakończony. Między reformatorami a konserwatystami, między racjonalistami a tradycjonalistami, między Wschodem i Zachodem, narodem i Kościołem.

– Między utopistami i realistami, też bym powiedział, nieco naciągając. Znowu Kościuszko przychodzi mi na myśl, bo jego idea była realistyczna o tyle, że zabierał się do budowania nowej tkanki społecznej,



Z Galicji

Jan Widacki

Obok orła znak pogoni...

Pprzed 30 laty, dokładnie 26 kwietnia 1994 r., prezydenci Polski i Litwy, Lech Wałęsa i Algirdas Brazauskas, podpisali w Wilnie traktat polsko-litewski. Polska na początku lat 90. zawarła podobne traktaty z wszystkimi swoimi sąsiadami, ale podpisanie układu z Litwą nie było proste z kilku powodów. Jednym z nich było to, że na kształt tego dokumentu chciały mieć wpływ nie tylko obydwie układające się strony, ale też mniejszość polska na Litwie. Ta polska mniejszość na Wileńszczyźnie, dla Litwinów Litwie Wschodniej, w rejonach wileńskim i sołecznickim na wsiach faktycznie była w większości, a w samym Wilnie stanowiła niemal 20% mieszkańców. Działało tam ponad 200 szkół z polskim językiem nauczania, liczne polskie zespoły folklorystyczne, co najmniej kilkanaście rozmaitych organizacji społecznych, w tym zastrzeżona dla polskiego szkolnictwa Polska Macierz Szkolna. Najsilniejszą organizacją społeczną był niewątpliwie Związek Polaków na Litwie, który brał udział w wyborach samorządowych, a więc był nie tylko organizacją społeczno-kulturalną, ale i polityczną. Co więcej, wkrótce utworzył on partię polityczną Akcja Wyborcza Polaków na Litwie i pod tym szyldem brał udział w wyborach parlamentarnych.

Państwo polskie czuło się zobowiązane wspierać działalność kulturalną swojej mniejszości, wspierać polskie szkolnictwo, tak jak to czyniło wszędzie tam, gdzie mieszkała mniejszość polska. Co do tego, że jest to konieczne, nikt w Polsce nie miał wątpliwości. Ale czy państwo polskie powinno wspierać partię polityczną swojej mniejszości uczestniczącą w polityce litewskiej, dążącą do udziału we władzy? Wspierać ją finansowo lub organizacyjnie w wyborach do sejmu? Czy miało taki obowiązek? A przede wszystkim czy miało do tego prawo? Czy miało prawo wspierania w walce politycznej w ościenym, suwerennym państwie jednej z jego partii, choćby to była partia polskiej mniejszości? W Polsce zdania były podzielone. Różne środowiska kresowe chciały koniecznie wpisać do traktatu jeśli już nie autonomię polskich rejonów na Litwie, to przynajmniej Uniwersytet Polski, który Litwini powinni uznać, choć kadry miał za mało, nawet aby obsadzić liceum. Chciały też, by traktat wymusił na Litwinach zwrot budynków, które przed wojną należały w Wilnie do rozmaitych polskich organizacji, od dawna zresztą nieistniejących. Argument, że w Gdańsku, Wrocławiu czy Szczecinie nie zwracamy organizacjom niemieckim budynków, które były ich własnością przed wojną, zupełnie do nich nie trafiał.

Środowiska prawicowe na Litwie domagały się, by w traktacie Polska potępiła „agresję Żeligowskiego” i „okupację Wilna i Wileńszczyzny” w okresie międzywojennym. Komisja Języka Litewskiego domagała się, by w wychodzących w Wilnie polskich gazetach zamiast Wilno pisać Vilnius, a tytuł największej polskiej gazety „Kurier Wileński” zmienić na „Kurier Vilniuskis”.

Nacjonaliści litewscy licytowali się z polskimi. Oczywiście nikt nie uważał się za nacjonalistę, tylko za „prawdziwego patriotę”. Spory zdawały się nie mieć końca. Traktat, z trudem wynegocjowany, był mądrym kompromisem, które te spory zakończył. Nikt w nim nie potępiał wydarzeń historycznych. Mniejszościom zagwarantowano prawa zgodnie ze standardem europejskim. Nacjonaliści litewscy byli zawiedzeni. Gdy w sejmie litewskim głosowano nad ratyfikacją traktatu, część konserwatywnych posłów demonstracyjnie opuściła salę. Na szczęście większość w sejmie mieli wtedy socjaldemokraci. Kompromisowy traktat został ratyfikowany. W Polsce też. W dodatku jednogłośnie. Ekstremiści po obu stronach byli jednak rozczarowani.

W Wilnie uroczystości obchodzono rocznicę podpisania traktatu polsko-litewskiego. W Warszawie nikt jej nie zauważył. Trochę szkoda.

Od tego czasu minęło 30 lat. Zmieniło się pokolenie. Dziś Polska i Litwa są członkami UE i NATO. Obawa przed imperializmem rosyjskim okazała się dodatkowym ważnym czynnikiem zbliżającym obydwa państwa. Nie ma wprawdzie Uniwersytetu Polskiego w Wilnie, ale działa tu filia Uniwersytetu w Białymstoku. W Wilnie wychodzą polskie gazety, w eterze obecne jest Radio Znad Wilii, działają polskie szkoły. Układ z Schengen zlikwidował granicę. W rządzie litewskim ministrem sprawiedliwości jest Polka, reprezentująca wprawdzie nie Akcję Wyborczą Polaków na Litwie, ale litewską Partię Wolności, na czele samorządów rejonu wileńskiego i sołecznickiego stoją polscy starostowie. Jest wreszcie normalnie. Oczywiście od czasu do czasu jacyś ekstremiści z jednej lub drugiej strony dają o sobie znać, ale nie ma to większego wpływu na ogólny stan stosunków między Polską a Litwą. Co ciekawe, w Wilnie uroczystości obchodzono rocznicę podpisania traktatu. W Warszawie nikt tej rocznicy nie zauważył. Trochę szkoda. ■

Kopernik wstąpił do PiS

Akademia Kopernikańska, która miała być wizytówką polskiej nauki na arenie międzynarodowej, stała się przytuliskiem dla osób związanych z partią Jarosława Kaczyńskiego

Andrzej Sikorski

Akademia Kopernikańska została utworzona w 2022 r. z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy. W uzasadnieniu do projektu ustawy powołującej akademię roi się od frazesów. Napisano m.in., że „inicjatywa ta stanowić będzie uczczenie najwybitniejszego polskiego uczonego Mikołaja Kopernika” i „ma być trwałym pomnikiem wzniesionym naszemu rodakowi”, a poprzez umiejscowienie jej w Polsce i „dzięki jej międzynarodowemu charakterowi utrwalone zostanie w całym świecie niekwestionowane identyfikowanie Mikołaja Kopernika z Polską”. Akademia Kopernikańska miała też „zwiększyć konkurencyjność i rozpoznawalność polskiej nauki na świecie” oraz „umacniać pozycję polskiej nauki na świecie” poprzez integrację polskich i zagranicznych naukowców, finansowanie badań naukowych, przyznawanie grantów i stypendiów, organizowanie konferencji, sympozjów.

„Akademia Kopernikańska jest nowym wymiarem i płaszczyzną współpracy na najwyższym poziomie najwybitniejszych przedstawicieli świata nauki z całego świata, w tym tych pochodzenia polskiego w obszarach kopernikańskich. Ma tworzyć elity dla Polski, Europy i świata w najbliższych 20 latach, a mam nadzieję, że zdecydowanie dłużej”, powiedział minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek.

Celebra i projekt polityczny

Środowiska naukowe nie były jednak zachwycone pomysłem PiS. Krytyczne stanowiska wyraziły m.in. Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Rada Główna Nauki



Minister Przemysław Czarnek i prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości skierowania do Sejmu projektu ustawy o Akademii Kopernikańskiej. Warszawa, 2 marca 2022 r.

i Szkolnictwa Wyższego, Narodowe Centrum Nauki, Polska Akademia Umiejętności i Polska Akademia Nauk.

„Sprawa kluczowa: po co to wszystko? Jeżeli głównym celem jest celebrowanie, to proszę bardzo. Ale jeśli głównym celem jest poprawienie stanu nauki w Polsce, to chciałbym zwrócić uwagę (...) na dramatyczną sytuację z kadrą. W tej chwili, jeżeli porównać sytuację w Polsce z sytuacją w Europie, to brakuje ok. 100 tys. pracowników badawczych, głównie powiązanych z przemysłem. To jest kwota rzędu kilku miliardów złotych, którą trzeba zainwestować w ludzi, nie w mury, bo w to już zainwestowano. Sama akademia niczego nie zmienia. (...) Proszę państwa, z tego po prostu nic nie będzie poza fasadą, przepraszam za słowo,

wioską potiomkinowską, którą nam się funduje”, mówił podczas posiedzenia sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży prof. dr hab. Jerzy Langer, prezes Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Na inny aspekt utworzenia akademii zwrócił uwagę prof. dr hab. Jacek Kuźnicki, przewodniczący Rady Narodowego Centrum Nauki: „Jest to projekt polityczny i daje politykom prawo decydowania o członkach tej akademii oraz o przyznawaniu nagród, przyznawaniu grantów i innych rodzajów funduszy. Mimo wielu deklaracji w projekcie i w uzasadnieniu projektu dubluje on wszystkie istniejące organizacje finansujące naukę w Polsce. Co więcej, dublując je, nie pokazuje, jakimi schematami będzie przyznawał środki finansowe na naukę”.

Rzeczywiście Akademia Kopernikańska to dziwaczny twór, który powieliła zadania licznych instytutów badawczych, instytutów Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej czy Narodowego Centrum Nauki. Co najważniejsze, jest to twór upolityczniony, a przecież nauka powinna być

kontrolę. Podczas wykonywanych czynności Mazurek zachowywał się w stosunku do funkcjonariuszy w sposób wulgarny i chamski, groząc konsekwencjami i odpowiedzialnością karną. Wykrzykiwał ponoć strażnikowi więziennemu w twarz, że „mają krew na rękach”. Kamil Bachanowicz, wiceszef NSZZ Funkcjonariuszy i Pracowników Więziennictwa, w liście do Zbigniewa Ziobry zwrócił się

Medycznych, Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, Filozofii i Teologii oraz Nauk Prawnych, w których zasiadać mieli najwybitniejsi ludzie światowej nauki. Na razie powołano ponad 40 członków (docelowo ma być ich nawet 100). W większości jednak trudno o nich powiedzieć, aby byli światowymi tytanami intelektu.

W Izbie Nauk Ekonomicznych i Zarządzania zasiadają prezes NBP Adam Glapiński i jego zastępczyni Marta Kightley. Wiele wskazuje na to, że pozostali członkowie tej izby trafili do niej z polecenia Glapińskiego. Są wśród nich prezesi narodowych banków Austrii i Szwajcarii Robert Holzmann i Thomas J. Jordan. Z kolei amerykański historyk ekonomii prof. Harold James za pieniądze z NBP i IPN w ramach projektu „Opowiadamy Polskę światu” napisał artykuł wychwalający polską transformację. Dr hab. Zbigniew Krysiak to znany z osobliwych poglądów stały komentator pisowskich mediów, a także prezes chrześcijańskiego Instytutu Myśli Schumana. Krysiak twierdził m.in., że jest zwolennikiem stworzenia nowej frakcji w Parlamencie Europejskim, która będzie angażowała chrześcijan i katolików, i nadszedł czas, „by politycy polskiej prawicy stali się misjonarzami w Europie”.

W Izbie Nauk Prawnych zasiadają Elżbieta Karska i Anna Łabno. Pierwsza jest żoną europosła PiS Karola Karskiego. Upolityczniona neo-KRS ulokowała ją w Sądzie Najwyższym. Rząd PiS kilkakrotnie chciał Karskiej

Akademia Kopernikańska została utworzona w 2022 r. z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy.

wolna od wszelkich nacisków partyjno-ideologicznych. Tymczasem Akademię Kopernikańską nadzoruje minister nauki, a jej członków i sekretarza generalnego, który kieruje działalnością akademii, powołuje prezydent.

Oficer do zadań specjalnych

Sekretarzem generalnym akademii został astronom prof. Krzysztof Górski. Na to stanowisko powołał go Andrzej Duda na wniosek ministra Czarnka. Prawą ręką prof. Górskiego, na stanowisku dyrektora Biura Akademii Kopernikańskiej, jest płk dr hab. Witold Mazurek. To bardzo ciekawa postać, profesor Akademii Ignatianum w Krakowie, kościelnej szkoły wyższej prowadzonej przez Prowincję Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego. Jak sam się chwali, „karierę w służbach mundurowych rozpoczął od egzaminu oficerskiego w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu”, potem wstąpił do Służby Więziennej, następnie był funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego (sic!).

W 2016 r. Mazurek został oddelegowany na stanowisko naczelnika Wydziału ds. Służby Więziennej w Ministerstwie Sprawiedliwości. Gdy w lutym 2022 r. w Zakładzie Karnym w Rzeszowie doszło do brutalnego zabójstwa więziennej psycholog przez tymczasowo osadzonego przestępcę, minister Zbigniew Ziobro wysłał Mazurka, by przeprowadził

o „natychmiastowe odsunięcie od postępowania wyjaśniającego” Mazurka. Nie była to pierwsza skarga na tego oficera. Już wcześniej w innej sprawie związkowcy skarżyli się, że „sposoby przesłuchiwanie świadków przypominały sposoby minionej epoki, jakie były stosowane w Służbie Bezpieczeństwa”.

W 2022 r. minister Czarnek mianował Mazurka zastępcą dyrektora w Departamencie Współpracy Międzynarodowej w Ministerstwie Edukacji i Nauki. Teraz funkcjonariusz tajnych służb będzie patrzył na ręce naukowcom.

Prezes Glapiński, krewni i znajomi królika

W skład Akademii Kopernikańskiej wchodzi Centrum Badawcze Mikołaja Kopernika i Szkoła Główna Mikołaja Kopernika, której „partnerem strate-

Akademii nadzoruje minister nauki, a jej członków i sekretarza generalnego, który kieruje działalnością akademii, powołuje prezydent.

gicznym” jest Narodowy Bank Polski. To swoiście pojmowane partnerstwo polega na tym, że Szkoła Główna Mikołaja Kopernika jest ściśle powiązana z NBP, który zapewnia uczelni „wsparcie mentorskie i merytoryczne”, co w praktyce oznacza, że zaufani ludzie prezesa Adama Glapińskiego mają dodatkowe źródło zarobków.

Jednak wizytówką akademii jest pięć izb: Astronomii i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych, Nauk

zapewnić posadę w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu, ale Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy za każdym razem odrzucało jej kandydaturę jako niedającą gwarancji apolityczności, niezależności i niezawisłości.

Łabno to pisowska ekspertka prawna, która legitymizowała zamach PiS na niezawisłość sądownictwa. W 2017 r., przedstawiając wyniki ankiety konstytucyjnej, którą ▶

► opracowała na zlecenie partii rządzącej i która miała być podstawą do prac nad nową ustawą zasadniczą, starała się stworzyć wrażenie, że prezentuje opinię całego środowiska prawniczego. Przemilczała fakt, że większość prawników zbojkotowała ankietę. Łabno zasłynęła też tym, że podczas zdalnych zajęć kazała studentce usunąć zdjęcie profilowe – błyskawicę, symbol protestów przeciw zaostrażaniu prawa antyaborcyjnego. Twierdziła, że błyskawica jest znakiem nie tylko Strajku Kobiet, ale też Hitlerjugend i SS.

Kardynał ministra Czarnka

W Izbie Filozofii i Teologii zasiadają niemiecki kardynał Gerhard Müller i ks. Paweł Bortkiewicz. Kardynał uważany jest za pieśczocho pisowskich mediów, a to dlatego, że mówi językiem polityków partii Jarosława Kaczyńskiego. Krytykuje liberalnych hierarchów za rzekome odstępstwa

od wiary, sprzeciwia się jakimkolwiek reformom w Kościele, zwalcza środowiska LGBT, liberałów, zielonych i Unię Europejską. W lipcu 2023 r. kard. Müller pofatygował się do Lublina, gdzie w kościele pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w asyście sześciu księży udzielił ślubu córce ministra Przemysława Czarnka, z którym się przyjaźni.

Ks. Bortkiewicz jest wykładowcą toruńskiej uczelni Tadeusza Rydyka, był członkiem Narodowej Rady Rozwoju działającej przy prezydencie RP. Określa siebie jako transfoba i homofoba. O europościach PO, którzy poparli rezolucję Parlamentu Europejskiego krytykującą antydemokratyczne rządy PiS, Bortkiewicz powiedział, że „im nawet nie powinno się dać kury szczać prowadzić (...), ale z drugiej strony trzeba o tych ludziach pamiętać (...), tak jak pamiętamy z trwogą o zdrajcach”. Z kolei o burmistrzu Wadowic, który podjął decyzję o usunięciu z herbu miasta

kluczy św. Piotra, mówił, że „jego miejsce jest w szambie”.

Wojskowy sznyt

Z kolei w Izbie Nauk Medycznych zasiadają wojskowi medycy: gen. prof. dr hab. Grzegorz Gielerak i płk dr hab. Leszek Markuszewski. Gielerak jest szefem Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, przyjacielem i osobistym lekarzem Jarosława Kaczyńskiego. W 2018 r. paparazzi przyłapali Gieleraka, gdy ten pojawił się pod domem prezesa PiS na warszawskim Żoliborzu z kulami ortopedycznymi.

Markuszewski również jest podpięty pod PiS. W 2019 r. Henryk Kowalczyk, wówczas minister środowiska, powołał go w skład zarządu głównego Polskiego Związku Łowieckiego. W 2020 r. kolejny minister środowiska, Michał Woś, mianował Markuszewskiego swoim doradcą „ds. tradycji i kultury łowieckiej”. Wcześniej, gdy był dyrektorem szpitala Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, Markuszewski został oskarżony przez kardiologa prof. Jana Gocha o plagiat. Pod swoim nazwiskiem opublikował w czasopiśmie „Ultrasonografia” pięć artykułów, które miały być skopiowane z prac doktorskich podopiecznych Gocha. Rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi powołał uczelnianą komisję, która miała wyjaśnić zarzuty. Komisja ogłosiła, że „osoba, na której spoczywa udokumentowany zarzut naruszenia dobrych obyczajów w nauce i podejrzenie innych poważnych nieprawidłowości, nie powinna pełnić funkcji kierowniczych w społeczności akademickiej”, ale Markuszewskiemu włos z głowy nie spadł, bo dostał jedynie upomnienie. Afera z plagiatem miała zapewne wpływ na to, że Markuszewski nie obronił habilitacji. Dostał wilczy bilet na własnej uczelni, co odbiło się głośnym echem w środowisku. Habilitację zrobił dopiero na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie.

Niejasne granty i przetargi

Jednym z głównych zadań Akademii Kopernikańskiej jest przyznawanie grantów Mikołaja Kopernika

Z głębokim żalem żegnamy Przyjaciela i Współpracownika

Zbigniewa Szałajdę

Wybitnego działacza gospodarczego i państwowego,
wiceprezesa Rady Ministrów, ministra hutnictwa, budowniczego
i dyrektora naczelnego Huty Katowice,

uhonorowanego najwyższymi odznaczeniami państwowymi.

Zmarł kilka dni przed 90. urodzinami. Należał do pokolenia, któremu przyszło odbudowywać kraj z wojennych zniszczeń i uczestniczyć w budowie nowoczesnego przemysłu. Brał udział w kierowaniu gospodarką narodową w najtrudniejszym dla niej okresie lat 80., kiedy traciła ona swoją płynność, a skądinąd słuszne protesty i strajki pracownicze pogłębiały stan kryzysu. Wrażliwy na sprawy społeczne, życzliwy ludziom, angażował się w rozwiązywanie problemów ważnych dla obywateli. Pozostawił po sobie konkretne osiągnięcia i dobre wspomnienia.

W pełni zasłużył na godne miejsce w naszej historii.

Cześć Jego pamięci!

Żonie i całej Rodzinie składamy serdeczne wyrazy współczucia
M. Gorywoda, F. Kubiczek, B. Domański, K. Gębka, M. Kossowski,
F. Krawczyński, E. Kuczera, W. Mokrzyński, A. Żor, A. Wielądek,
J. Kamiński, B. Liberadzki, J. Kisilowski

(maksymalna kwota to 1,5 mln zł), które miały trafić do „naukowców o uznanej pozycji międzynarodowej, realizujących ważne badania”. Pierwszy konkurs ogłoszono latem 2023 r. z miesięcznym terminem zgłaszania wniosków, co było w zasadzie nierealne, bo jednym z warunków przystąpienia do konkursu było znalezienie zagranicznego partnera. Pomimo wyśrubowanych terminów do akademii wpłynęło kilkanaście zgłoszeń. Obok uznanych ośrodków naukowych, takich jak Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika PAN, znalazły się m.in. Fundacja Polska Wielki Projekt (fundacja Anny Bieleckiej, do której Jarosław Kaczyński chadza na niedzielne obiady), kościelna Fundacja Pro Futuro Theologiae, która ze środków z Funduszu Sprawiedliwości stworzyła raport o naruszeniach wolności

w stanie wykonać usługę za połowę podanej przez nią ceny, przetarg został unieważniony.

Turystyka, polityka i sympozja

Na razie sekretarz generalny akademii prof. Krzysztof Górski i dyrektor biura płk Witold Mazurek zajęci są głównie nawiązywaniem kontaktów międzynarodowych. Ale nie z wiodącymi światowymi ośrodkami naukowymi znanymi z doskonałego poziomu badań, takimi jak Harvard, Stanford, Massachusetts Institute of Technology, Cambridge, Oksford, Yale, Princeton czy choćby CERN...

Płk Mazurek udał się np. do Belgradu, gdzie w ambasadzie RP podpisał umowę z ambasadorem Rafałem Pawłem Perlem „o nawiązaniu współpracy na rzecz rozwoju nauki i transferu wiedzy” pomiędzy

nauki i transfer wiedzy, tego już nie wyjaśniono, ale Polsko-Grecka Izba Przemysłowo-Handlowa ma inne cele, a są nimi „wspomaganie stosunków gospodarczych i handlowych pomiędzy Polską i Grecją, a także ochrona i popieranie polskich interesów gospodarczych w Grecji oraz greckich interesów w Polsce”.

Prof. Górski odbył podróż do pięknej Italii, gdzie w Rzymie spotkał się z wiceprzewodniczącym Senatu Republiki Włoskiej Gian Markiem Centinaiem, przewodniczącym Komisji Kultury i Dziedzictwa Kulturowego, Edukacji, Badań Naukowych i Sportu Senatu Republiki Włoskiej Robertem Martim oraz włoską polityczką Simoną Baldassarre. Dobór rozmówców był chyba nieprzypadkowy. Baldassare i Centinaio to politycy Ligii Północnej, proputinowskiej sojuszniczki PiS. Marti zaś to polityk nacjonalistycznej i separatystycznej Sardyńskiej Partii Akcji.

A może uznać za sukces podpisanie przez prof. Górskiego i płk. Mazurka umowy o współpracy z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Policji (International Police Association)? Co prawda, IPA nie zajmuje się badaniami naukowymi, ale jest największym stowarzyszeniem na świecie, z prawie 400 tys. członków w 65 krajach, a dorobek Mikołaja Kopernika można skutecznie promować także wśród policjantów na całym świecie.

Prof. Górski i płk Mazurek podpisali też porozumienie z Anastase Shyaka, ambasadorem Republiki Rwandy w Polsce, „dotyczące rozwoju badań naukowych, przygotowywania i organizowania konferencji, sympozjów i seminariów”. Dlaczego akurat wybrano jedno z najbiedniejszych państw Afryki, w którym 90% ludności pracuje w rolnictwie, przemysł nie istnieje, utwardzone są jedynie główne drogi, nie ma kolei i ośrodków naukowych – tego już nie wyjaśniono.

Wiadomo natomiast, że utrzymanie nikomu niepotrzebnej Akademii Kopernikańskiej będzie kosztować budżet państwa co roku ok. 25 mln zł. O 25 mln zł za dużo.

Utrzymanie nikomu niepotrzebnej akademii będzie kosztować budżet państwa co roku ok. 25 mln zł. O 25 mln zł za dużo.

religijnej w Polsce, czy resortowa Akademia Wymiaru Sprawiedliwości, której rektorem jest Michał Sopiński, polityk Suwerennej Polski, który chciał golić głowy i odbierać polskie obywatelstwo badaczom Zagłady.

Okoliczności organizacji konkursu, a także sam jego przebieg (w mediach pojawiły się informacje świadczące o tym, że mógł być nietransparentny) spowodowały wrzawę w środowisku naukowym, a konkurs unieważniono. Po jakimś czasie ogłoszono go ponownie, tyle że zmieniono regulamin. W nowej wersji dodano zapis o tym, że „wyłącza się możliwość przyznania Grantu Mikołaja Kopernika członkom Akademii lub przedstawicielom organów Akademii”.

Podejrzany był również przetarg na obsługę mediów społecznych Akademii Kopernikańskiej. Wygrała go firma, która zaoferowała najwyższą cenę (370 tys. zł), a na rynku funkcjonuje zaledwie od roku. Gdy inni oferenci zarzucili akademii faworyzowanie niedoświadczonej firmy, twierdząc przy tym, że są

ambasadą i Akademią Kopernikańską (sic!). Jak napisano w specjalnym komunikacie, „obie strony wyraziły wolę wzajemnego wsparcia organizacyjnego w realizacji projektów badawczych, konferencji, sympozjów i seminariów naukowych poświęconych życiu i spuściznie naukowej wielkiego polskiego uczonego, Mikołaja Kopernika”.

Prof. Górski i płk Mazurek odwiedzili Kawałę w Grecji, gdzie spotkali się z władzami miasta. Przedstawiciele elitarnego ośrodka naukowego, który ma za zadanie „umacniać pozycję polskiej nauki na świecie”, rozmawiali „o korzyściach, jakie może przynieść planowana współpraca między Akademią a gminą Kawała w kontekście rozwojowej roli samorządu lokalnego w sprawach gospodarczych, społecznych i kulturalnych, zwłaszcza w dziedzinie turystyki”.

Będąc w Grecji, przedstawiciele Akademii Kopernikańskiej nawiązali współpracę „na rzecz rozwoju nauki i transferu wiedzy” z Polsko-Grecką Izbą Przemysłowo-Handlową. Na czym ma polegać rozwój

Andrzej Sikorski

AFERA KLASY PREMIUM

Jedno w sprawie nowego skandalu wokół Daniela Obajtka jest pewne – dzięki niemu Polska weszła do globalnej ekstraklasy podejrzanych biznesów



Mateusz Mazzini

Ta historia musiała zyskać filtr krajowej polityki, i to więcej niż jeden. Dla zwolenników rządu Zjednoczonej Prawicy były już prezes Orlenu był jednym z największych idoli, talentów młodego pokolenia, ale też symbolem awansu społecznego, odblokowania dróg rozwoju, zabetonowanych wcześniej przez liberalne elity postsolidarnościowe.

Człowiek wielu talentów

Oto przecież wójt Pcimia, człowiek młody, wydawałoby się bez konsekwencji, dzięki swojemu menedżerskiemu kunsztowi zostaje szefem narodowego czempiona, najważniejszej spółki w portfolio skarbu państwa. Z kolei wyborcy obecnego obozu rządzącego widzą w nim uosobienie wszystkich patologii czasów PiS. Niedoświadczony, niespecjalnie inteligentny cwaniaczek ze smykalką do przekrętów został wypromowany za

bezwzględną lojalność wobec prezesa Kaczyńskiego, psując w Orleniu właściwie wszystko, co się da. A przy okazji działał na szkodę nie tylko firmy, ale i bezpieczeństwa kraju. Wszak to spółka z zakresu infrastruktury krytycznej, a Obajtek odsprzedał jej część za bezcen i nie wiadomo po co Saudyjczykom z Saudi Aramco.

Jakby tego było mało, PiS wsadziło go na czoło swojej podkarpackiej listy do europarlamentu, praktycznie zapewniając mu mandat, a co za tym idzie immunitet. Wprawdzie można będzie się starać o uchylenie immunitetu, ale znacznie skomplikuje to postawienie byłego prezesa Orlenu w stan oskarżenia. Jeśli oczywiście prokuratura będzie miała do tego podstawy, a przede wszystkim wolę.

Jest jeszcze inny punkt widzenia na ostatnie miesiące w życiu i działalności Daniela Obajtka, z polską polityką całkowicie niezwiązany, ale interesujący i ważny. Chodzi o to, jak działania Orlenu pod jego rządami wpisują się w sposoby funkcjonowania tego typu podmiotów na świecie

i całego sektora handlu surowcami naturalnymi. Już transakcja z Saudi Aramco rzuciła trochę światła na to, jak Obajtek widział siebie i prowadzoną przez siebie spółkę na globalnej mapie interesów strategicznych. Uważał ją za pierwszoligowe mocarstwo, a siebie za tego, który zasiada z możnymi przy jednym stole.

Niewiele jednak z tego wyszło. Zamiast realnych wpływów są zniknięcia ogromnych kwot, choć trzeba przyznać, że jedno Obajtkowi się udało: wygenerował bodaj pierwszą w historii demokratycznej Polski aferę, przez którą nasz kraj wpadł w sam środek dyskusji o podejrzanych transakcjach surowcowych, dziwnych jurysdykcjach i postaciach, które istnieją tylko po to, żeby umożliwiać przepływ gigantycznych sum.

Pieniądze wyszły i nie wróciły

Wszystko to stało się za sprawą spółki Orlen Trading Switzerland (OTS), zarejestrowanej w sierpniu 2022 r. w szwajcarskim kantonie Zug.

Obajtek tłumaczy dziś, że jej powołanie miało wyeliminować pośredników z łańcucha dostaw. W wywiadzie dla serwisu Money.pl z końca kwietnia opowiadał, że pomysł stworzenia OTS wyszedł od jednego z członków zarządu, a on go poparł, bo „wszystkie koncerny paliwowe na świecie mają spółki tradingowe”. Dodał potem, że wcześniej brak

(choć niewykluczone, że ma dwa obywatelstwa), zawiadujący spółką zarejestrowaną w Dubaju. Do tego dochodzi wątek Samera A., byłego już prezesa OTS, pochodzącego z Libanu biznesmena legitymującego się polskim paszportem. Według informacji Onetu mężczyzna jest podejrzewany o związki z Hezbollahem, jak również o obrót objętą sankcjami

przewrotny sposób, że Polska stała się pełnoprawnym i pełnowymiarowym uczestnikiem zglobalizowanej gry finansowej, zwłaszcza tej poza oficjalnym obiegiem, w szarej strefie interesów.

Prześledźmy zagraniczne wątki w historii OTS. Firma zarejestrowana została w kantonie Zug, czyli jednym z europejskich rajów podatkowych.

Samo miasteczko Zug, niespełna 30-tysięczne, z prawnego punktu widzenia jest wytworem późnego kapitalizmu. Stawka podatku CIT wyno-

si tu 11,8% i jest najniższa w całej Szwajcarii. Do tej pory zarejestrowano w Zug 35 tys. podmiotów gospodarczych, w tym dziesiątki firm handlujących surowcami. Siedzibę miała tu m.in. europejska spółka Gazpromu i mnóstwo innych biznesów należących do rosyjskich oligarchów. Na Zug wielu w Szwajcarii mówiło nawet „mała Moskwa”.

Znowu – prawdopodobnie da się to wytłumaczyć, jeśli ktoś bardzo chce. Rejestrowanie spółki w Zug nie jest nielegalne. To, że obok nas sankcji unikają rosyjscy poplecznicy Putina, którzy swoje

Firma OTS dokonała zakupu paliwa za kwotę ok. 1,6 mld zł, wypłacając pieniądze bez żadnych gwarancji pośrednikom jeszcze w 2023 r.

takiego podmiotu w strukturze Orlenu był „patologią”.

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego OTS powstała tak późno, skoro Obajtek prezesem zarządu Orlenu został 5 lutego 2018 r. Zlikwidowanie tej „patologii” zajęło mu aż cztery i pół roku. W typowy dla siebie sposób broni się teraz, że przyjmował strategię mimikry. Robił to, co robią inni, na zasadzie próby replikowania cudzego sukcesu. Ani razu nie podpisał przy tym analizami merytorycznymi, nie wsparł go też żaden ekspert od handlu surowcami, bo sam Obajtek przecież nim nie jest.

Resztę tej historii zna cała Polska. OTS dokonała zakupu paliwa za kwotę ok. 1,6 mld zł, wypłacając pieniądze bez żadnych gwarancji pośrednikom jeszcze w 2023 r. Ropa ta nigdy nie dotarła do polskiego odbiorcy ani do jego szwajcarskiej spółki córki. Wenezuelski surowiec, który na chwilę stał się dostępny z powodu uchylecia międzynarodowych sankcji nałożonych na reżim Nicolása Madura, miał zostać załadowany na wynajęte przez OTS tankowce, za których postojowe spółka oczywiście płaciła, łącznie ponad 30 mln dol. Amerykanie jednak przywrócili sankcje, bo Maduro wszystkich oszukał, znów zaczął dławić opozycję i zamykać przeciwników politycznych, stało się więc jasne, że z wenezuelskiej demokracji nicy. Ale pieniądze wyszły w świat i już nie wrócą, można to z dużą odpowiedzialnością stwierdzić już w tej chwili.

240 mln dol. miał otrzymać 25-letni obywatel Chin lub Hongkongu

ropą z Iranu (ten ostatni wątek nie dotyczy OTS).

Sprawa jest rozwojowa, będzie miała następne etapy zarówno z politycznego, jak i prawnego punktu widzenia. 1,6 mld zł to niemała kwota nawet dla takiego giganta jak Orlen, a pojawiające się wątki bliskowschodnie każą cały ten łańcuszek traktować bardzo poważnie, nawet jeśli okażą się nieprawdziwe.

Łatwo dojść do powierzchownego wniosku, że Obajtek zasponsorował terrorystów z pieniędzy polskich podatników, ale jest to na razie nieuzasadnione twierdzenie. Nie wiadomo,

Ropa nigdy nie dotarła do polskiego odbiorcy ani do jego szwajcarskiej spółki córki.

gdzie trafiły środki OTS ani kto wiedział o transakcji. Były prezes Orlenu twierdzi, że Samera A. widział na żywo tylko raz, nie nadzorował osobiście działalności szwajcarskiej spółki, w co akurat można uwierzyć, lecz żadnego usprawiedliwienia to nie stanowi, bo przed powołaniem pana A. na tak eksponowane stanowisko przestrzegali Obajtka oficerowie polskich służb: obecni, działający w ich strukturach, i byli, pracujący w dziale bezpieczeństwa Orlenu.

Zagraniczne wątki OTS

Z międzynarodowego punktu widzenia ta afera mówi jednak coś innego. Pokazuje bowiem, w dość

firmy przerejestrowali na żony lub krewnych z europejskimi paszportami, nie musi oznaczać, że i my robimy podejrzanе interesy. Ale samo działanie w Zug może mieć potężne konsekwencje wizerunkowe. W tym mieście działa 6,3 tys. spółek stópów wymienionych w wielkich śledztwach dziennikarskich Pandora Papers i Panama Papers. Wiedza o bardzo luźnych regulacjach finansowych, tajemnicy bankowej i swobodzie operowania dawaną praktycznie każdemu, kto ma pieniądze, jest powszechna w kontekście Zug. Oligarchowie kremlowscy, ale też spółki powiązane z Aleksandrem Łukaszenką czy uzbekim prezydentem Szawkatem Mirzijojewem i jego

► rodziną – wszystko to działa bez zakłóceń w malowniczym szwajcarskim miasteczku.

Jeśli rzeczywiście Orlen chciał, tak jak mówi dziś Obajtek, wejść do ekstraklasy światowego handlu surowcami, nie mógł tej spółki zarejestrować w Londynie, Antwerpii, Rotterdamie? Albo, skoro już chciał raju podatkowego – np. w Luksemburgu, gdzie przynajmniej obowiązują unijne regulacje dla sektora bankowego?

Kolejnym elementem układanki jest tajemniczy Chińczyk z singapurską spółką. Niewiele o nim wiadomo, jego narodowość została upubliczniona przez nowy zarząd OTS, firmę miał zarejestrowaną w Dubaju. Jeśli pieniądze orlenowskiego podmiotu trafiły właśnie tam, niemal na pewno ślad po nich się urwał. Najlepsi dziennikarze śledczy zajmujący się przestępczością zorganizowaną od lat piszą o Dubaju jako o idealnym miejscu do działań półficcjalnych. To miasto jest wręcz stworzone do podejrzanych operacji, pisaliśmy o nich zresztą na łamach PRZEGLĄDU niejednokrotnie. Położenie geograficzne – w bezpośrednim sąsiedztwie Europy, Afryki i Azji – sprawia, że łatwo tu dotrzeć z każdym bagażem. Dlatego m.in., jak kilka lat temu ujawniła stacja Al-Dżazira, właśnie

w Dubaju odbywa się pranie złota nielegalnie wywożonego z Sudanu czy Zimbabwe przez tamtejszych oligarchów. W Dubaju też rezydują najważniejsi bossowie mafii narkotykowych na tej półkuli: Irlandczycy, Albańczycy, Rosjanie.

Jak tłumaczy reporter portalu BuzzFeed Mitchell Prothero zajmujący się międzynarodową przestępczością, wszystko to jest możliwe, bo prawne i polityczne wpływy

z Libanu, gdzie Hezbollah rezyduje i skąd ostrzeliwuje obecnie terytorium Izraela. Ponadto niespecjalnie dziwna byłaby aktywność tego przedsiębiorcy w transakcjach z organizacjami terrorystycznymi. Po pierwsze, ludzie, którzy handlują surowcami, mają z reguły wspólną cechę: umieją i chcą handlować wszystkim i z każdym, kto gotów jest zapłacić. Po drugie, terroryści także doskonale orientują się na rynku

Pomimo sankcji utrzymuje się cały światowy drugi obieg surowcowy, możliwy dzięki pomocy rajów podatkowych.

europiejskich rządów są w Dubaju zerowe. Polska ma wprawdzie od 2022 r. umowę ekstradycyjną ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, ale sam fakt jej obowiązywania niewiele znaczy. Prothero podkreśla, że władze emiratów nie są zbyt skłonne wydawać Europejczykom kryminalistom, bo nie mają w tym interesu. Aparat przymusu jest tam niesłychanie skorumpowany, a sektor finansowy jeszcze bardziej niedoregulowany niż w Szwajcarii. To inny powód, dla którego Dubaj jest idealną kryjówką dla przestępców ery globalizacji. Tamtejsze banki są wiarygodnymi partnerami dla banków w Szwajcarii czy Wielkiej Brytanii, a same niekoniecznie weryfikują pochodzenie pieniędzy na kontach, które prowadzą. Dlatego spółki zarejestrowane w Dubaju mogą bez przeszkód dostać przelew z Europy, a potem wyprowadzić swoje przychody do krajów, które należy zdefiniować jako miejsca będące prawną fikcją. Takich na mapie świata jest kilka. Hongkong, Abu Zabi, właśnie Dubaj, ale też Makao, Singapur, w pewnym sensie również Panama City. To miasta bez tożsamości innej niż finansowa, funkcjonujące w dużej mierze właśnie jako punkty przetrzutu kapitału i zacierania po sobie śladów.

Wreszcie do rozwikłania pozostaje wątek Samera A. i jego ewentualnych związków z Hezbollahem. Na papierze wydają się one prawdopodobne, wszak mężczyzna pochodzi

surowców, zwłaszcza ropy. Tak przecież pieniądze na działalność zdobywało ISIS, handlując po zaniżonych cenach ropą z Iraku, a dzisiaj z Libii. Pomimo sankcji utrzymuje się też do dziś cały światowy drugi obieg surowcowy, możliwy dzięki pomocy rajów podatkowych i państw o właściwie nieistniejących reżimach prawnych.

Tak brzmi odpowiedź na pytanie, jakim cudem odizolowane latami od reszty świata gospodarki Iranu, Wenezueli czy Korei Północnej w ogóle jeszcze funkcjonują. Ostatnio zaś to samo można powiedzieć o gospodarce rosyjskiej. Nieszczelny system sankcji i bezwzględność handlarzy surowcami doskonale opisali Javier Blas i Jack Farhy, dziennikarze Bloomberg'a i „Financial Timesa”, w książce reporterskiej „Świat na sprzedaż” (wydanej w Polsce w 2023 r.). Udowodnili przy okazji, że tacy ludzie na miejsca swojej aktywności handlowej wybierają przede wszystkim kraje i spółki dobrze skomunikowane z resztą świata, oferujące wiele możliwości i potencjalnych powiązań z kolejnymi podmiotami.

Pod tym względem Daniel Obajtek miał więc rację. Rzeczywiście wprowadził Orlen, a w pewnym sensie i całą Polskę, do światowej ekstraklasy. Tylko, patrząc na jego nagłą ucieczkę na Węgry, chyba nawet jemu nie o taką ekstraklasę chodziło.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Partyjni

Paweł Siergiejczyk w artykule „Historyczna rola PZPR” (PRZEGŁĄD nr 18) zauważa, że w PRL w niemal każdej rodzinie był ktoś partyjny. Akurat jednak w mojej rodzinie tak nie było. Świat PZPR był mi z gruntu obcy i właściwie dopiero podczas studiów na polonistycie UJ, na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku, zacząłem jakoś z nim się stykać. A przy tym przeżywać różne zaskoczenia.

Oto bowiem na pierwszych ćwiczeniach partyjny docent, Tadeusz Bujnicki, daje nam do analizy tekst pisarza emigracyjnego, Witolda Gombrowicza. Oto partyjny rektor, Mieczysław Karaś (zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR), broni mnie przed oskarżeniami, że czytam paryską „Kulturę” („No i co z tego, że czytacie? Ja też czytam. Przysyłają mi”). Najsilniejszej kontestacji ustroju doświadczałem akurat na zajęciach prowadzonych przez partyjnych: dr. Jacka Kajtocha i doc. Zbigniewa Siatkowskiego (lektora komitetu wojewódzkiego PZPR). „Dużo pan wie”, powiedział z uznaniem Siatkowski, gdy przy jakiejś okazji nadmieniałem o bohaterze cudu nad Wisłą, ks. Ignacym Skorupce.

Przypominam dziś sobie te PRL-owskie realia, bo 21 kwietnia zmarł prof. Hieronim Kubiak. Też partyjny. Jako dyrektor Polonijnego Ośrodka Naukowo-Dydaktycznego UJ prowadził z nami, asystentami, obowiązkowe zajęcia wyjazdowe w Rabce – w ramach studium wiedzy społeczno-politycznej. Drobnej postury, wyglądu młodzieńczego, w świetnie skrojonych marynarkach, robił wrażenie przybylsza z Zachodu. Istotnie, dużo czasu spędzał już wówczas na uniwersytetach amerykańskich.

Na jednym z wykładów opowiadał o swych spotkaniach ze Zbigniewem Brzezińskim. Mówił o nim na tyle ciepło, że zaniepokoiło to jednego z partyjnych kolegów, deklarującego – rzadkie już wtedy – ortodoksyjne poglądy komunistyczne. Na przerwie podszedł do Kubiaka i zapytał, jak ma rozumieć te pochwały. Ten spokojnie wysłuchał i poprosił, by postawić ten problem na sali wykładowej, przy wszystkich. Partyjny kolega zabrał głos, trochę się jękając z przejęcia, a Kubiak w odpowiedzi zrobił dłuższy wykład na temat polskiego interesu narodowego. Ten interes – twierdził – wymaga utrzymania polskiego lobby ponad zimnowojennymi podziałami.

Interes narodowy! O nim dużo mówiono na tym studium, podczas gdy o marksizmie nie mówiono wcale. Kierownikiem studium był prof. Marek Waldenberg, wywodzący się z PPS, niegdyś działacz Polskiego

Października. Myślę, że zarówno on, jak i młodszy od niego Kubiak byli dziećmi tego właśnie 1956 r.: XX Zjazdu KPZR, tajnego referatu Chruszczowa, Gomułkowskiego VIII Plenum... W Związku Radzieckim dziećmi tego samego roku byli Michaił Gorbaczow i Aleksandr Jakowlew. Wtedy nikt o nich, rzecz jasna, nie słyszał – ani u nas, ani w „Kraju Rad”. Ich czas miał dopiero nadejść.

Czy taki czas nastał kiedykolwiek dla polskich partyjnych reformatorów? Gdy w roku 1981 trwał karnawał Solidarności, Kubiak został przewodniczącym komisji KC do wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w PRL. Był znienawidzony przez partyjny beton, sztydzo: „krakowiaczek CIA”... Te ataki nie przeszkodziły mu jednak: został członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC – partia, widać, potrzebowała takich ludzi. Z początkiem grudnia 1981 r. wygłosił w telewizji przejmujący apel o pojednanie, przestrzegał przed katastrofą. Ale w kierownictwie PZPR trwał także po 13 grudnia – został usunięty w dwóch etapach, później. I oto dramat: partyjni reformatorzy firmujący stan wojenny.

Śmierć Hieronima Kubiaka przeszła bez echa. I może to właśnie było ostatnim aktem dramatu partyjnych reformatorów.

Ale ich udziałem był także inny dramat: samotność. „Radzieccy” im (co rozumiałe) nie ufali: usunięcia Kubiaka domagali się w pierwszym rządzie. Nienawidzili ich (co też rozumiałe) polscy partyjni twardogłowi – oni zmierzali w zupełnie innym kierunku. Natomiast ludzie Solidarności w ogóle partyjnych reformatorów nie zauważali – partię traktowali jak monolit, jak jednolite zło. Nieufność „radzieckich” stawała wraz z Gorbaczowem, który w polskiej liberalizacji lat 80. ujrzał załączki pierestrojki. Lecz obóz Solidarności nadal – jak partyjny beton! – partyjnych reformatorów nie uznawał.

Przez ostatnie kilkanaście lat pozostawałem z Hieronimem w relacjach wprawdzie sporadycznych, lecz zawsze przyjacielskich. Mówiliśmy sobie po imieniu i gdy się spotykaliśmy, zawsze znajdowaliśmy czas na pogawędkę. Opowiadał mi smakowite anegdotki z czasu stanu wojennego, a ja daremnie go namawiałem do pisania wspomnień. Jego śmierć przeszła bez echa. I może to właśnie było ostatnim aktem dramatu partyjnych reformatorów.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Violetta Waluk

Historia dolnośląskiej porcelany zdaje się dobiegać końca. Dwie fabryki z długoletnią historią – ZPS Wałbrzych i ZPS Krzysztof, też w Wałbrzychu – już nie istnieją, a ta trzecia – ZPS Karolina w Jaworzynie Śląskiej – właśnie odchodzi w przeszłość. Istniały jeszcze inne zakłady, choćby Fabryka Porcelany Książ z drugiej połowy XX w. (nie dotrwała do naszych czasów) czy działająca sto lat wcześniej, niestety niezbyt długo, za to osiągająca najwyższe w świecie standardy, fabryka Ohmego. Ta ostatnia na początku XX w. za miniaturowe figurki i inne kruche cuda zdobywała nagrody na prestiżowych wystawach. Nie uchroniło jej to jednak przed skutkami któregoś tam kryzysu. Ale wyroby z jej znakiem wciąż są przedmiotem pożądania kolekcjonerów. Tymczasem „porcelany”, które dotrwały do XXI w., po kolei zaczęły ginąć.

Złote góry

Gdy pojawiały się trudności, ratunku szukano u inwestora strategicznego. I znajdował się – bogaty, zaradny, oblatany w świecie wielkich interesów. Czego to wtedy nie obiecywano załogom! – Złote góry – podsumowuje krótko związkowiec z Karoliny Ireneusz Besser. Do koncernu HM Investments, który w tym przypadku miał być owym dobrodziejem, należała słynna firma Gerlach, co szczególnie imponowało jaworzyńskim ceramikom. Czy w takim towarzystwie mogłoby się nie udać? – Złote góry – powtarza z sarkazmem związkowiec. Podobną radość z mariażu przeżywano swego czasu w Krzysztofie i w Porcelanie Wałbrzych. O upadku pierwszej i wcześniej o nadziejach drugiej pisaliśmy w PRZEGŁADZIE.

Zły czas nadszedł i dla Karoliny. Jest w stanie upadłości. Syndyka Ronalda Kazimierza Olszewskiego trudno nakłonić do rozmowy. Stwierdza, że postępuje zgodnie z przepisami i ściśle wszystkich przestrzega, więc nie ma o czym mówić. Lokalne media cytowały jego wypowiedzi,



Już tylko złomiarze

Upadła ostatnia dolnośląska fabryka porcelany

ale wyjaśnił mi, że były to przecieki z jakichś rozmów, bo on wywiadów nie udzielał. Próbowaliśmy pociągnąć syndyka za język. Czy Karolina mogłaby być w korzystniejszej sytuacji? Mogłaby, gdyby nie dopuszczono do upadłości. Dałoby się wtedy uruchomić produkcję w części zakładu. A tak trzeba działać ściśle według przepisów, czyli w pierwszej kolejności dążyć do sprzedaży całości.

Nawet sklep zakładowy zakończył działalność, choć w magazynie zostało jeszcze sporo wyrobów, a klientów do końca nie brakowało. Kiedy tylko rozeszła się wieść o wyprzedaży, zjawiły się tłumy, a sklepowe komputery zawieszały się od liczby zamówień. W ostatnich dniach przed zamknięciem zrobiło się spokojniej.

Można było swobodnie przejść między półkami i spojrzeć po raz ostatni na wyroby. Część miała wielkanocne zdobienia, inne – specjalnie dla dzieci – cieszyły oko radosnymi scenkami. Wypatrzyłam też egzemplarze z gałązkami lawendy, elementem niezmiennie modnym wśród miłośników różnych stylów.

To ostatnie spotkanie

Największa sala w jaworzyńskim ratuszu zapełniła się szybko. Znów byli razem, jak przez tyle lat w swoim zakładzie. Niektórzy związani z nim całe zawodowe życie; ba, niektóre rodziny pracowały tu od pokoleń. 170 lat historii, największy do niedawna zakład w mieście.

Produkcja pięknych wyrobów fabryki Karolina stawiała się coraz mniej opłacalna.

Gdy spytałam, jak do niego trafić, przechodzień spojrzał zdziwiony. Karolina zajmuje spory obszar w pobliżu ratusza. Wciąż zajmuje. Tego nie można tu nie wiedzieć.

Tym razem do ratusza nie przyszli, by walczyć o zakład. Nawet już nie mówią o swoim żalu. Udzielają sobie nawzajem rad, jak się starać o wcześniejszą emeryturę, zasiłek albo skorzystać z przywilejów, jakie daje praca w tzw. szkodliwych warunkach. Związkowiec przygotował stosowne wzory pism, które cieszyły się zainteresowaniem. Zebranych było coraz więcej i wciąż dostawiano krzesła. Zdecydowanie przeważały kobiety, w różnym wieku. Atmosfera stawiała się gorąca, dosłownie i w przenośni, aż trzeba było szerzej otwierać okna. A syndyk jednak nie dojechał. Tłumaczył się, za pośrednictwem związkowca, że poczucie krzywdy wśród załogi jest zbyt duże. Choćby z tego powodu, że ludzie jeszcze nie otrzymali w całości zaległych pensji.

Spotkanie zorganizował burmistrz Jaworzyny Śląskiej Grzegorz Grzegorzewicz, który przy każdej okazji podaje, ile w minionej kadencji starał się zrobić dla ratowania zasłużonej firmy. Informował więc dziennikarzy o umorzeniach części jej zadłużenia wobec gminy. Pozostałe

robót publicznych, na miarę możliwości gminy. Czy teraz pracownikom jest lepiej i „poczucie krzywdy” mniej boli? Grzegorzewicz wygrał ostatnie wybory, więc dawna załoga Karoliny może być spokojna.

Z dziada pradziada

Ireneusz Besser należy do jaworzyńskich ceramików pracujących od pokoleń w Karolinie. Wymienia członków swojej licznej rodziny związanych z firmą: dziadków, rodziców, rodzeństwo ojca; pogubić się można. On zaś od lat działa też w związkach zawodowych. Obecnie jest przewodniczącym krajowej sekcji ceramików i szklarzy Solidarności.

ZPS Karolina w Jaworzynie Śląskiej właśnie odchodzi w przeszłość.

Ile to razy zadawano tu sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Dlaczego zakład z tak chlubną historią i wciąż niepustym portfelem zamówień po prostu sobie nie poradził? Przewodniczący Ireneusz Besser główną przyczynę widzi w wysokich i swego czasu trudno przewidywalnych cenach nośników energii. W pandemii jeszcze jakoś się udawało. Potem, gdy już nie chroniła ich tarcza, katastrofa zbliżała się nieuchronnie. Z cenami można by sobie radzić, podpisując długoterminowe

inwestora strategicznego, byłem tym zaniepokojony. Chodziło szczególnie o niewystarczające gwarancje praw pracowniczych i mgliste zapowiedzi inwestycji – mówi Ireneusz Besser. Wspomina także z goryczą, jak do Jaworzyny zjeżdżali prominentni w minionym ośmioleciu postawie i fotografowali się na tle zakładu. Na fotografiach się kończyło. Ostatnio trudno było tu wypatrzyć jakiegokolwiek parlamentarzystę.

Gorzkie dlaczego

Mieszkańcy powojennej Jaworzyny Śląskiej dzielili się na dwa klany: ceramików i kolejarzy. Obie te gałęzie przemysłu przez lata decydowały o życiu miasta. Tu był ważny węzeł kolejowy, tędy przejeżdżały pociągi z tak cenionym wałbrzyskim węglem koksującym i innymi towarami, liczącymi się w gospodarce opartej na przemyśle wydobywczym i ciężkim. A sam dworzec był jak moloch, niepasujący do niewielkiego miasteczka. Teraz kolejarze bardzo liczą na rozwój połączeń z Wrocławiem oraz atrakcyjnymi turystycznie miejscowościami Dolnego Śląska i czeskiego pogranicza. Takich peretek jak Szklarska Poręba czy Karpacz tu nie brakuje.

Czy jaworzyński zakład, niewiele młodszy niż dawne wałbrzyskie fabryki, miałby zupełnie zniknąć z miasta? Obchodziliby tu właśnie jego 170-lecie. Nagrodami na dawnych międzynarodowych wystawach również może się pochwalić. Po II wojnie światowej, jak wszystkie – został upaństwowiony, a od 1954 r. działał jako Karolina. Nazwa jest jego znakiem handlowym i dziś też podlega sprzedaży.

Józef Dziedzic był prezesem Karoliny, kiedy wszystko jeszcze zależało od nich, bo byli spółką pracowniczą. Gdy zdecydowano się na ten ostatni mariaż, Dziedzic odszedł, akurat mógł już przejść na emeryturę. Do tamtych burzliwych chwil nie chce wracać, choć, zdaje się, już wtedy przewidywał późniejsze wydarzenia.

Tak bardzo związany z fabryką, nie może jednak się pochwalić rodziną ceramików. Nawet nie pochodzi ▶

Po tylu latach na Dolnym Śląsku ginie cała branża. Czy nie można uznać choćby tej ostatniej fabryki za dobro narodowe i objąć jej opieką?

obciążenia starał się rozłożyć na raty. W wielu sytuacjach samorząd jest jednak bezradny. Teraz Grzegorzewicz wspiera załogę. Na to spotkanie zaprosił przedstawicieli urzędu pracy i ZUS, którzy zapowiedzieli dyżury w dogodnych miejscach i terminach, a przede wszystkim życzyliw pomoc, gdy dawny ceramik zdecyduje się na zmianę fachu, własną działalność gospodarczą albo zechce gruntownie się przeszkolić. Burmistrz obiecał zorganizowanie w razie potrzeby

umowy. Tak postępują niektóre firmy ceramiczne i szklarskie – ale tylko te, które na to stać. Karolina ostatnio do nich nie należała. Jej wyroby są piękne i kruche, ale produkcja stawiała się coraz mniej opłacalna.

– Kłopoty mieliśmy od dawna. Już w 2014 r. całą delegacją pojechaliśmy do Sejmu, przedstawić w odpowiedniej komisji nasze problemy. Kiedy zaś spółka pracownicza, a taką dwa lata temu była Karolina, zdecydowała się na tego



Do pewnego momentu fabryce wiodło się dobrze. Byli przekonani, że w ich przypadku prywatyzacja się udała.

► z Jaworzyny, tylko z okolic. Do Karoliny trafił kilka lat po studiach. Stopniowo zajmował kolejne stanowiska. Fabryce wiodło się dobrze, spływały zamówienia, otwierały się nowe rynki. Planowano inwestycje. Byli przekonani, że w ich przypadku prywatyzacja się udała. Spółka pracownicza wykupiła wreszcie leasingowany park maszynowy.

Wtedy byli zgranym zespołem, ocenia emerytowany prezes. Zmiany kadrowe przebiegały spokojnie, bez zgrzytów. Kiedy pełnił funkcję wiceprezesa, na emeryturę odszedł jego szef. I tak w 2016 r. Dziędzic zaczął kierować firmą. Podobnie jak poprzednik uważał, że trzeba gospodarować oszczędnie. Zyski szły przede wszystkim na rozwój. Czy dawni udziałowcy nie myślą z żalem o nieotrzymanych kwotach?

Przemysł ceramiczny jest wysoce energochłonny i wrażliwy na wahania cen nośników. Józef Dziędzic pamięta, że kilkanaście lat temu prognozowano, z powodu ruchu cen na światowych rynkach,



Przemysł ceramiczny jest wysoce energochłonny i wrażliwy na wahania cen nośników.

20-procentowy wzrost „naszych” cen gazu; dopiero podniósł się krzyk. Ceramicy, szklarze, bez wyjątku – również najwięksi pośród nich – stwierdzali, że tego nie przetrzymają i nastąpi koniec całej branży. Wtedy przetrwali przynajmniej ci silniejsi. Modernizując proces wypалу porcelany, w Jaworzynie skrócono czas trzymania wyrobów w piecu do sześciu-siedmiu godzin. Dawało to spore oszczędności.

W okresie ostrej walki o przetrwanie niektóre firmy decydowały się na mniej szlachetne rozwiązania. Karolina do tego się nie zniżyła, z mocą

podkreśla dawny prezes. Producenci – o uznanej marce – sprowadzali „białe” wyroby, wiadomo – z krajów, gdzie jest taniej. U siebie tylko je zdobili i zaopatrywali w swój znak. Mimo trudności wyglądało na to, że jaworzyńska porcelana jakoś sobie poradzi. Przetrwiała okres pandemii. A potem... Były prezes i długoletni związkowiec zgadzają się w ocenie przyczyn upadku. Był to niewyobrażalny skok cen gazu.

Józef Dziędzic podaje konkretne przykłady: – Jeżeli z poziomu 300 tys. zł miesięcznie opłaty za ten nośnik energii w krótkim czasie wzrastają do 2 mln zł, to czego się spodziewać? Tymczasem wartość sprzedanych gotowych wyrobów wynosiła w tamtym czasie 4 mln, maksimum 5 mln zł. A gdzie inne koszty? Na same płace szło 1,5 mln zł miesięcznie.

Jaworzyńska porcelana umiera jakoś ciszej. Zaraz po wyroku sądu ogłaszającego upadłość było trochę szumu, głównie w lokalnej prasie. Podkreślano bum na jej wyroby. Nagle zrobiły się takie modne i pożądane. Po tylu latach na Dolnym Śląsku ginie cała branża.

Czy nie można uznać choćby tej ostatniej fabryki za dobro narodowe i objąć jej opieką? Dlaczego milczy Agencja Rozwoju Przemysłu? Milczy dosłownie, bo nie odpowiadała na żadne wysyłane przeze mnie pytania ani propozycje rozmowy. Może agencja zraziła się do takich działań po kontaktach z upadającym swego czasu ZPS Krzysztof? Związkowiec Ireneusz Besser wciąż uważa, że Karolina jest do uratowania. Dopóki jeszcze stoi, dopóki nie wdarli się złomiarze.

Violetta Waluk

Wrocławskie klimaty wyborcze

PO rękami innych chciała utopić prezydenta Sutryka

Czesław Cyrul

Wybory samorządowe we Wrocławiu mogłyby być materiałem na scenariusz opery mydlanej. W minionej kadencji Koalicja Obywatelska wprowadziła do rady miejskiej najwięcej radnych. Wśród nich, na zgubę PO, byli radni z Nowoczesnej. Ci od razu po wyborach założyli swój klub, choć ustalenia były inne. Wkrótce przeszli do opozycji i zaczęli zaciekle atakować popieranego przez PO prezydenta Jacka Sutryka. Nawet zawiązali nieformalny sojusz z radnymi PiS.

Pod koniec minionej kadencji wrocławska PO zaczęła dawać sygnały, że na przyszłość ma inne plany. Czyli już nie kocha prezydenta Sutryka, choć z jej list został wybrany. Można powiedzieć, że po wielokroć zaparła się swojej pięcioletniej dobrej współpracy z prezydentem. Dlaczego? Bo lider regionalnej Platformy poseł Michał Jaros doszedł do wniosku, że kilka kadencji w Sejmie nie przyniosło mu niczego satysfakcjonującego, więc może wykaże się kreatywnością na stołku prezydenta Wrocławia. Byli prezydenci miasta Bogdan Zdrojewski i Rafał Dutkiewicz, też z namaszczenia PO, uznali, że Sutryk, którego popierali, zawiódł ich oczekiwania, a miasto nie ma perspektyw rozwojowych. Tymczasem w żadnej wcześniejszej kadencji nie oddano w mieście tylu inwestycji dla mieszkańców, co za prezydentury Sutryka. PO „zakopała” więc Sutryka i postanowiła, że teraz Michał Jaros poprowadzi ją do zwycięstwa. Sutryk z kolei zawiązał koalicję z Lewicą.

Jaros zaczął kompletować platformiane listy wyborcze. Znalazło się na nich wielu zapiekłych krytyków prezydenta Sutryka i zdrajców PO z kończącej się kadencji. Taki swoisty rodzaj masochizmu politycznego. PO rękami innych chciała utopić Sutryka, a Jaros miał wjechać do gabinetu prezydenta

na białym koniu, niczym zbawca i wyzwoliciel miasta spod tyranii. Jednak namaszczenie dla Jarosa z centrali nie nadchodziło i ostatecznie nie nadeszło. Premier Tusk półgębkiem poparł prezydenta Sutryka. Jaros został na lodzie, a jego lista KO do rady miejskiej wróżyła duże kłopoty.

W pierwszej rundzie wyborów prezydent Sutryk zwyciężył, ale nieprzekonująco. Do drugiej rundy przeszła także postanka Trzeciej Drogi Izabela Bodnar (zbieżność nazwiska z ministrem Bodnarem przypadkowa) dzięki bogatej kampanii, chociaż bogactwem wiedzy o mieście nie grzeszyła. Popierał ją były prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz. Drugą rundę wygrał zdecydowanie Sutryk popierany przez Lewicę. Kandydatka Bodnar

Głosujących wbrew woli partii radnych ze swojego klubu nie zauważył.

W poprzedniej kadencji także grupa radnych postanowiła zepchnąć ze stołka przewodniczącego rady, członka Platformy. I udało się, też głosami radnych PO, którzy przewodniczącego nie lubili. Doszło do bratobójczego mordu politycznego. Również wtedy radni PO chcieli zwalić winę na Lewicę, ale szybko wyszło sztyft z worka, że walczyła stara frakcja PO, od Scheptyny, z nową, od Jarosa.

Teraz doszły do głosu te same animozje. Co będzie dalej? Radni, należący jeszcze do klubu KO, już szykują się do powołania własnych kompanii. To dobrze, bo lepiej, jeśli od początku kadencji sytuacja jest klarowna – kto z kim przeciw komu.

We Wrocławiu w żadnej kadencji nie oddano tylu inwestycji dla mieszkańców, co za prezydentury Sutryka.

pod koniec kampanii ośmieszyla się występami przed wyborcami, a Dutkiewicz udowodnił, że już nie wie, czego i kogo oczekują mieszkańcy.

Lista KO odniosła sukces. Na 37 miejsc weszło z niej do rady miejskiej aż 23 radnych. W tym jednak co najmniej osiem osób, których lojalności ani Jacek Sutryk, ani sama KO nie są pewni.

I nastał dzień próby, wybory przewodniczącego rady miejskiej. KO zgłosiła Igora Wójcika, a ten w tajnym głosowaniu przepadł z kretelem. Opowiedziało się za nim tylko 15 radnych, czyli ośmioro z jego klubu było mu przeciwnych. Następnie jedna z radnych KO zgłosiła na tę funkcję Agnieszka Rybczak, choć klub KO nadal oficjalnie popierał Wójcika. W wewnętrznej rywalizacji, ale głosami wszystkich radnych, zwyciężyła Agnieszka Rybczak. Na to szef klubu KO oświadczył, że nie była to kandydatura klubu i niedobrzy radni z Lewicy (pięcioro) i z PiS są temu winni.

I dalszy ciąg opery mydlanej: struktury partyjne PO uchwaliły, że poseł Jaros zostanie marszałkiem województwa dolnośląskiego. Jednak to radni sejmiku wybierają marszałka i ponownie zaczęły się kłopoty. Okazało się, że radni Trzeciej Drogi, a właściwie ludowcy, też mają chrapkę na to stanowisko i rozmawiają z tymi z ruchu Bezpartyjni Samorządowcy (ci w poprzedniej kadencji byli w związku z PiS). Radni PSL, samorządowcy i PiS próbują stworzyć antyplatformianą koalicję, ale brakuje im jednego głosu. Jest nadzieja, że centrala wskaże marszałka, który w sumie należy się KO jako mającej najwięcej radnych w sejmiku. Przepychanki nie ustają i ucieranie się zarządu jeszcze trochę potrwa.

Są w regionie i inne samorządowe smaczki. Oto w Świdnicy lewicowa pani prezydent i jej radni zawarli sojusz z PiS. KO będzie w opozycji. Choć strony zarzekają się, że nie ma żadnego sojuszu, tylko chęć pracy dla dobra miasta. Można to i tak nazwać. ■



W bazie Mihail Kogălniceanu aktualnie stacjonują jednostki 101. Dywizji Kogălniceanu Powietrznodesantowej USA oraz sojusznicze myśliwce.

Rumunia buduje nową stolicę NATO

W kwestii bezpieczeństwa rumuńska klasa polityczna i społeczeństwo mówią jednym głosem

Chrystian Ślusarczyk

Niemieckie Ramstein powoli przechodzi do historii. Czas nauczyć się trudnej rumuńskiej nazwy Mihail Kogălniceanu. To obok tej miejscowości będzie się mieścić największa w Europie baza NATO. Serce paktu przybliży się do granic Rosji.

Ramstein znane jest niemal wszystkim. Dla wielu to jedynie wojskowa baza, gwarancja bezpieczeństwa dla naszej części świata, a nie nazwa geograficzna. Nic dziwnego, miasteczko od dziesięcioleci kojarzone jest jednoznacznie z największą w Europie bazą NATO i siedzibą USAFE – Dowództwa Amerykańskich Sił Powietrznych w Europie.

Ośmiotysięczne Ramstein w Nadrenii-Palatynacie powstało z połączenia osad Ramstein i Miesebach. Kto wie, jak potoczyłaby się jego historia, gdyby nie decyzja o budowie bazy NATO właśnie tam. 71 lat

temu baza przykleiła się do ubogich, rolniczych wtedy terenów, a potem rozrosła do trudnych do wyobrażenia rozmiarów, pochłaniając ponad 1,4 tys. ha lasów i pól.

Od 71 lat życie lokalnej społeczności jest zrosnięte z amerykańską bazą i jej lokatorami zza oceanu. Zarobione dolary wydają oni w miejscowych hotelach, restauracjach, sklepach. Wynajmują mieszkania, których ceny zaczynają się od 1,1 tys. euro na miesiąc. Baza to największy pracodawca w regionie. Zapewnia stałe pensje 2,4 tys. cywilów.

Ale ta symbioza może się skończyć. Część Amerykanów już wkrótce zostanie przeniesiona do Rumunii – kraju w latach 1955-1991 należącego do Układu Warszawskiego. Kiedy niemiecka baza straci na znaczeniu, część mieszkańców Ramstein-Miesebach zapewne odetchnie z ulgą. To ci narzekający na hałas

i zamieszanie. Odetchną i tacy, którzy wierzą, że Ramstein to cel numer 1 Putina. Ale większość prawdopodobnie nie będzie zadowolona, że Jankesi powoli wywędrują na wschód, na rumuńskie wybrzeże Morza Czarnego.

Miała chronić przed NATO

Największa w Europie baza NATO nie powstaje od podstaw. Zlokalizowana na stepowych terenach koło miejscowości Mihail Kogălniceanu 57. Baza Rumuńskich Sił Powietrznych funkcjonuje od dawna. Jej początki sięgają roku 1955. Do przełomowego roku 1989 miała chronić rządzoną twardą ręką przez Ceaușescu Rumunię oraz sojuszników przed złowrogą działalnością Paktu Północnoatlantyckiego. Z roku na rok baza w południowo-wschodniej Rumunii rozrastała się i zyskiwała strategiczne znaczenie. Coraz

bardziej niepokoiła kierownictwo NATO. W 1979 r. w bazie pojawiły się pierwsze samoloty MiG-23. Dzieci lat później w Mihail Kogălniceanu stacjonowały także myśliwce MiG-29.

Czasy zimnej wojny w Mihail Kogălniceanu zamknięto definitywnie dopiero w roku 1999, gdy z rumuńskiej bazy zaczęły korzystać siły amerykańskie. W 2003 r. stała się jednym z czterech rumuńskich obiektów militarnych, które siły zbrojne USA wykorzystywały jako bazę wypadową do interwencji w Iraku i bieżących zadań wojskowych. Mihail Kogălniceanu miała się stać jedną z głównych baz operacyjnych Joint Task Force-East, czyli Połączonych Sił Zadaniowych Wschód.

Po kilku latach (pozycja Ramstein jako bazy numer 1 była wtedy niepodważalna) Mihail Kogălniceanu dzięki położeniu zyskała znaczenie w czasie kryzysu krymskiego w roku 2014. Aktualnie znajdują się tam jednostki 101. Dywizji Powietrzno-desantowej USA oraz sojusznice myśliwce, których zadaniem jest ochrona przestrzeni powietrznej.

1989 r. w ogólnonarodowym zrywie rewolucyjnym, nazwanym przez wielu wojną domową, życie straciło ponad 1 tys. osób. Dlatego na kwestie trwałego pokoju i równie trwałej demokracji Rumuni są wrażliwi jak mało która europejska nacja. 20-milionowy naród z nieukrywaną

Docelowo zlokalizowana na styku miejscowości Mihail Kogălniceanu i Lumina baza będzie zajmować obszar dwukrotnie większy niż Ramstein – 2,8 tys. ha. Stacjonować ma w niej 10 tys. żołnierzy.

Wokół bazy powstanie infrastruktura cywilna. W Rumunii mówi się

Baza Rumuńskich Sił Powietrznych koło miejscowości Mihail Kogălniceanu funkcjonuje od dawna. Jej początki sięgają 1955 r.

ulgą przyjął wiadomość, że to na jego terytorium powstanie największa baza NATO w Europie. I mało kogo zrażało, że budowa wielkiej „nowej stolicy NATO” nad Morzem Czarnym ma się zakończyć dopiero w roku 2040. Rozpoczęte na przełomie minionego i bieżącego roku prace przy budowie nowej bazy Mihail Kogălniceanu będą kosztować 12 mld lei, czyli ok. 2,5 mld euro. Koszty te za pośrednictwem rumuńskiego Ministerstwa Obrony pokrywane są przez rząd. Docelowo supernowoczesna baza ma niczym się nie różnić od wielkich amerykańskich baz. „Sukcesywnie będą się pojawiać

nawet o nowym, sztucznym miasteczku. Być może wkrótce otrzyma jakąś nazwę. Powstaną bloki mieszkalne, sklepy, apteki, szkoły i żłobki oraz kino. Oprócz tego spory szpital. Jak widać, znajdzie się tam wszystko, co niezbędne do komfortowego życia. Mieszkańcy okolicznych wiosek – w odróżnieniu od tych z Ramstein i okolic – już zacierają ręce. Można powiedzieć, że wkrótce w województwie Konstanca bezrobocie będzie równe zeru.

Powodem wyboru takiej właśnie lokacji bez wątpienia jest bliskość konfliktu na Ukrainie. „Rumunia to obecnie jeden z najbardziej niewralgicznych punktów na mapie Europy, ze względu na bliskość zarówno Ukrainy, jak i Mołdawii. Nie wyobrażamy sobie, że wojna Rosji z Ukrainą zakończy się w przyszłym, a nawet w 2026 r. Wszystko wskazuje na to, że to konflikt długotrwały. Stąd decyzja o wielkiej rozbudowie i modernizacji bazy Mihail Kogălniceanu”, uważa Dorin Popescu, rumuński analityk geopolityczny specjalizujący się w tematyce wschodniej.

Jak nietrudno się domyślić, Rosja zareagowała nerwowo na wieść o budowie największej bazy NATO na terenie Rumunii. Pojawiły się groźby. „Rumunia nie odniesie z tej inwestycji żadnych korzyści, za to sprowadzi na siebie oczywiste zagrożenia”, grzmiał w rosyjskich mediach Andriej Klimow, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji Rosyjskiej. „Im bliżej granic Rosji znajdują się natowskie bazy, tym większe prawdopodobieństwo, że staną się one obiektem ataku odwetowego”, dodał rosyjski polityk.

W tym roku rząd Rumunii planuje wydać na zakup broni o 45% więcej niż w 2023 r.

W bazie Mihail Kogălniceanu stacjonuje ok. 5 tys. żołnierzy. Większość to Amerykanie.

Warto dodać, że w pobliżu szybko rozbudowywanego się lotniska wojskowego jest cywilny międzynarodowy port lotniczy o tej samej nazwie. Obsługuje on Konstancę i niezbyt rozległą rumuńską riwierę. To jeden z 16 (!) międzynarodowych portów lotniczych, którymi na początku 2024 r. mogła się pochwalić Rumunia. Kraj, którego gospodarka na przełomie lat 80. i 90. – nawet na tle polskiej – znajdowała się w ruinie.

Oaza bezpieczeństwa za miliardy

Ale to już historia. Chociaż Rumunom trudno o niej zapomnieć. I nie ma co się dziwić – w grudniu

nowe pasy startowe dla samolotów wszystkich typów, systemy obronne, składy amunicji, lądowiska dla helikopterów”, powiedział w wywiadzie dla Euronews Nicolae Crețu, dowódca obecnie funkcjonującej bazy. „Powstaną również gigantyczne hangary konserwacyjne i magazyny paliwa. W nowej Mihail Kogălniceanu nie może też zabraknąć wszelkiego rodzaju tak ważnych dziś symulatorów”.

Magazyn internetowy The War Zone wspomina o możliwości przeniesienia do Rumunii (w rachubę wchodzi chyba tylko Mihail Kogălniceanu) amerykańskich samolotów transportowych stacjonujących obecnie na Węgrzech. W obliczu zachowania Viktora Orbána i jego stosunku do wojny na Ukrainie wydaje się to całkiem realne.

► Nie ulega wątpliwości, że nowa rumuńska inwestycja wojskowa będzie pobudzać rosyjską działalność szpiegowską. Być może – jak informuje portal News.ro – forpocztą takich działań było pojawienie się kilka dni temu nad Mihail Kogălniceanu nieznanych dronów, prawdopodobnie komercyjnych. Były to niezbyt duże drony poruszające się na niewielkiej wysokości.

Huk na plażach i... w klasztorze

Z powstania największej na Starym Kontynencie bazy NATO z pewnością nie będą się cieszyć ci Rumuni (niewykluczone, że trochę cudzoziemców również), którzy jako miejsce letniego wypoczynku wybierali czarnomorskie plaże na północ od Konstancy. Wielu inwestorów od lat buduje hotele w tym właśnie turystycznym rejonie, gdzie piaszczyste plaże są letnią wizytówką Rumunii.

Niewykluczone, że rozbudowa bazy, częstsze loty myśliwców i helikopterów oraz prace budowlane

mogą zrazić turystów z najbardziej luksusowego rumuńskiego kurortu, jakim jest Mamaia. Od niedawna rozwijają się też inne nadmorskie miejscowości w okolicy, głównie Năvodari. Od powstającej największej bazy NATO w Europie dzieli je w prostej linii ok. 10 km.

Z rozbudowy infrastruktury wojskowej i cywilnej w Mihail Kogălniceanu zapewne nie będą zachwyceni także mnisi z pobliskiego klasztoru Văcărești Noi. Ten spory prawosławny monastyr zlokalizowany w odległości zaledwie kilku kilometrów od bazy jest oazą ciszy i kontemplacji. Wielu Rumunów odwiedza klasztor, szukając duchowej odskoczni od trudów i monotonii codzienności, co z nim będzie za kilka lat, czas pokaże.

W kwestii bezpieczeństwa rumuńska klasa polityczna i społeczeństwo – szczególnie po ataku Rosji na Ukrainę – mówią jednym głosem. Nie inaczej jest w przypadku rozbudowywanej bazy Mihail Kogălniceanu. Jej lokalizacja w pobliżu atrakcyjnej

czarnomorskiej riwieri i delty Dunaju mogłaby stanowić pretekst do protestów. Na razie jednak, a wygląda na to, że tak też będzie w przyszłości, budowę nowej bazy wspierają wszyscy obywatele.

Dziś Rumunia – obok Polski i krajów bałtyckich – należy do najbardziej sumiennych członków NATO. Niezbędne 2% PKB z budżetu na obronność kraj ten osiągnął już kilka lat temu. Bukareszt obiecał, że w tym roku będzie to nawet 2,5%.

W tym roku rząd Rumunii planuje wydać na zakup broni o 45% więcej niż w 2023 r. Rumuńskie media po kwietniowej wizycie prezydenta Klausa Iohannisa w Seulu już informują o zakupie południowokoreańskich armatohaubic samobieżnych z rodziny K9. Obserwując coraz silniejszą pozycję rumuńskiego prezydenta na arenie międzynarodowej i jego zrozumienie dla „być albo nie być Ukrainy”, możemy sądzić, że kolejne rumuńskie wzmocnienia nатовskiej armii to tylko kwestia czasu.

Chrystian Ślusarczyk

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

...w tobie
nadzieja na
dopasowanie

Zostań dawcą szpiku!

Płeć, pochodzenie, tatuaże nie mają znaczenia.
Zarejestruj się na dkms.pl

Gabrysia,
żyje dzięki dawcy szpiku

Łukasz,
potencjalny dawca szpiku

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Pączki w maśle

Dzień w Lublinie, miasto zbliżyło się do stolicy dzięki trasie szybkiego ruchu. Obiad na rynku. Bolesny rachunek. Lublin to miasto niezniszczone przez wojnę, co stanowi architektoniczny atut. Jednym z nielicznych domów roztrzaskanych we wrześniu 1939 r. przez bombę był ten, gdzie poeta Józef Czechowicz poszedł do fryzjera. Stoi w tym miejscu pamiątkowy kamień.

Maciej Świrski w Radiu Wnet opowiada takie rzeczy: „Wynik wyborów jest wynikiem gigantycznej operacji manipulacyjnej opinią publiczną. No i teraz następuje spłata tych zobowiązań wobec mediów komercyjnych, które tę operację przeprowadziły”. I jeszcze: „To, co się dzieje w tej chwili, to wojna trzeciego pokolenia UB z trzecim pokoleniem Armii Krajowej”. Świrski stoi na czele Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i nakłada kary finansowe na TVN 24 i na TOK FM. I na razie nie ma jak wsadzić go w kaftan bezpieczeństwa i wywieźć z rady.

Mateusz Morawiecki w Budapeszcie, pod parasolem Orbána, brata się z europejskimi populistami i faszystami; większość z nich nie potępia Rosji za napaść na Ukrainę. A Orbán jest otwarcie proputinowski. Europejscy populiści z Morawieckim knują więc, jak niszczyć Unię Europejską, gdy trwa dramat Ukrainy, której tylko zjednoczona Europa może pomóc. Stany to niepewny sojusznik, bo grozi nam Trump, którego zresztą populiści, też ci nasi, popierają. Kiedy Tusk ostro krytykuje Morawieckiego, ten i inni politycy PiS oskarżają premiera, że wojnie winny jest on, bo spał, gdy Rosja się zbroiła. Tusk jest winny napaści Rosji na Ukrainę. Nie ma już takiego głupstwa, którego prezes i jego służący nie powiedzą.

Prezes wymyśla nową taktykę na wybory do europarlamentu. Won z Zielonym Ładem, to spisek brukselskich elit i głupota. Jakby PiS straciło pamięć, że samo było za Zielonym Ładem i promował go pisowski komisarz. Oni oczywiście już nie widzą, naprawdę nie widzą i nie czują, skąd się wziął Zielony Ład i czemu ma służyć. Nasza planeta zaczyna się gotować. Być może już jest za późno, ale zbrodniczą głupotą byłoby nic z tym nie robić. Co tam jednak zagłada planety, elektorat wiejski ważniejszy. Walka z Zielonym Ładem to ukłon w stronę chłopów, którzy w swojej masie też nie wierzą w globalne ocieplenie i boją się, że na Zielonym Ładzie stracą.

Kolejne propagandowe hasło PiS w wyborach europejskich to oczywiście Niemcy. Chcą znowu okupować Polskę, już nie zbrojnie, ale gospodarczo i politycznie. Pisowcy nie wiedzą, że to nasz wojskowy sojusznik i największy partner gospodarczy. I oczywiście są straszni imigranci, gwałciciele polskich kobiet, czyli sianie lęku przed obcymi. LGBT stoi w kącie i płacze: a ja, a ja? Te propagandowe hasła PiS ukazują partię jako przestępczą mafię, czego dowodzą także finansowe przekręty, które robili. Sprawa naszego wielkiego Dyżmy z Pcimia, czyli Obajtka, szybko rośnie. I ta nieustanna pazerność, te wojny podjazdowe i burdy, żenujące targi, kto ma jechać do Brukseli, by urządzić się finansowo do końca życia, cały ten bezwstyd ukryty za miłośnią ojczyzny. Z rzeczy komicznych: okazuje się, że Marek Suski, czołowy intelektualista pisowski, funkcjonariusz partyjny o twarzy błazna, który nosi za prezesem jego teczkę, był śledzony Pegasusem. Trudno o coś bardziej zabawnego. Kamiński i Wąsik zapewne liczyli na to, że podsłuchiwany biegł do burdelików i będą mieli na niego materiał.

Prezes na konwencji PiS: „Chcą doprowadzić do tego, żeby nasze złoto, 360 ton złota wylądowało we Frankfurcie. Na to nie możemy pozwolić”. Prezes gra na wyobraźni polskiego ludu, który już widzi, jak Niemcy wywożą stąd wagony złota. Znowu okupacja. Tu to już nie wierzę, że prezes w to wierzy. W niektóre własne kłamstwa uwierzył.

Roman Giertych trafnie porównał listy PiS do europarlamentu do arki Noego. „Uciekinierzy” byli prezentowani przez prezesa w Kielcach. Stawili się wszyscy, oprócz Obajtka, który zaszył się na wszelki wypadek w Budapeszcie. Było dwóch ułaskawionych przestępców, Kamiński i Wąsik, a Waszczykowski, żalosny były minister spraw zagranicznych, w strasznym stanie na wózku; zgrabne figury i piękne kobiety twarze Fotygi i Kempy, a największy lizus w gronie polityków, Ryszard Czarnecki, wyglądał jak pączek, który wierci się radośnie w europejskim maśle. Cały ten Muppet Show ma jechać do Brukseli, by bronić Polski przed Unią Europejską, która chce nam zabrać niepodległość i tożsamość. A dziewczynki zmieniać w chłopców, czego tak się boi prezes.

Pomijane walki żołnierzy, którzy szli ze Wschodu

Ci, którzy nie zdążyli do Andersa, i poborowi z Polski Lubelskiej walczyli w potworniejszych warunkach niż ich koledzy z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie

Piotr Korczyński

Stalin dopuścił jednak polskich żołnierzy do szturmowania Berlina. Dzięki nim na Tiergarten, berlińskiej politechnice, na Siegestraße i Bramie Brandenburskiej załopotaty biało-czerwone flagi. Nim to nastąpiło, w walkach od Lenino do Berlina Wojsko Polskie straciło 66 886 żołnierzy. Często podkreśla się, że po powrocie z Berlina i Drezna jesienią 1945 r. wiele oddziałów Wojska Polskiego rzucano do walki z podziemiem niepodległościowym. Ten aspekt miał jednak i drugą stronę.

Z pewnością żołnierze podziemia niepodległościowego nie utrzymaliby się tak długo, gdyby nie broń niejednokrotnie szmuglowana „leśnym” z koszar wojskowych przez żołnierzy tragicznych, jak ich celnie nazwano w jednej z publikacji. Na przykład w marcu 1945 r. kompania podchorążych w szkole oficerskiej wojsk pancernych w Chełmie podjęła próbę wyprowadzenia do lasu czołgów! Akcję udaremniono przez zaarrestowanie konspiratorów, zanim dotarli do parku maszynowego. Niejeden z żołnierzy podziemia niepodległościowego miał też za sobą epizod służby w armiach Berlinga, Świerczewskiego i Żymierskiego. Do lasu szły całe pododdziały, nawet z utworzonego specjalnie do walki z podziemiem Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Sowiecki dyktator nienawidził kompromisów, a w wypadku Polaków do kompromisu został jednak zmuszony – była nim właśnie 1. Dywizja



Tablica pod poprzednią siedzibą Muzeum Wojska Polskiego upamiętniająca żołnierzy 3. Dywizji Piechoty idących na pomoc powstańcom warszawskim.

Piechoty, a następnie 1. Korpus i dwie armie. Stalin nie mógł pozwolić sobie na to, by Armia Czerwona samodzielnie „wyzwoliła” Polskę. Wszelkimi sposobami starał się zabezpieczyć, by stworzone za jego pozwoleniem polskie formacje nie wymknęły się spod kontroli, ale i tak nie mógł spać spokojnie. I jeszcze jedno. Można zadać sobie pytanie, o ile bardziej czerwonoarmiści i enkawudziści hulaliby na zajętych ziemiach polskich – rabując, gwałcąc i mordując – gdyby żołnierze polscy nie stawali w obronie swoich rodaków i ich dobytku...

Ktoś zauważy – przecież to, co zostało powyżej napisane, to oczywistości. Podnosili je w swoich publikacjach tak świetni badacze jak Czesław Grzelak, Henryk Stańczyk, Stefan Zwoliński, Edward Kospath-Pawłowski, Kaja Kaźmierska, Jarosław Pałka, Mikołaj Łuczniński, Kamil Anduła i inni. Jeśli to „oczywistości”, to czemu bitew żołnierzy idących do kraju ze Wschodu wciąż nie stawia się na równi – tak jak uczynił to gen. Stanisław Sosabowski – z tymi stoczonymi przez ich braci na Zachodzie? Pod Monte Cassino,

Falaise, na Wale Pomorskim czy w Kołobrzegu, nawet pod nieszczęsnym Lenino – żołnierz nie prowadził kalkulacji politycznych, tylko szedł i walczył. Tyle i aż tyle.

Czemu więc kontrowersje budzą pomniki na Wale Pomorskim, czemu w Warszawie pod poprzednią siedzibą Muzeum Wojska Polskiego niszczone tablica upamiętniająca żołnierzy 3. Dywizji Piechoty idących na pomoc powstańcom warszawskim, czemu

chłop z Chłopów – ze wsi położonej w powiecie Rudki, województwa łwowskiego. Tam z matki Katarzyny i ojca Andrzeja Czajki przyszedłem na świat roku pańskiego 1910”.

We wrześniu 1939 r. Czajka jako żołnierz 19. Pułku Piechoty bił się z Niemcami między innymi pod Kutnem i Łowiczem. 10 lutego 1940 r., jak większość Polaków spod Lwowa, został zesłany z rodziną w głąb Rosji. Rąbał tajgę w Kraju Krasnojarskim,

spod Lwowa. Cała rozmowa była bardzo przyjemna i o nic ich nie podejrzewałem. Nie wypadało mi pytać oficerów o tak wysokich stopniach, z którego są pułku czy też dywizji. Zapytałem tylko, dlaczego tam na płocie dużymi literami napisane jest AK. Wtedy ten pułkownik powiedział, że tu stacjonuje Armia Krajowa i oni są jej oficerami. Przeraziłem się trochę, bo polityczni u nas w pułku o akowcach różnie mówili: że oni walczą o Polskę z obszarnikami i kapitalistami, że współpracowali z Niemcami, że noszą na czapkach orły z koronami, że strzelają do naszych i takie inne. Sam na własne oczy widziałem plakat z napisem »AK – zapluty karzeł reakcji«. Ci jednak wcale na takich złych nie wyglądali, no i w dodatku byli lwowiakami.

Nie bardzo się wtedy wyznawałem i rozróżniałem tych z AK, AL czy BCh – dla mnie i wielu takich jak ja kościuszkowców wszyscy oni byli partyzantami. Po posileniu się i zapłaceniu rachunku odmeldowałem się pułkownikowi i pojechałem do oddziału. Ze spotkania w restauracji nikomu się nie zwierzałem, bo mogłoby to dojść do oficera informacyjnego, a z nimi zawsze były tylko same kłopoty i nikt ich nie lubił”.

Z tego fragmentu jasno wynika, że zdarzenie miało miejsce jesienią 1944 r., kiedy żołnierze Wojska Polskiego byli już mocno karmieni antyakowską propagandą. Czajka wspomina m.in. ohydny plakat. Jest

Paradoksem jest to, że w podręcznikach pomija się wysiłek zbrojny dwóch polskich armii – „polskojęzycznych formacji Armii Czerwonej”, jak podkreślają niektórzy historycy.

co chwilę słyszy się o inicjatywach „dekomunizacji”, która ma polegać na usuwaniu pomników upamiętniających ofiarę żołnierzy polskich? Czy ktoś zrobił badania, ilu było „prawdziwych komunistów” – cokolwiek to znaczy – wśród tej wielotysięcznej rzeszy żołnierzy poległych w czasie szturmów na niemieckie bunkry lub podczas forsowania Odry?

Nie można przemilczać tak wielkich bitew jak Wał Pomorski, Kołobrzeg, forsowanie Odry i z pewnym załopotaniem wspominać o białoczerwonej zatkniętej nad Berlinem 2 maja 1945 r. Tego nie zrobili przecież sołdaci przebrani w polskie mundury, politrucy czy funkcjonariusze Informacji Wojskowej lub Urzędu Bezpieczeństwa. Tam ginęli polscy żołnierze, którzy zwyciężali nie dla Stalina i Związku Sowieckiego, lecz dla Polski – wolnej Polski. I tak samo zostali w Jałcie oszukani, jak ci w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Przypomnijmy jeszcze raz: to ponad 66 tys. poległych w krwawych bojach! Dlaczego nie zasługują na zapalony znicz?

Nie wszyscy z 1. i 2. Armii WP, jak się dziś upraszcza, byli beniaminkami totalitarnego państwa. Nie wszyscy z „ochotą” szli na „leśnych” po wojnie – wręcz przeciwnie. A i sami „leśni” potrafili oddzielić żołnierza frontowego od ubeka (z czym dziś nie radzi sobie tak wielu historyków). Przykład? Proszę bardzo.

Strzelec Jan Czajka tak rozpoczął swoje wspomnienia: „Jestem

a po amnestii w 1941 r. pracował w kołchozie. Po dwóch latach trafił do 1. Dywizji Piechoty i przeszedł cały szlak bojowy. Tak opowiadał o spotkaniu z „leśnymi” gdzieś pod Siedlcami. Wiózł wtedy swoich oficerów bryczką, ale ci, napotkawszy znajomych w samochodzie, przesiadli się do niego, a jemu samemu kazali wracać do oddziału. Czajka, przejeżdżając przez jakąś wieś, zauważył knajpę, a że był głodny, postanowił zrobić sobie w niej przystanek.

„W środku – wspominał strzelec Czajka – ujrzałem siedzących przy stole pułkownika, majora i porucznika. Stałem na baczność i zameldowałem:

– Panie pułkowniku, strzelec Jan Czajka prosi o zezwolenie pożywienia się.

Nie jeden z żołnierzy podziemia niepodległościowego miał za sobą epizod służby w armiach Berlinga, Świerczewskiego i Żymierskiego.

Pułkownik powiedział:

– Proszę bardzo.

Usiadłem przy stole, zamówiłem schabowego i setkę wódki. Gdy jadłem, oni przysiedli się do mnie i zaczęli rozmawiać na różne tematy. Skąd pochodzę, czy jestem z 1. p[ułku] p[iechoty] od [podpułkownika Bazylego] Maksymczuka, gdzie jadę. Powiedziałem, że pochodzę spod Lwowa, a jadę do pułku. Oni też mi powiedzieli, że pochodzą

też wyartykułowany strach przed oficerem informacyjnym, czyli funkcjonariuszem zorganizowanej na kształt Smierszu Informacji Wojskowej. I są sympatyczni oficerowie AK – zaprzeczający propagandzie politruków. Dlaczego nie rozbili żołnierza „komunistycznej armii”? Nie aresztowali go lub nawet nie postawili pod płotem i rozstrzelali... Uczynili tak nie tylko dlatego, że był ich krajanem spod Lwowa ▶

► – przekonali się, że to frontowiec: żołnierz jak i oni.

Relacji o takich spotkaniach, a także o odwrotnych sytuacjach, gdy to „leśny” żołnierz gościł u kościuszkowców, przewija się we wspomnieniach sporo. Oczywiście nikt nie zaprzecza, że dochodziło do bratobójczych (tak – bratobójczych!) walk, że wojsko było rzucane do akcji przeciw podziemiu niepodległościowemu. Podkreślę to jeszcze kolejny raz: to był tragiczny czas dla wszystkich. Po obu stronach konfliktu nikomu

Ten fragment chyba nie wymaga komentarza. Należy także mieć na uwadze czas – tuż po oddaniu Polski pod wpływem Stalina. Wypada też uwzględnić to, jak wielu żołnierzy – zwłaszcza tych z 1. Armii – miało doświadczenia z sowieckim aparatem represji. Nie mieli złudzeń, w przeciwieństwie na przykład do tych, którzy w szeregi Wojska Polskiego wstępowali pod koniec wojny lub zaraz po jej zakończeniu. Ciekawą uwagę na ten temat poczynił płkownik Edward Flis: „Co

w Warszawie, dochodziło do częstych serdecznych i wzajemnych kontaktów z Emilem Kucem i jego żoną Bożeną. Podczas pobytów u Kuców często chętnie wspominaliśmy Kąkolówkę. Wtedy przypominałam Emilowi ten mój pierwszy pobyt w Kąkolówce i pierwsze z nim spotkanie. Przypominałam mu, jak serdecznie i uczuciowo z Czernikiem obchodzili się ze mną. Emil uśmiechnął się, mówiąc: »To nie tylko to« – i wytłumaczył. Otóż zostali oni zobowiązani rozkazem do objęcia

mnie ochroną w czasie mojego pobytu w Kąkolówce. Rozkaz otrzymali od swoich dowódców – ppor. Pawła Sobkowicza »Nura« i plut. Stanisława Sowcy »Białego«, którzy pełnili

odpowiedzialne, wysokie funkcje w Armii Krajowej. Emil opowiedział, że towarzysząc mi podczas mojego pobytu w Kąkolówce, cały czas mieli z Czernikiem przy sobie w kieszeni broń. Koledzy pilnowali mnie, nie odchodzili ode mnie, aż w Błazowej wsiałam do autobusu do Rzeszowa. Nie wiedziałam wtedy, że groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony oddziału Narodowych Sił Zbrojnych, kwaterującego w Kąkolówce. Byłam w mundurze oficera armii Berlinga, niemile widzianej”.

Jakiż materiał na scenariusz filmowy! Oto dwaj akowcy otrzymują zadanie ochraniania dziewczyny

Na froncie zachodnim tylko jedna bitwa z udziałem Polaków mogła się równać ze wschodnimi hekatombami – Monte Cassino.

niepotrzebną śmiercią ginęli ludzie, którym udało się przecież przeżyć wojnę!

Józef Dubiński, żołnierz z 3. Dywizji Piechoty w swoich wspomnieniach podkreślał, że z kolegami bardzo przeżywali akcje przeciw podziemiu niepodległościowemu, do których byli zmuszani. Dubiński służył w kompanii moździerzy, którą wykorzystywano jako osłonę akcji pacyfikacyjnych Urzędu Bezpieczeństwa. Szczególnie dramatyczne dla Dubińskiego i jego kolegów były wydarzenia pod Kazimierzem Dolnym, gdzie w obławę wpadły dwie łączniczki z Warszawy – „bardzo ładne dziewczyny; jedna w wieku 18, druga 22 lat”. I jak relacjonował dalej Dubiński: „Wieczorem ukryliśmy się pod oknem i podsluchiwaliśmy, jak znęcano się nad nimi. Śledztwo przeprowadzały osoby z Urzędu Propagandy i Informacji oraz z Urzędu Bezpieczeństwa. Strasznie przeżywałam jęki tych biednych łączniczek. Po nocnym przesłuchaniu rano wywieziono je do Lublina i zatrzymano w Zamku Lubelskim, który już Niemcy wykorzystywali na straszne więzienie. Doszły do nas wiadomości, że było to więzienie przejściowe dla 17 tys. ludzi, których w tamtych latach wywożono na wschód, do »przyjaciół«. Była to rzecz straszna dla takich jak ja, gdyż miałam to za sobą i wiedziałam, co ich czeka w kazamatkach i obozach pracy”.

dziwniejsze, niektórzy przedwojenni oficerowie, którzy przyszli do wojska z oflagów, w odróżnieniu od wciąż sceptycznych w wielu sprawach oficerów frontowych – kościuszkowców, wykazywali niezwykłą aktywność na różnych zajęciach i w dyskusjach, a także na spotkaniach z ludnością. Ci właśnie nowo przybyli oficerowie (może dla kariery lub czując zagrożenie) tępilili wszystko »co nie po linii i nie na bazie [partii komunistycznej – PK]« – słowem stali się trybunami nowej ideologii i władzy”. Historia nigdy nie jest czarno-biała, lecz wśród historyków trafiają się daltoniści...

W walkach od Lenino do Berlina Wojsko Polskie straciło 66 886 żołnierzy.

Zamykając ten wątek, wspomnę jeszcze o doświadczeniu platerówki Adeli Żurawskiej, która na przełomie 1944 i 1945 r. otrzymała przepustkę i z warszawskiej Pragi pojechała do rodzinnej Kąkolówki. „Podczas tego pobytu w moich rodzinnych stronach – wspominała Adela Żurawska – odwiedziłam mnie moi serdeczni szkolni koledzy: Emil Kuc i Emil Czernik. Przebywali ze mną nieomal bez przerwy. Odnosiłam wówczas wrażenie, że im się po prostu podobam. Miałam wtedy 20 lat i oficerski mundur na sobie. Wiele lat po wojnie, kiedy już mieszkaliśmy z mężem

w mundurze porucznika 1. Armii, nieświadomej, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony eneszetowców. Czy dwaj żołnierze oddaliby życie w pojedynku z oddziałem, który teoretycznie był im bliższy ideowo...? To się nazywa paradoks historii – wcale nierzadkie zjawisko...

Paradoksem jest też więc to, że w podręcznikach szerokim łukiem omija się wysiłek zbrojny dwóch polskich armii – „polskojęzycznych formacji Armii Czerwonej”, jak podkreślają dziś niektórzy historycy. Czy tym samym nie stają się podobni do politruków tejże armii? Bo takie

można odnieść wrażenie, obserwując ich poczynania. Na froncie zachodnim tylko jedna bitwa z udziałem Polaków mogła się równać ze wschodnimi hekatombami – Monte Cassino. Lecz nawet tam zginęło o wiele mniej polskich żołnierzy niż np. w czasie przełamania Wału Pomorskiego czy w bitwie budziszyńskiej.

Ci, którzy nie zdążyli do Andersa z „archipelagu Gułag”, akowcy postawieni przed alternatywą: wojsko Berlinga albo obóz lub śmierć na miejscu, i wreszcie poborowi z Polski Lubelskiej walczyli w znacznie potworniejszych warunkach niż ich koledzy z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dowodzili nimi sowieccy oficerowie – słabo ich rozumiejący, a bywało, że i wrogo usposobieni. Żołnierze ci, traktowani jak mięso armatnie przez swoich zwierzchników, nie mogli liczyć na pardon ze strony nieprzyjaciela. Często – zwłaszcza pod koniec wojny – polscy żołnierze po dostaniu się do niewoli byli przez Niemców lub ich kolaborantów rozstrzeliwani na miejscu lub uśmierceni

w okrutny sposób, choćby przez palenie żywcem w stodółach.

Ci, którzy przeżyli kolejne starcia, musieli mieć baczenie na Informację Wojskową i „sojuszników” z Armii Czerwonej, aby nie podpaść i prosto z frontu nie trafić do katowni NKWD. Wielu nie udało się tego uniknąć, a obozy w Skrobowie czy na Majdanku to wierzchołek olbrzymiej góry lodowej, całej zabarwionej na czerwono od krwi żołnierzy, którym dziś przypisuje się odium heroldów komunizmu...

Jeśli iść tropem Rogera Caillois, w słynnym eseju porównującym wojnę do karnawału, w którym odwraca się porządek rzeczy, by stworzyć nową rzeczywistość, to żołnierze z wojska Berlinga, Świerczewskiego i Żymierskiego doświadczyli szczególnie tego surrealizmu i co więcej – są mu nadal poddawani. Postrzega się ich przez ten sam pryzmat czy kalejdoskop – jak kto woli – przez które patrzył na nich geniusz zła: Józef Stalin. Dla niego

polscy żołnierze byli niewolnikami, którym pozwolono kultywować tradycje narodowe i religię, dano broń do ręki i których wysłano na front. Przytłaczająca większość biła się w przekonaniu, że niesie Polskę prawdziwe wyzwolenie. Nie przewidzieli, i nikt tego nie przewidział, że Stalin będzie dyktował ład powojenny, bo okaże się największym zwycięzcą, a oni będą postrzegani tylko i wyłącznie jako jego narzędzie. Tyle tylko, że to fałszywa optyka – nie bójmy się stwierdzić: stalinowska. Stalin w piekle zaciera ręce, kiedy widzi, jak pomija się polskie – tak, polskie! – walki. Wymieńmy raz jeszcze: Lenino, Magnuszew, Wał Pomorski, Kołobrzeg, forsowanie Odry czy Budziszyn. Bitwy, w których nie tylko

przelano morze polskiej krwi, ale i walczone w interesie polskiej racji stanu.



Fragmenty książki Piotra Korczyńskiego *Piętnaście sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim*, Cyranka, Warszawa 2023

**Te mamy
nas potrzebują**
Ми потрібні
цим мамам

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie



www.pmm.org.pl

**Polska Misja
Medyczna**

Spotkanie strachu ze strachem

Jeśli pozbędę się wiary w człowieka, to niewiele mi zostanie



LIDIA DUDA

– scenarzystka i reżyserka filmów dokumentalnych

Lidia Duda – należy do Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Polskiej Akademii Filmowej i Gildii Polskich Reżyserów Dokumentalnych. Autorka m.in. „Herkulesa”, „Wszystko jest możliwe”, „Uwikłanych”, „Pisklaków”. Laureatka licznych nagród na festiwalach filmowych. Zdobywczyni Grand Press za film „U nas w Pietraszach”. „Las” (2024), pokazywany w konkursie głównym festiwalu Millennium Docs Against Gravity, to jej najnowszy film o rodzinie z Podlasia pomagającej uchodźcom na granicy polsko-białoruskiej.

Rozmawia Mateusz Demski

Bohaterowie pani filmu „Las” mówią, że Podlasie było kiedyś idealnym miejscem do życia.

Cisza, spokój. Raj po prostu.

– Puszcza daje dużo piękna. Jest tam tyle dźwięków przyrody, a równocześnie można zanurzyć się w ciszy. To niesamowite przeżycie. Sama na początku byłam tym miejscem urzeczona – można się w nim zakochać, nie ulega wątpliwości. W pierwszym momencie wszystko jest rajskie. Poranne mgły, zwierzęta, ta przestrzeń. Taka niedotknięta pierwotność. Przez pierwszy tydzień wchodziliśmy w puszcę z operatorką Zuzanną Zacharą-Hassairi pełne zachwyty. Bez świadomości jakiegokolwiek zagrożenia.

Dlaczego to takie niebezpieczne?

– Puszczy trzeba się nauczyć. Trzeba mieć wiedzę, żeby po niej się poruszać. To najstarszy pierwotny las Europy. Prawie 57 tys. ha. Tam naprawdę można się zgubić. Jeżeli ktoś

myśli o puszczy w kategoriach lasu przemysłowego – parku krajobrazowego, w którym kiedyś zrobiono nasadzenia – to proszę zapomnieć. Puszcza jest okrutna, tam słabszy umiera. A my jesteśmy wobec tego kompletnie bezbronni.

Boi się pani puszczy?

– Budzi we mnie respekt. Żubry wydawały mi się z początku stworzeniami w sam raz dla fotografów przyrody. To zwierzę stoi, stoi, patrzy na nas. Właściwie jak pomnik. Co powoduje, że nabiera się ochoty, by podejść bliżej i zrobić lepszą fotkę. A potem zobaczyłam stado, które pędziło przez puszcę. Najpierw usłyszałyśmy trzask łamanych drzew. W sekundę żubry stratały wszystko, co stało na drodze. To potężne, ciężkie i szybkie zwierzęta. Odradzałam robienie sobie selfie z żubrem; on może się ruszyć.

Puszcza nie jest lasem jak wszystkie inne. Większość ludzi, gdy myśli o lesie, widzi plantację sosenek.

A puszcza jest dzika, nieokiełznana. Szczególnie po zmroku.

– Po tym, czego doświadczyliśmy – a doświadczyliśmy naprawdę mało w porównaniu z mieszkańcami tamtych terenów – nie wejść już do puszczy nocą. Nie ma takiej możliwości. Pamiętam, jak pierwszy raz z operatorką zostałyśmy nocą w takiej ciemnej puszczy. Tam nie ma żadnej poświaty od pobliskich zabudowań. Jest po prostu czarno. W tej ciemności odzywały się odgłosy, których nie potrafiłam zidentyfikować. Nie wiedziałam, czy to pękła gałąź, czy może jakieś zwierzę idzie za nami. Nie wiedziałam też, w którą stronę mamy iść.

A w tym lesie są ludzie.

– Ci, którzy są znajdowani w puszczy, wszyscy mają w oczach zwierzęcy strach. To ten moment, w którym człowiek walczy o przetrwanie. Ludzie w drodze nie są na to przygotowani. Puszcza jest zdradziecka, zastawia wiele pułapek na nieświadomego człowieka. Po pierwsze, niekiedy można mieć wrażenie, że ścieżka, którą widzi się przed sobą, poprowadzi nas do jakichś

domostw. A to są ścieżki wydeptane przez leśne zwierzęta, które prowadzą w głąb lasu. Nie do domów. Po drugie – powalone drzewa, mokradła. Trudno iść prosto przed siebie. Trzeba cały czas kluczyć. Ludzie, którzy chodzą po puszczy, czasem po 12 godzinach orientują się, że są w tym samym miejscu. A cały czas idą. Non stop się gubią. Nie wiedzą, gdzie są i jak się stamtąd wydostać. Pojawiają się dodatkowe problemy. Woda, jeśli tam jest, często nie nadaje się do picia. Nie ma zasięgu, jest wilgotno i strasznie zimno. Ci ludzie są zazwyczaj na skraju wykończenia. **To przerażające.**

– Straszne rzeczy tam się dzieją. Słyszysz się, że ktoś zabiera słabszej osobie ubranie. Bo jest tak zimno. Skazuje w ten sposób kogoś na śmierć, próbując ratować siebie. Patrząc z daleka, mówimy: „No, jak to tak, przecież człowiek powinien swojego towarzysza...”. Ale jak ktoś umiera? Myśli tylko o tym, kto ma szansę przetrwać. Później rozum próbuje to wyprzeć, zaprzeczyć, że do czegoś takiego w ogóle doszło.

Chodziła pani do lasu pomagać uchodźcom?

– Takie akcje to jest minimum osób, by nie stwarzać dodatkowego zagrożenia. Każdy wie, co ma robić, jak się zachowywać. Nie wolno rozmawiać, można używać tylko

w głowie. Nigdy się tego nie wymaże. Zuzanna wróciła z tej akcji inna. Odmieniona. Zobaczyłam dziewczynę, która na twarzy miała wypisany cały ten koszmar. Jeżeli my jako filmowcy dotkniemy czegoś takiego raz, drugi, trzeci, to nie śmiem mówić, jakie traumy mają w sobie ludzie, którzy pomagali tam miesiącami albo latami.

Po to idzie się do lasu – ratować człowieka.

Codzienne życie pani bohaterów, Asi i Marka, małżeństwa z trojgiem dzieci, jest nieodłącznie związane z tym, co się dzieje w puszczy. Co jest najtrudniejsze w byciu człowiekiem, który chodzi pomagać do lasu?

– Bezradność. Nikt z nas nie ma świadomości, jak to wszystko przebiega. To są sytuacje traumatyczne, w których także osoba, która tam idzie, ma w sobie strach, bo nie wie, co znowu zobaczy. Nie wie, na jaką ludzką krzywdę się natknie. A to wszystko zostaje w głowie. Dochodzi do tego nadzieja, że może uda się komuś pomóc, ale w którymś momencie pojawia się bezsilność. Wyrzuty sumienia w czynieniu dobra. Odzywają się pytania: czy ta pomoc będzie skuteczna? A może robimy za mało? Przecież tych ludzi trzeba

nie. Ale jej konsekwencje to zawsze spotkanie człowieka z człowiekiem.

Co zdecydowało o tym, że pani bohaterowie zamieszkali pod granicą?

– Asia i Marek przenieśli się na Podlasie, kiedy skończyli studia. Na świat przyszedł ich syn Franek. Był malutki, jak wyjechali. Dwójka pozostałych dzieci urodziła się już na Podlasiu. To była świadoma de-

cyzja z ich strony. Wymarzyli sobie miejsce, które będzie dla nich odpowiednie w kolorystyce, blisko przyrody, bezpieczne – również z myślą o dzieciach. Kupili starą chałupę, którą remontowali, i tak zbudowali od podstaw swój dom. Jak sami określili, to ich mały, prywatny raj. Tworzą dom blisko przyrody. Wychowują dzieci w ramach wewnętrznej empatii, wrażliwości, reagowania na krzywdę. Gdy zobaczyłam ich pierwszy raz, zrozumiałam, że znalazłam swoich bohaterów. Nawet po krótkim spotkaniu było widać, że to jest rodzina blisko siebie. A skoro jest blisko, to rozmawia. A jak rozmawia, to znaczy, że wspólnie rozwiązuje dylematy, wątpliwości.

Kim byli, jak pani ich poznała?

– Już od jakiegoś czasu byli w sytuacji uchodźczej. Bardzo dużo rzeczy widzieli w puszczy, mieli traumy związane z tym, co zobaczyli. Nie byli przygotowani na widok umierającego człowieka albo dzieci w hipotermii znalezionych w lesie. Kiedy do nich dotarłam, byli już po przejściach. Łącznie z dziećmi, które miały już pewną świadomość, co się dzieje i dlaczego. Ze względu na te wszystkie czynniki psychologiczne i bohatera dziecięcego wiedziałam, że to będzie bardzo trudny projekt. Nie można przyjechać, wsadzić palec w psychiczną ranę, bo chce się dostać świetną scenę.

Da się przygotować dzieci na takie rozmowy?

– Trzeba poczekać na refleksję i złapać chwilę, kiedy dziecko chce o tym powiedzieć. To moment naturalnego podzielenia się swoimi przemyśleniami. Jako reżyserka mam pełną świadomość, że przy ▶

Puszczy Białowieskiej trzeba się nauczyć. Trzeba mieć wiedzę, żeby się po niej poruszać. To najstarszy pierwotny las Europy.

czerwonego światła, bo białe widać z oddali. Najważniejsze to zabrać jak najwięcej ubrań, jedzenia i termosów z gorącą herbatą. Po to idzie się do lasu – ratować człowieka. W filmie mamy zdjęcia z akcji nocnej, ale pojechała tam tylko operatorka, żeby zminimalizować zagrożenie, że pojawi się ktoś dodatkowy, nieprzeszkolony. To był nasz drugi dzień zdjęć. W lesie była kurdyjska rodzina. Z piątką dzieci i konającą matką w ciąży. Kobieta zmarła.

Jak wtedy czuła się Zuzanna?

– Po takiej sytuacji, kiedy patrzy się, jak ktoś umiera, nie można przejść do codzienności. To zostanie

tam później zostawić. To jest okrutne, że w którymś momencie, udzielając pomocy, trzeba się odwrócić i odejść. Ze strony uchodźców jest to samo: strach. Oni nie wiedzą, kto do nich przychodzi, jak się skończy taka akcja. To jest spotkanie strachu ze strachem.

Na tyle, na ile znam moich bohaterów, myślę, że poczucie satysfakcji nie jest tu dobrym określeniem. Dla nich to tak oczywiste jak oddychanie – jeżeli jest ktoś w potrzebie, to należy udzielić mu pomocy. Nieważne, czy jest on Obcy, Inny. To po prostu człowiek. Polityka jest obecna w naszym życiu, czy tego chcemy, czy

▶ dziecięcym bohaterze muszę bardzo dbać o niego niż on o siebie. Ale zawsze traktuję dzieci jak dorosłych bohaterów – jako partnerów, których jestem ciekawa. Na początku tłumaczę im, co jest dla mnie ważne, że postanowiłam taki film zrobić, i dlaczego nie mogę zrobić tego bez nich. Przecież ja nie mieszkam przy granicy polsko-białoruskiej. Nie uczestniczyłam w pewnych rzeczach. To oni są moimi przewodnikami.

Zawsze jednak zaznaczam, że będę czekała, aż dziecko zechce mówić. Nie, że przyjdę i powiem: „A teraz mi opowiedz o tym i o tym”. Jak będzie moment, że dziecko zechce porozmawiać z bratem, siostrą, mamą, ze mną, to ja będę z kamerą

i mają one swoje zdanie na określone tematy.

Na początku Asia i Marek starali się chronić dzieci. Ale to się nie udało. Pojawiające się w lesie ubrania, znikanie taty wieczorami – to wszystko coraz mocniej wnikało w ich życie. Aż do momentu, kiedy całą rodziną zaczęli pomagać. Nie można już było tego rozdzielić. Dzieci segregowały dary, sprzątały obozowiska po uchodźcach. Asia i Marek zawsze wychowywali je po partnersku. Zgodnie z zasadą, że jeżeli dziecko zadaje pytanie, to należy odpowiedzieć. Uczulali je też na krzywdę innych. I nagle pojawiła się sytuacja, kiedy władza mówi: „Teraz nastąpił taki wyjątkowy moment, że nie musicie pomagać człowiekowi,

ten świat przeszedł do świata dziecięcej bez troski. Nie można pozostać obojętnym na takie sygnały. Asia i Marek musieli zareagować. Bo oprócz ratowania świata jest jeszcze rodzina.

Rozumie pani tych, którzy wywożą matki z dziećmi na druty?

– Nie rozumiem. Gdy próbuję taką sytuację zrationalizować, pojawiają się hasła: „rozkaz”, „praca”, „jeden żywiciel rodziny”, „brak innej pracy”... Ale jak pomyślę o konkretnej sytuacji przerwienia przez płot matki z dziećmi, chorego człowieka, nastolatka, kogokolwiek, to już nie jestem w stanie zrozumieć, jak można po czymś takim spokojnie wrócić do własnego domu. Za każdą decyzją, którą człowiek podejmuje, stoją określone uwarunkowania. Byli też strażnicy graniczni, którzy, idąc na patrol, zabierali dodatkowe termosy i kanapki, ale generalnie rozkazy, pushbacki były i są wykonywane.

Wydarzenia na granicy są głęboko nie w porządku. Nie wolno stawiać swoich obywateli w takiej sytuacji. To demoralizujące. Naprawdę można było wypracować rozwiązania: utworzyć korytarz humanitarny, sprawdzać, komu należy się azyl, a komu nie. Ale przerywanie ludzi przez płot w tę i z powrotem? Mam skojarzenie z ludzkim ping-pongiem. Ty mnie, ja tobie. To jest człowiek, na litość boską! W historii było mnóstwo takich momentów, kiedy orzeczono: „Ten ktoś jest gorszy”. Kiedy zaczynało się dzielić ludzi na lepszych i gorszych. To nigdy nie kończyło się dobrze.

Nie bez powodu Mikołaj Grynberg zatytułował swoją książkę „Jezus umarł w Polsce”.

– Ludzie deklarują się jako osoby wierzące, kierują się dekalogiem, który okazuje się teoretyczny i martwy. Myślę, że uzyskiwanie rozgrzeszenia czyni ludziom dużą krzywdę. Można iść do kościoła, wypowiadać się i tego grzechu już nie ma. To taki automat rozgrzeszania. Ateista ma gorzej. Nosi te grzechy ze sobą i musi jakoś się z nimi uporać: odpracować je, zadośćuczynić. Narody ateistyczne mają ciągle wątpliwości. Czesi, tuż obok, są narodem, który czyta najwięcej w Europie. Bo

W naszych decyzjach życiowych nie musimy być bohaterami. Ale warto być przyzwoitym – robić tyle, ile jesteśmy w stanie.

obok. Nie przegapię tego. Z dziećmi z ostatniego filmu wytworzył nam się taki rytuał: wybrały sobie drzewo w lesie i uznały, że to będzie ich drzewo zwierzeń, gdzie będą odbywały się najważniejsze rozmowy. Już sam fakt, że dziecko wymyśla sobie taką przestrzeń, mógłby być fascynujący i bajkowy. Gdyby nie to, że siedząc na tym drzewie, chce rozmawiać o trudnych sprawach i z drzewa robi się sala terapeutyczna.

Dzieci komentują, co dzieje się w lesie. „Ilu ludzi umiera na granicy?”, pyta chłopiec, na co drugi odpowiada: „Strasznie dużo, bo w Polsce nie ma takich obozów, które by przyjmowały uchodźców. Tu ich nie chcą, tam ich nie chcą. Tylko w ciężarówkę i za płot. Ale co zrobisz? Nic się nie da. Bardzo to przykre – i dla nich, i dla nas”.

– Dzieci są świetnymi komentatorami „naszego” świata. Nam się wydaje, że jako dorośli mamy wiedzę na temat tego, co się dzieje, że wiemy, jakie są problemy i zagrożenia, a dzieci sobie żyją na osobnej małej planecie i nie mają pojęcia o tych wszystkich dorosłych sprawach. To jest totalne nieporozumienie. Wszystko, co dzieje się w świecie dorosłych, przenika do świata dzieci

który potrzebuje pomocy. Jesteście rozgrzeszeni, możecie się odwrócić plecami, odejść sobie i go zostawić”.

To się kłóciło z ich prywatnym dekalogiem.

– Siłą rzeczy znaleźli się w pułapce. Rząd ich zostawił z problemem uchodźców, ale nie mogli odwołać tego wszystkiego, czego uczyli wcześniej dzieci, i powiedzieć: „Do tej pory było tak, a teraz będzie inaczej”. To był wybór etyczno-moralny. Nie ze względu na poglądy polityczne. Trzeba było znaleźć odpowiedź na pytanie, jak należy się zachować, żeby pozostać przyzwoitym człowiekiem. Ale w pewnym momencie pomaganie zabiera całe życie rodzinne. Nie ma miejsca na nic więcej. Są tylko oddechy pomiędzy jedną akcją a drugą; między kojeniem własnych ran a próbą znalezienia psychicznego wytchnienia.

Najgorsze było to, że Asia i Marek widzieli, jak z każdym tygodniem sytuacja odciśka się piętnem na dzieciach. W zabawach dzieci pojawiały się coraz częściej uchodźca, akcja pomocowa. To pewien mechanizm obronny u dziecka – poprzez zabawę chce ono mieć nad tym wszystkim kontrolę; zresztą każda taka zabawa kończyła się szczęśliwie. A jednak



Asia, Marek i ich dzieci to rodzina blisko siebie.

szukają odpowiedzi. Nam Kościół podobno je daje. Tylko gdzie był i jest nasz Kościół w sprawie kryminalizacji pomocy humanitarnej na polsko-białoruskiej granicy? W naszych decyzjach życiowych nie musimy być bohaterami. Ale warto być przyzwoitym – robić tyle, ile jesteśmy w stanie. Bo dobro czynione na poziomie człowieka coś buduje, zmienia rzeczywistość.

Dlatego chciała pani pojechać pod granicę i zrobić tam film?

– Jestem opowiadaczką ludzkich historii. To nie jest kwestia, czy chciałam zrobić film. Jak pojawił się kryzys na granicy, zaczęłam się przyglądać, śledzić wydarzenia. Było dla mnie oczywiste, że należy dać świadectwo, zatrzymać tę sytuację filmowo. Gdybym pozostała obojętna, oznaczałoby to, że obojętna jest mi sytuacja ludzi, którzy tam żyją, a tak nie jest. Bo ja też mogłabym mieć tam dom. Nie chciałabym, żeby ludzie byli niewzruszeni tym, co mnie tam spotyka. Wolontariusze przyjeżdżają, później wyjeżdżają do swoich bezpiecznych domów. Organizacje pozarządowe mają wsparcie finansowe. Strażnicy graniczni są jednak w pracy. Ale mieszkani nie mogą skończyć i wrócić do siebie, bo minęła godz. 15. Albo wyjechać do domu gdzieś tam w Polsce. To jego życie, jego sąsiedzi, jego puszcza.

Jeszcze na etapie rozwoju projektu pojawiło się takie zdanie, że jest to opowieść o marzeniu o bezpiecznym, szczęśliwym życiu tu i teraz. Okazuje się to niemożliwe w zderzeniu z sytuacją Europy i świata. Mamy wojny, kryzys migracyjny i mamy marzenia o lepszym życiu „gdzieś tam”. Tyle że już nie ma takich miejsc, gdzie można byłoby odciąć się od wszystkich problemów.

Wszystko, co dzieje się w świecie dorosłych, przenika do świata dzieci i mają one swoje zdanie na określone tematy.

Wędrówka ludów się zaczęła, ale śmiem wątpić, czy się skończy – może tylko się nasilić. Płoty na granicy nic nie dadzą.

„Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzone”. Jak pani myśli, czego w takiej sytuacji, w jakiej znaleźli się pani bohaterowie, można się dowiedzieć o sobie? Kiedy idzie się z plecakiem w ten las, czasem tylko po to, żeby podać komuś butelkę wody.

– Asia i Marek powtarzają, że trzeba być konsekwentnym. Są momenty, kiedy wierzymy w to, w co wierzymy, nasza rzeczywistość jest bezpieczna i spokojna, ale później życie mówi: „sprawdźmy”. Na ile twoje poglądy, twoja wrażliwość, twoje

przekonania przełożą się na sytuację kryzysową. To sprawdzian z człowieczeństwa. Nieważne, czy uratowali w sumie 20 osób, 50 czy 100. Ważne jest, że poszli. Zrobili wszystko, co mogli zrobić. Taki sprawdzian w praktyce to najcenniejsze, co możemy zrobić i dla siebie, i dla innych. To pozwala mimo tych wszystkich traum nie zwątpić w siebie i w to, że inni ludzie także idą i ratują tego

Obcego. Gdybym straciła wiarę, że to dobro – małe czy duże – istnieje, przestałabym wychodzić z domu. Bo po co?

Książkę Grynberga otwiera słynna fraza: „Kto ratuje jedno życie – ratuje cały świat”. Trudno o lepsze podsumowanie.

– Jak najbardziej. Świat nie zmienia się w jakiś magiczny sposób w raj, ale grzebmy w tej naszej duszy – czy jest wierząca, czy niewierząca – żeby wydobyć stamtąd to, co dobre. Nie czekajmy, aż ktoś zmieni nasz świat na lepszy, róbmy to sami. Ziarno do ziarnka. Może to i naiwne, ale jak pozbędę się wiary w człowieka, to niewiele mi zostanie.

Mateusz Demski

Reżyser, czyli kto?

Jubileusz Grzegorza Mrówczyńskiego

Tomasz Miłkowski

Mimo teatralnych rewolucji i kontrrewolucji, zmian estetyk i burzliwych rozstań z tradycją widzowie po staremu, przynajmniej w znakomitej większości, chodzą „na aktorów”. Potwierdzają to wszystkie badania widowni – pierwsze pytanie, jakie pada przed podjęciem decyzji o wyborze przedstawienia, na które warto się wybrać, pozostaje to samo: kto gra?

A jednak reżyser potrzebny jest jak powietrze. Kim tak naprawdę jest, bodaj najtrafniej opisał wybitny polski krytyk Edward Csátó: „Potrzebny jest specjalista od utrudniania. Od stawiania pytań tam, gdzie się ich w pierwszej chwili nie podejrzewa, od tropienia niejasności tam, gdzie wszystko wydaje się przejrzyste”.

Brzmi to przekonująco, ale trudno się chwalić tym, że komuś utrudnia się pracę. Toteż reżyserzy zawsze czują niedosyt akceptacji. Recenzenci



Podczas gali „Człowiek – teatr” Grzegorz Mrówczyński odebrał Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Grzegorz Mrówczyński reżyseruje od pół wieku. Spektakli sygnowanych jego nazwiskiem powstało co najmniej 80.

piszą prawie wyłącznie o nich, czasem w ogóle pomijając w ocenach nazwiska aktorów, jakby spektakle grały się same, ale niewiele to zmienia rzeczywistą sytuację reżyserów – pamięta się może o kilku, inni giną w mrokach zapomnienia.

Coś w tym jest – takie przynajmniej przekonanie wyjawiał Grzegorz Mrówczyński podczas 66. Forum Humanum Mazurkas, wielkiej fety, którą na jego cześć wyprawili szefowie firmy MCC Mazurkas. Okazuje się, że bohater wieczoru, od ponad półwiecza reżyser, dyrektor teatrów w Płocku, Bydgoszczy, Poznaniu

i Jeleniej Górze, pedagog, a także zawodowy aktor, który porzucił uprawianie tego zawodu właśnie dla reżyserii, miał wątpliwości, czy ludzi zainteresuje jubileusz kogoś takiego jak reżyser.

Na poparcie tych wątpliwości przytoczył krakowską anegdotę, wedle której po nominacji Mikołaja Grabowskiego w roku 2002 na dyrektora artystycznego (a potem i naczelnego) Starego Teatru opowiadano pod Wawelem, że dyrektorem został brat Kiepskiego. Czy tak było naprawdę, nie wiem, lecz sława aktora i reżysera to z reguły

nieporównywalna skala, choć za całość teatralnego przedsięwzięcia odpowiedzialność ponosi ten drugi. I decyduje o obsadzie. To dlatego, ze strachu, że może nie zostanie obsadzony i będzie siedział na oślej aktorskiej ławce, Mrówczyński miał zdradzić aktorstwo dla reżyserii. Nie bardzo w to wierzę, bo do strachliwych raczej nie należy.

Jakkolwiek by było, reżyseruje od pół wieku. A gdyby reżyserował od kotyski, znaczyłoby to, że co roku dawał premierę – spektakli sygnowanych jego nazwiskiem powstało co najmniej 80.

Tak naprawdę było ich rocznie trochę więcej, bo po ukończeniu warszawskiej PWST na wydziale aktorskim (1968) Grzegorz Mrówczyński zabrał się niebawem do studiów reżyserskich, aby od roku 1975 legitymować się dyplomem magistra sztuki w tej dziedzinie. Reżyserować zaczął wcześniej, najpierw jako asystent, a w roku 1973 samodzielnie, pod opiekuńczymi skrzydłami Aliny Obidniak w Teatrze Jeleniogórskim. Początek był to nie byle jaki, bo Norwidowski „Pierścień wielkiej damy”, w którym Mrówczyński także zagrał, i to główną rolę męską – poetę Mak-Yksa, ubogiego krewnego tytułowej damy, hrabiny Harrys. Wtedy pewnie jeszcze nie wiedział, czy odda się bardziej aktorstwu, czy reżyserii.

Przedstawienie musiało się spodobać pani dyrektor Obidniak, skoro posłużyło jej jako jeden z argumentów za nadaniem teatrowi imienia Norwida. Gdy tak się stało, dwa lata później Grzegorz Mrówczyński podjął się reżyserii tragedii Norwida „Kleopatra i Cezar”. Sztuki uważanej za zawiłą i niesceniczną, do której zresztą potem wracał. Jak i do Norwida, który już go nie opuścił po dziś dzień, czego świadkami byliśmy podczas spotkania jubileuszowego, kiedy z czułością recytował znany li ryk „W Weronie”, kiedyś tak pięknie wyśpiewany przez Wandę Warską. To widomy znak, że Norwid stał mu się przewodnikiem.

Związek z Norwidem nie wygląda na przypadkowy, skoro tak odpowiadały mu sojusznicze słowa poety, który pisał: „Zaiste, być aktorem, trza być i w teatrze / Oderwać się od siebie i wejść w siebie”. Dla poety bowiem aktor to rdzeń teatru. Równie ważny zawsze był aktor dla Mrówczyńskiego (a jednak, mimo ucieczki od zawodu), który okazał się nie tylko niestrudzonym pracownikiem teatru, ale także wiernym widzkiem. „Teatr mi się nie znudził”, deklarował niedawno w jednym z wywiadów, a nie jest to wcale reguła w przypadku twórców przez tak wiele lat związanych ze sceną. Grzegorz Mrówczyński pozostał jednak głodny teatru, i to w rozmaitych formach, bo również jako pedagog czy juror Nagrody im. Stefana Treugutta

za osiągnięcia artystyczne w Teatrze Telewizji i wnikliwy interpretator twórczości innych – bez cienia zazdrości czy złośliwej satysfakcji, że komuś się nie udało.

Tak więc, jak u Norwida, u Mrówczyńskiego aktor zawsze stał na pierwszym planie. I choć jubilat nie należał do pieśzczołów recenzentów, to nawet jeśli tropili w jego spektaklach niedoskonałości, prawie zawsze zwracali uwagę na staranność rysunku postaci, na osiągnięcia aktorskie, którym sprzyjał i wydobywał je na plan pierwszy.

Choć Norwid przewijał się w jego dokonaniach niejednokrotnie, to byli w repertuarze jego teatru inni romantycy i fundamentalne teksty, na czele z Mickiewiczowskimi „Dziadami”, z którymi spotykał się kilkakrotnie, i to z niemałym sukcesem, zwłaszcza w poznańskiej inscenizacji w Teatrze Polskim. To przy okazji tej inscenizacji pisano o osiągnięciach aktorskich Wojciecha Siedleckiego

U Mrówczyńskiego aktor zawsze stał na pierwszym planie.

jako ks. Piotra, który w scenie widzenia uzyskał stan mistycznego uniesienia, i Mariusza Sabiniewicza jako Gustawa-Konrada. Co tu długo opowiadać, na tych „Dziadach” ludzie płakali. Podobne zachwyty wzbudzał też spektakl na podstawie „Nie-Boskiej komedii” Zygmunta Krasińskiego z wielkimi rolami Mariusza Puchalskiego (Pankracy) i Andrzeja Wilka (hrabia Henryk). Był Fredro, Wyspiański, inni klasycy, ale i twórcy współcześni.

Mrówczyński miał ucho nie tylko do klasyki, ale i do nowej dramaturgii, w szczególności wyczulony był na to, co ważne i pomijane. Świadczą o tym prapremiera „Normalnego serca” Larry’ego Kramera w poznańskim Teatrze Polskim (1987), pierwszego w Polsce spektaklu o gejach i epidemii AIDS; potem Mrówczyński powtórzył tę realizację w Teatrze Telewizji. Być może aby dodać odwagi swoim aktorom, dyrektor Mrówczyński wystąpił wówczas jako jeden z wykonawców, w roli (wprawdzie heteroseksualnego)

Bena. Aktorzy wstydzi się grać zakochanych w sobie mężczyzn – w połowie lat 80. niechętnie mówiło się o gejach, a zwłaszcza o AIDS. Tak czy owak, 11 sezonów dyrekcyjnych w Poznaniu dobrze zapisało się w dziejach tego teatru – nie przypadkiem mówiło się wtedy o zdrowej rywalizacji Teatru Nowego Izabelli Cywińskiej i Teatru Polskiego Grzegorza Mrówczyńskiego ku pożytkowi publiczności.

Często także sięgał po współczesną dramaturgię polską, najchętniej z najlepszymi autorami: Różewiczem, Iredyńskim, Mrożkiem, Gombrowiczem – z sukcesem przyszcepiał ich dzieła na grunt teatru rosyjskiego. Stał się prawdziwą sławą w 300-tysięcznym Orle po premierze „Rzeźni” Sławomira Mrożka.

W wiek XXI wszedł z nowymi pomysłami i misją pedagogiczną. Oddawał swój talent młodzieży, patronował jej poszukiwaniom i pierwszym dokonaniom. W podziemiach

Teatru Rampa założył Scenę Mrowisko, eksperymentalną przestrzeń poszukiwań teatralnych, gdzie wydobyło się kilka pamiętnych premier, takich jak „Matka” Witkacego czy „Krzyk słońca” Farida Nagina. Tutaj debiutowali przed publicznością studenci szkoły aktorskiej Haliny i Jana Machulskich.

Grzegorz Mrówczyński miał zawsze dobrą rękę do nowych przedsięwzięć. Jak otworzył polski teatr na problemy osób nieheteronormatywnych, tak też stał się inicjatorem i pierwszym dyrektorem słynnego dziś na całą Europę festiwalu Malta. Kto wie, jakie jeszcze szykuje niespodzianki – wiadomo, że w styczniu przyszłego roku świętować będzie 50-lecie Teatru Dramatycznego w Płocku, którego był pierwszym dyrektorem.

Podczas gali zatytułowanej wymownie „Człowiek – teatr” Grzegorz Mrówczyński odebrał Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” przyznany przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza. ■

8 i pół Urbana

Jako rzecznik rządu grał rolę demiurga. Tego, który wie. A wiedział mniej, niż mu się wydawało, choć dużo więcej, niż widzowie jego przedstawień

Ze sztuką, również o Urbanie, jest tak, że wywołuje skojarzenia. Z jednej strony, u reżysera, a wcześniej u autora, z drugiej – u widza. Jak można się domyślić, pierwsze moje skojarzenie to Fellini. Autorzy sztuki wysyłają Urbana na poszukiwanie samego siebie, proponując mu zrzucanie kolejnych masek. A raczej takiego siebie, jakiego oni sami opisali. Urban szuka więc siebie w opiniach innych. To o tyle łatwe, że spektakl rozpoczyna się od śmierci, a raczej od wyciągania Urbana z grobu. Autorzy robią to już w specjalnie przygotowanym programie do sztuki, stylizowanym na wywiad z wampirem. Wampirem z „Nie”. Choć w sumie z „Tak”, bo tak sygnowany jest program utrzymany w graficznym stylu tygodnika Urbana.

Adam Ferency gra Urbana, który gra, tak jak grał całe swoje życie. Chowa się za pseudonimami, gra z władzą, z czytelnikami, z publicznością. Jako rzecznik rządu grał rolę demiurga. Tego, który wie. A wiedział mniej, niż mu się wydawało, choć dużo więcej, niż widzowie jego przedstawień.

Z tego konkretnego przedstawienia nie dowiemy się o motywach jego postępowania, lękach, marzeniach. Raczej dowiemy się, jaki obraz Urbana zapamiętało społeczeństwo. Podziw, pomieszany z pogardą, zazdrość. Urban stał się symbolem konstatacji, testowania tolerancji systemu. Mimo że w czasach PRL osiągnął wszystko, co możliwe, i sięgnął szczytów władzy,



„Urban. Idę po was”, scenariusz Piotr Rowicki, reżyseria Bartosz Szydłowski, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie, premiera 19 kwietnia 2024

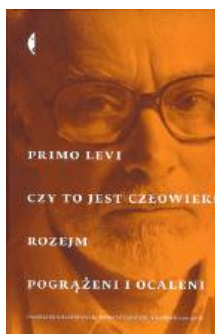
w nowej Polsce czuł się chyba lepiej. Został czerwonym baronem, księciem „Nie”, pływającym się w sławie i luksusie.

W sztuce próbuje się go zaszufładować, a raczej zapudelkować w będące częścią inscenizacji „pudła”, i upchnąć w ramy. W życiu to było niemożliwe. Udać się tylko na scenie, ale na koniec i tak Urban-Ferency przejmując cały teatr. Toczy finałowy pojedynek jak z Gombrowicza, tylko przeciwnik jest inny. Taki, który może rzucić mu w twarz: „Ty Żydzie” i któremu on może odpowiedzieć tym samym. To symboliczny pojedynek. Realnie w sądzie okręgowym Urban wygrał. Nie mógł więc przegrać w teatrze. Przecież zawsze w końcu wygrywał. Chyba. Urban jest jednym z symboli III RP nawet bardziej niż PRL. W poprzedniej epoce był jednym wielu życzliwych krytyków, by stać się jednym z filarów upadającego systemu. Choć bardziej twarzą niż rdzeniem. Słowem, nie czynem.

W III RP jego słowa miały jeszcze większe znaczenie, nawet jeśli pomijano autora i całe jego „Nie”. Jak powiedział Urban „Zdaniu”, zawsze spadał na cztery łapy. Aż do śmierci.

Adam Jaśków

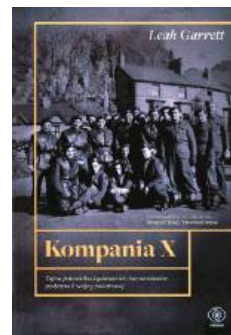
KSIĄŻKI



Primo Levi
Czy to jest człowiek, Rozejm, Pograżeni i ocaleni
przeł. Halszka Wiśniowska, Krzysztof Żaboklicki, Stanisław Kasprzysiak
Czarne, Wołowiec 2024

Zebrane w tym tomie trzy książki to w zasadzie jeden długi tekst, tyle że rozpisany na trzy głosy. W każdej z nich, od pierwszej, dość ascetycznej relacji z obozu („Czy to jest człowiek”), przez uważaną za najlepszą literacko opowieść o powrocie do rodzinnego domu („Rozejm”), aż po najbardziej syntetyczne studium świata obozowych katów i ofiar („Pograżeni i ocaleni”), Levi stara się maksymalnie wiernie opisać doświadczenie Auschwitz i jego powidoki. Szczególnie zależy mu na tym, by odpowiedzieć na pytanie o wagę i znaczenie tego wydarzenia dla nas, dzisiaj. Dlatego też zapuszcza analityczną sondę w ciemny lej pamięci, by wydobyć z niego fakty, zdarzenia, imiona własne. A wszystko po to, by precyzyjnie opisać anatomię obozowego mikroświata i zrozumieć racje, które stały u źródeł powołania do życia tej demonicznej fabryki śmierci (ze wstępu Dariusza Czai).

Leah Garrett
Kompania X
Tajna jednostka żydowskich komandosów podczas II wojny światowej
przeł. Jan Szkudliński
Rebis, Poznań 2024



Czerwiec 1942 r., III Rzesza triumfuje. Winston Churchill i jego szef sztabu tworzą nową jednostkę komandosów złożoną z żydowskich uchodźców, którzy zbiegli do Wielkiej Brytanii. Na wezwanie zgłasza się niezwykła grupa ochotników: sportowcy, artyści i intelektualiści, pochodzący głównie z Niemiec i Austrii. Wielu z nich internowano wcześniej jako obywateli wrogiego kraju. Teraz marzą o zemście. Znakomicie wyszkoleni wywiadowczo i bojowo, stworzyli Kompanię X, nazywaną legionem samobójców. Żołnierze tej wyjątkowej formacji przebyli drogę z Niemiec do Anglii i z powrotem, poprzez brytyjskie obozy internowania, plaże Normandii, pola bitew we Włoszech, w Holandii i Ardenach po koszmar obozu koncentracyjnego Theresienstadt. Leah Garrett, wykorzystując odtajnione dokumenty, po raz pierwszy tak wyczerpująco opowiada o ich losach i walce z nazistami.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wielkie żarcie na Zabłociu

Zachodzę na Zabłocie przy okazji każdej wizyty w Krakowie; niegdyś miałem więcej wspólnego z drugą stroną Wisły, mieszało się nawet przez parę lat w Żaczku, to się zachodziło do Narodowego, teraz coraz więcej znajomych na Podgórzu, w Dębnikach, a i kras podziemny miasta królewskiego w prawobrzeżnej części się rozwinął (nie licząc Smocznej Jamy). Zachodzę do MOCAK-u, bo czego by nie powiedzieć o kuratorskich intuicjach Maszy Potockiej, ważne, że o czym mówić zawsze jest – podczas gdy w Warszawie sztuka nowoczesna wciąż tuła się po galeriach lub budynkach zastępczych, Kraków swoje muzeum sztuki nowoczesnej ma już od kilkunastu lat. Właśnie otwarto 11. wystawę z serii uznawanej za sztandarową dla MOCAK-u – pokazującej jakiś aspekt codzienności w sztuce, tym razem padło na jedzenie.

Zaczyna się mocno, dla mnie, przeżywającego właśnie odchodzenie matki i gorączkowo niepogodzonego z upływem czasu, może nawet zbyt mocno – od konceptualnej „Vanitas” Oskara Dawickiego, artysty, który ma niezwykły dar trafiania w czułe miejsca mojej podświadomości. Wystawił na półkach produkty spożywcze i czasomierze, odliczające ich daty ważności – część już jest wyzerowana, pozostałe ulegną przedatowaniu wraz z przyszłorocznym końcem wystawy. Salę dalej jeszcze mocniejszy sztych w serce – praca „Zaraz wracam, mama” Krzysztofa M. Bednarskiego – stół kuchenny ułany liścikami matki, z którą mieszkał artysta, a wszystkie one są właściwie instrukcjami odgrzewania kolejnych obiadów lub informacjami, gdzie mama wyszła i kiedy wróci (skłamała tylko raz, niechcący, w ostatnim, tytułowym liściku – nie wróciła już nigdy, bo umarła). Matczyna kuchnia jako przestrzeń bezpieczeństwa, przedłużanego dzieciństwa, kulinarna troska nad synem artystą – Bednarski wystawił jej przejmujący nagrobek.

Pasaż „kuchenny” wystawy dopełnia kultowa dla feminizmu „Semiotyka kuchni” Marthy Rosler, w której artystka prezentuje przedmioty używane na co dzień do gotowania w sposób odbiegający od ich funkcji, jako narzędzia zbrodni – od razu przypomniała mi się scena z „Rekolekcji na temat mroku” Herzoga, gdzie bogato wyposażona kuchnia w warunkach wojennych

wyłącznie poprzez zmianę sytuacji i kontekstu nagle stała się salą tortur pełną narzędzi do zadawania cierpienia.

Wojny jest na tej „gastronomicznej” ekspozycji nadzwyczaj wiele – taki duch czasu niestety: mocno wybrzmiewają pokrojone na kształt kromek chleba otoczaki w „Palenicy” Żanny Kadyrowej – tytułowe słowo, oznaczające ukraińskie pieczywo, jest niewymawialne poprawnie dla Rosjan, przy kontrolach granicznych przejezdni są poddawani testowi logopedycznemu; ostatecznie ruska armia ma sobie połamać zęby na ukraińskim chlebie, gdyby chciała go odebrać. Kłuje mnie w oczy nieuzasadniona nadobecność współczesnej sztuki Izraela, z którą zostaje zestawiona jedna praca palestyńskiego artysty Khaleda Jarrara, dość słynny już filmik z przemycania przez dziurę w murze ka’ak, czyli chlebka jerozolimskiego, również wyrzeźbionego w wersji kamiennej.

Podczas gdy w Warszawie sztuka nowoczesna wciąż tuła się po galeriach lub budynkach zastępczych, Kraków swoje muzeum sztuki nowoczesnej ma od kilkunastu lat.

Feminizm także znalazł hojne przestrzenie na wystawie obmyślonej przez duet kuratorek (obok Potockiej wystawę podpisuje Martyna Sobczyk) – od dzieł klasycznych, a nawet kanonicznych, jak „Sztuka konsumpcyjna” (ta z bananem) i „postkonsumpcyjna” (ta z jogurtem) Natalii LL, przez wyraziste prace Alicji Białej („Pięć kobiet krojących cebule”, a zwłaszcza świetny „Totem” z odlanych w brązie ziemniaków), aż po fantastyczny cykl „Haftowanej zwyczajności” Alicji Kozłowskiej czy też porcelanową „Lady Kebab” Justyny Smoleń. Komentarze kuratorskie do prac w MOCAK-u owiane są już złą legendą; sam mam zbyt duży szacunek do pióra Marii Anny Potockiej, aby podejrzywać ją o autorstwo takiego np. przypisu do wspomnianej pracy Smoleń: „Artystka wykorzystuje specyfikę potrawy, aby zobrazić sytuację kobiety wrzuconej w tygiel wszystkiego i niczego, która jednak potrafi wyzwolić się z opresji”. Wszelako wystawa wystarczająco pożywna, nie trzeba jej doprawiać lekturą podobnych dopisków.

NA EKRANACH

Wśród wyschniętych traw

reż. Nuri Bilge Ceylan,
prod. Turcja/Francja/
Niemcy/Szwecja,
już w kinach



To kino nieśpieszne, ale wypełnione emocjami. I dialogami, które – wbrew przekonaniu, że w filmie powinno się operować przede wszystkim obrazem – popychają akcję, dookreślają bohaterów, tłumaczą wzajemne powiązania. Turecki mistrz („Pewnego razu w Anatolii”, „Klimaty”) znów odwołuje się do swoich mistrzów z Rosji, czuć tu wpływy i „Biesów” Dostojewskiego, i „Lolity” Nabokowa. Reżyser snuje rozważania o pragnieniu władzy, o kontroli i deprawacji, pokazując, jak Samet, nauczyciel plastyki na tureckiej prowincji, bawi się uczuciem nie tylko zakochanej w nim małolatki, ale i współlokatora, którego zeswatał z delikatną Nuray. Wybrzmiewają te refleksje najlepiej, gdy bohaterowie siadają naprzeciw siebie i zawzięcie dyskutują. Kapitalne są słowne potyczki Sameta i Nuray, którzy przy stole debatują, czy jest sens angażować się w cokolwiek w życiu społecznym. Odpowiedź musicie znaleźć sami, ja za to mogę zagwarantować, że jest sens pójść do kina.

Artur Zaborski

FESTIWAL



PalmJazz Festival 2024

W tym roku wiosna w Gliwicach rozbrzmiewa jazzem i muzyką etniczną. Jubileuszowa, 15. edycja festiwalu zapoczątkowanego przez pianistę jazzowego Krzysztofa Kobylńskiego potrwa jeszcze do 4 czerwca, kiedy ze swoim kwintetem wystąpi holenderski saksofonista altowy i kompozytor Paul van Kemenade. A wcześniej, czyli już 16 maja, usłyszymy chorwackiego gitarzystę Ratka Zjaćę i brytyjskiego kontrabasistę Nicka McGuire’a, z kolei 18 maja zagra duet włosko-polski: pianista Lorenzo De Finti i trębacz Piotr Schmidt. Po nich zaprezentują się m.in. perkusista Piotr Budniak koncertujący w ramach międzynarodowej trasy na 10-lecie swojego zespołu, pianista Leszek Kułakowski z programem opartym na traktacie Witkacego „Narkotyki” czy fantastyczne wokalistki z Zimbabwe, Nobuntu, którym towarzyszyć będzie austriacki puzonista Paul Zauner. (ap)

Więcej informacji i bilety na: www.palmjazz.pl.

**GLIWICE, CENTRUM KULTURY JAZOVIA, RYNEK 10,
DO 4 CZERWCA, GODZ. 19**

KURTyna W GÓRĘ

Komunały

Orwell napisał baśń o totalitarnym świecie przed 80 laty. Żeby pokazać dziś na scenie coś więcej niż zestaw oczywistości, trzeba mieć na „Folwark zwierzęcy” interpretacyjny pomysł. Jan Kłata takiego pomysłu nie miał.

Pośrodku słabo oświetlonej sceny wznosi się kamienny mur, przed którym gromadzą się postacie. Ich zwierzęcość kreuje choreografia Maćka Prusaka – zdecydowanie najlepszy element spektaklu. Sprytnie Prosiaki przejmują władzę w imię ideałów Majora (Roman Michalski), stopniowo uciemniając pozostałych



mieszkańców folwarku, niezbyt rozgarniętych lub, jak w przypadku konia Boksera (Grzegorz Przybył), szczerze wierzących w rewolucję. Spektakl, choć krótki, kuleje dramaturgicznie, sporo w nim dłużyzn. Drapieżny rytm, dynamiczny montaż scen, czyli wszystko, z czego teatr Klaty słynie, tu właściwie nie występuje. Jest kilka wątków zdradzających interpretacyjny potencjał. Utopijny monolog Kruka (Anna Kadulka), wykład Kwikacza (Marcin Gaweł) o hodowlanym przemyśle śmierci czy nawet niezgrabnie dopisany Orwellowi finał o korporacyjnym wyzysku. Ostatecznie jednak żaden nie zostaje podjęty. Kłata serwuje zestaw banałów o złej władzy oraz dających się zmanipulować poddanych.

Michał Centkowski

George Orwell, „Folwark zwierzęcy”, reżyseria Jan Kłata,

Teatr Śląski w Katowicach, premiera 14 kwietnia 2024

W Rampie ani Swayze, ani Jaki

Po 36 latach od legendarnego i roztańczonego „Dirty dancing”, granego u nas jako „Wirujący seks”, mamy polską wersję filmowego hitu. Też sporo w niej tańca i skocznych melodii, nawet branych z oryginalnej ścieżki dźwiękowej, ale fabuła przedstawienia jest bardzo typowa dla wesel na naszej prowincji. Są nawet lokalne żarty z kontrowersyjnego polityka czy z CPK. Ale wszystko w nastroju beztroskiej rozrywki, z gitarą, trąbką i saksofonem.

Bronisław Tumitowicz



„Wirujący seks. Polskie love story”, scenariusz i reżyseria Tadeusz Kubicz,
Teatr Rampa, premiera 18 kwietnia 2024

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

EKOŚCIEMĄ LINII LOTNICZYCH



Komisja Europejska żąda wyjaśnień od 20 linii lotniczych, które wmówiły klientom, że ich loty są ekologiczne

Kornel Wawrzyniak

Od jakiegoś czasu osoby kupujące bilety na lot mogą zauważyć, że za dodatkową opłatą linia lotnicza może „zrekompensować”, „zneutralizować” czy „zrównoważyć” emisję dwutlenku węgla w trakcie lotu. Właśnie te twierdzenia wzięta pod lupę Komisja Europejska po skardze, którą złożyła Europejska Organizacja Konsumencka (BEUC). Teraz 20 zarejestrowanych w Unii Europejskiej linii, takich jak Air Baltic, Air Dolomiti, Air France, Brussels Airlines, Eurowings, Finnair, KLM, Lufthansa, Ryanair, SAS, TAP Portugal, Volotea, Vueling czy Wizz Air, będzie musiało się tłumaczyć, czy nie stosowały nieuczciwych praktyk handlowych.

Greenwashing

Linie wmawiają klientom, że dzięki użyciu zrównoważonego paliwa lotniczego podróż samolotem będzie ekologiczna. Wystarczy ponieść dodatkowy koszt. To zabieg podobny do twierdzeń sklepów meblowych, że za drewno zużyte na dany mebel zostanie zasadzone nowe drzewo. Problem

w tym, że zazwyczaj zasadzenie jednego drzewa nie rekompensuje środowisku wytworzenia całego stołu. Tego typu praktyki, kiedy klientom wmawia się, że firma działa na rzecz środowiska lub neutralizuje swój wpływ na nie, nazywa się z angielskiego greenwashingiem, czyli ekościemą lub zielonym mydleniem oczu. Według badań przeprowadzonych dla agencji marketingu środowiskowego TerraChoice przynajmniej jedną cechą greenwashingu można wyróżnić w aż 98% produktów zbadanych przez agencję. Jest to więc zjawisko tak powszechne w marketingu jak używanie słów w sloganach reklamowych.

BEUC ocenia, że linie lotnicze stosują właśnie ekościemę – twierdzenie o „neutralizowaniu” emitowanego podczas lotu dwutlenku węgla jest z założenia błędne. Trudno jednoznacznie wskazać faktyczne korzyści dla klimatu wynikające z tzw. działań kompensujących. Doskonale za to wiadomo, jakie szkody wyrządza emisja dwutlenku węgla wynikająca z podróży lotniczych.

Dzięki ustaleniom BEUC Komisja Europejska wszczęła śledztwo mające wyjaśnić, czy zapewnienia linii lotniczych o zrównoważeniu emisji

dwutlenku węgla są realne. Europejska Organizacja Konsumencka wraz z kilkoma innymi podmiotami zajmującymi się ochroną konkurencji obstają przy tym, że praktyki linii lotniczych należy uznać za działania wprowadzające w błąd. To zaś podpada pod zakazy zawarte w art. 5, 6 i 7 europejskiej dyrektywy o nieuczciwych praktykach handlowych.

Czyste latanie? Pomarzyć można

Komisja Europejska pogroziła palcem aż 20 liniom lotniczym, że kolejne przekłamane informacje o wpływie latania na środowisko naturalne będą karane. W toku śledztwa ustaliła, że wnoszenie przez pasażerów dodatkowych opłat za „ekologizację” przelotów nie znajduje odzwierciedlenia w przeznaczaniu przez linie lotnicze wydatków na cele proekologiczne. Mamy tu do czynienia z podręcznikową wręcz wersją greenwashingu. To jednak nie koniec ściemy uprawianej przez operatorów lotniczych.

Właściwie niemożliwe jest zweryfikowanie informacji o tym, że firmy zmierzają w kierunku zerowej emisji gazów cieplarnianych. Nie ma bowiem ▶

► żadnego niezależnego systemu monitorowania działań linii lotniczych na rzecz środowiska. Według Komisji Europejskiej równie kłamliwe jest podtykanie klientom tzw. kalkulatora emisji danego lotu, kiedy nie ma wystarczających dowodów naukowych na potwierdzenie, że obliczenia emisji w ogóle są wiarygodne. Stąd kolejny wniosek KE, że wprowadzające w błąd są również porównywarki

Aktywiści i producenci biopaliw pukają się w głowę, a zdaniem Camille Mutrelle osiągnięcie 35% udziału biopaliw w 2050 r. jest prawie niemożliwie, co dopiero mówić o 70%. Sytuacja przypomina tę z narzuceniem przez Joea Bidena w USA ograniczenia emisji spalin. Nadrzędnym celem jest zredukowanie emisji dwutlenku węgla, jednak założenia są kosmiczne. W 2032 r. po amerykańskich drogach

lot samolotu napędzanego wodorym ogniwem paliwowym. Start-up Universal Hydrogen z Kalifornii posłał w niebo zmodyfikowanego Dasha 8-300. To niewielki samolot, który w nieprzerobionej na wodorową wersji jest w stanie zabrać na pokład 56 pasażerów. Universal Hydrogen ma już klienta. Jest nim inny start-up, o nazwie Connect Airlines. Firma planuje do końca 2025 r. stworzyć flotę napędzaną wodorem. Fascynujący w lataniu na wodór jest fakt, że produkuje się go w procesie elektrolizy z wody i dwutlenku węgla wy-

20 zarejestrowanych w Unii Europejskiej linii lotniczych będzie musiało się tłumaczyć, czy nie stosowały nieuczciwych praktyk handlowych.

lotów pod kątem emisji dwutlenku węgla. Według Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych (IATA) w 2016 r. rejsów z wykorzystaniem zrównoważonych paliw było zaledwie 500.

W świetle planów dekarbonizacji sektora lotniczego Unia musi dziś bardzo krytycznie podchodzić do wszelkich oszustw linii lotniczych. We wrześniu ub.r. Parlament Europejski przegłosował, że do 2050 r. na terenie Unii ekologiczne paliwo lotnicze ma wypełniać zbiorniki samolotów w aż 70%. Obecnie niecały 1% paliw lotniczych pochodzi ze zrównoważonych źródeł. Według nowych przepisów już w 2025 r. udział biopaliw ma wzrosnąć do 2%, w 2030 r. do 6%, a do 20% w roku 2035.

Camille Mutrelle z brukselskiej grupy wsparcia Transport i Środowisko mówi, że w 2050 r. połowę biopaliw mają stanowić mieszanki powstałe w wyniku np. przetworzenia zużytego oleju kuchennego czy odpadów rolniczych i leśnych. Resztę paliw stanowiłyby wyroby syntetyczne. Jednocześnie Mutrelle wskazuje, że żadne rozwiązanie nie gwarantuje oszałamiającego sukcesu: „Biopaliwa wiążą się z masowym użytkowaniem gruntów, jeśli nie pochodzą z odpadów, a produkcja paliw syntetycznych jest obecnie niezwykle energochłonna. Rodzi to wiele pytań, jeśli chodzi o sposób dystrybucji dostępnej energii odnawialnej między sektorami i o to, jaki udział dostanie lotnictwo”.

Dziś nie ma nawet pewności, czy produkcja biopaliw będzie nadążać za potrzebami sektora lotniczego.

ma jeździć aż 67% aut elektrycznych. W PRZEGLĄDZIE opisywaliśmy, jak grupa prawie 5 tys. dilerów samochodowych ze wszystkich 50 stanów napisała do prezydenta USA petycję, aby trochę przystopował, bo jego założenia są nierealne przy obecnym rozwoju elektromobilności.

Wodór i elektryki

Biopaliwa mają jednak alternatywy. Istnieje kilka rozwiązań elektrycznych i opartych na wodorze. Elektryki nie są obecnie gotowe do zastąpienia flot komercyjnych. Główny problem to bardzo duża masa baterii. Im większy samolot, tym większa bateria. W przypadku standardowego samolotu pasażerskiego, np. Airbusa A321 czy Boeinga 737, masa akumulatorów byłaby absurdalna. Nie przeszkadza to jednak latać na prąd małym maszynom, takim jak dwuosobowy Pipistrel Alpha Electro o zasięgu 140 km. Swoją konstrukcją Spirit of Innovation chwali się też firma Rolls Royce. Ta jednoosobowa maszyna pobiła w 2021 r. rekord prędkości na odcinku 3 km. Służy ona jednak do popisów, a nie do transportu. Na razie do lotów komercyjnych elektryki chce wykorzystywać norweska linia Widerøe, która zapowiadała w zeszłym roku, że samoloty oparte na prądzie będą latać między norweskimi wyspami na trasach do 300 km.

Według części naukowców obiecujące jest rozwiązanie wodorowe, ale rozwój lotnictwa opartego na wodorze zajmie jeszcze kilka ładnych lat. W marcu 2023 r. odbył się pierwszy

chwytywanego z powietrza. Potencjalnie samolot mógłby więc „dotankować” się w trakcie lotu.

Lobby paliwowe stara się jednak stworzyć wrażenie, że jedyną sensowną alternatywą są biopaliwa. Koronny argument: idąc tą drogą, nie trzeba przystosowywać infrastruktury lotnisk ani systemów samolotów. Być może właśnie dlatego, zamiast inwestować np. w wodór, zakontraktowano w zeszłym roku dostawy zrównoważonego paliwa lotniczego o wartości 17 mld dol. Według wyliczeń IATA w 2025 r. kwota kontraktów wzrośnie do nawet 30 mld dol. Wspomnijmy tylko, że według IATA w 2016 r. kwota kontraktów wynosiła zaledwie 2,5 mld dol.

Warto pamiętać, że lotnictwo odpowiada za ok. 2,4% światowych emisji gazów cieplarnianych. Między 1990 a 2017 r. ten przemysł podwoił swoje emisje. Komisja Europejska twierdzi, że gdyby lotnictwo potraktować jako kraj, znalazłoby się w pierwszej dziesiątce emitentów. Emisje związane z lotnictwem cały czas się zwiększają. Według szacunków KE liczba lotów komercyjnych w 2040 r. może wzrosnąć w stosunku do 2017 r. o 42%. Zdaniem Inês Teles, działaczki organizacji Stay Grounded, skupianie się na paliwach alternatywnych nie pomoże w walce z kryzysem klimatycznym. W Deutsche Welle aktywistka podsumowała: „Nowe prawodawstwo UE to po prostu ekościema mająca zagwarantować dalszy rozwój lotnictwa”.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Czujny jak żuraw

Ostrożność żurawi
przy gnieździe stała się
legendarna, wierzą, że
nigdy nie śpią



Konrad Malec

Słońce wzeszło już jakiś czas temu, ale poranna mgła nie odpuszczała. Słyszałem je od pewnego czasu, ale nie widziałem. W końcu mgła ustąpiła i zza wału przeciwpowodziowego nad Nerem ujrzałem je! On lekko wysunięty do przodu. Wyciągają szyje, unoszą dzioby i rozbrzmiewa klangor. Przeżycie sprzed niemal 30 lat wyryło mi się w pamięci każdym szczegółem.

Trębacz

Pierwszy raz, jeszcze przed podjęciem studiów, pojechałem wówczas w teren z zawodowymi przyrodnikami. Kolega z Ośrodka Działań Ekologicznych „Źródła” powiedział, że jeśli interesuję się ptakami, to ornitolodzy z Uniwersytetu Łódzkiego zabierają ze sobą chętnych. Tak poznałem przyszłych nauczycieli i łódzkich ptasiarzy. Tomek, mój późniejszy

nauczyciel, zauważył, że ma do czynienia z żółtodziobem, więc zaczął opowiadać o tym, co widzę.

A one? To była wczesna wiosna, żurawie przybyły na legi do Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej (tą doliną ongiś płynęła Wisła do Morza Północnego, a gdy lodowiec ustąpił, znalazła krótszą drogę na północ; by zaś dolina się nie zmarnowała, wykorzystali ją Bzura i Ner). W tamtym czasie było ich nie więcej niż 5 tys. par i chociaż liczba ich wyraźnie

niesie się nawet na kilka kilometrów, co czyni żurawia jednym z najbardziej donośnych ptaków. Moc głosu bierze się z tchawicy, która w klatce piersiowej tworzy pętlę i zagłębia się w mostek – tak powstaje znakomity rezonator. Zupełnie jak trąba w orkiestrze dętej. Klangor odbija się echem od ścian olsów, w których ptaki najczęściej gniazdują, niosąc się jeszcze dalej. Do niedawna był to sygnał dla gospodarzy, że czas na wiosenny siew.

Jako ptaki długowieczne i duże żurawie w pełni dojrzewają po pięciu latach.

wzrosła – na początku lat 90. było o połowę mniej – jest niczym wobec dzisiejszej, gdy mamy może nawet 30 tys. par. Żurawie z Polski rekolonizują Europę Zachodnią, w której wyginęły wieki temu. Te moje klangorem w duecie zawiadaniały konkurentów, że teren już zajęty. Głos

Żurawie zakładają gniazda w miejscach niedostępnych, w zatopionych olsach, na bagnach, brzegach jezior i starorzeczy. Zwykle na obrzeżach trzcinowisk lub zakrzaczeń, by w razie niebezpieczeństwa szybko zejść do wody i oddalić się niepostrzeżenie. Zawsze gdy jeden z ptaków ▶

► wysiaduje, drugi posila się w pobliżu, alarmując partnera o niebezpieczeństwie, to daje czas, by się oddalić. Gdy mój promotor chciał sfotografować żurawie na gnieździe, zastosowaliśmy sztuczkę. Do przygotowanego wcześniej szafasu podeszliśmy we dwóch. Żurawie oczywiście ulotniły się, po chwili odszedłem, starając się przy tym nieco pohłasować, by ptaki usłyszały, że się oddalam. Mariusz został na miejscu, później przyszedł po niego kolega i oddalili się obaj, ponownie zawiadamiając gospodarzy o odejściu.

Kto by pomyślał, że po latach spotkam gniazdującego żurawia tuż przy wiejskiej szosie, niespełna 100 m od zabudowań! Ze wzrostem liczności żurawi u części osłabł lęk przed ludźmi. W pierwszej chwili nie wierzyłem w to, co widzę. Ptak, w niewielkiej wiejskiej sadzawce, zachowywał się tak jak te znane mi: dyskretnie szedł z gniazda i oddalił się chylkiem, choć wszystko widziałem z wysokości drogi! Zdziwiony skonsultowałem się ze znajomymi po fachu i okazało się, że moja obserwacja nie jest odosobniona, choć większość podobnych doniesień pochodziła z terenów na zachód od Wisły. Teraz zapewne i po mojej stronie rzekłoby się to częstsze.

Muza poetów

Ostrożność i czujność żurawi przy gnieździe stała się legendarna. Starożytni wierzyli, że żuraw nigdy nie śpi – by nie zasnąć, trzyma w jednej łapie kamień, który spada mu na drugą, gdy ptak mimo wszystko przysypia. Chrześcijańscy rycerze lubowali się w pogańskich mitach, na tarczach umieszczali wizerunek żurawia z napisem *Ut alii dormant* (Aby inni odpoczęli). Owo czuwanie uwiecznił w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz, porównując do żurawiej czujności uwagę, z jaką Hrabia podglądał Zosię. Na marginesie, majestatyczne ptaki pobudzały wyobraźnię rzeszy poetów: Reja, Słowackiego, Przerwy-Tetmajera, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Konopnickiej, Staffa i chyba najlepiej wszystkim znanego Brzechwy (perypetie przedmażeńskie żurawia i czapli). Inspirowały

malarzy, przede wszystkim Chelmońskiego, który uwiecznił je w „Odlocie żurawi” i „Powitanie słońca”. Żuraw nie, to Lufthansa miała żurawia na tle słońca. Teraz już nie ma słońca jest też znakiem firmowym LOT.

Warto wskazać, że Grecy zawdzięczały swój alfabet żurawiom. Hermes obserwował odlatujące żurawie, rysując ich klucze na piasku. Potoczył wizerunki ptaków i stworzył alfabet. Dla dawnych Słowian żurawie były

Żurawie raczej nie skaczą w bok, a małżeństwo zawarte w młodym wieku zwykle trwa do śmierci.

środkiem transportu dla dusz zmarłych, łapiących je za pióra i tak docierających do wyraju. Ponadto miały wskazywać drogę wędrowcom. Podobne wyobrażenie do dziś jest popularne w Chinach, gdzie żuraw symbolizuje długowieczność. Jeśli zaś japoński skazaniec w ciągu nocy wykonał tysiąc żurawi z papieru, należało darować mu życie. Motyw ten pojawia się w filmie „Bohaterowie z Fukushimy”, gdzie matka jednego z zaginionych pracowników elektrowni atomowej składa origami w intencji syna. Jej trud jest daremny, podobnie jak trud dziewczynki, która po wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie umierała w szpitalu. Ponoć dziewczynkę znaleziono rano, z 999. żurawiem na piersi. Ta smutna historia dała początek pacyfice – przedstawia ona żurawia na tle słońca. W naszej części świata żuraw symbolizował mądrość i cnoty zakonne, ale dla rdzennych Amerykanów był oznaką zdrady małżeńskiej.

Baletmistrz

Wbrew amerykańskim wyobrażeniom żurawie raczej nie skaczą w bok, a małżeństwo zawarte w młodym wieku zwykle trwa do śmierci. Młode, dwuletnie ptaki dobierają się w pary w czasie jesiennych wędrówek. Samce są wówczas bardzo agresywne, w podnieceniu czasem atakują nawet krzaki, podlatując i częstując je kopniakami, choć częściej obrywają konkurencji. W czasie sporów czerwona skóra na

potylicy nabrzmiewa, staje się większa i jaskrawsza. Po tym też poznamy wzburzenie ptaka, a im czapeczka mniejsza, tym jest on spokojniejszy.

W parach żurawie odlatują na południe lub zachód. W kolejnym roku mogą podjąć próbę gniazdowania, z reguły nieudaną (jako ptaki długowieczne i duże w pełni dojrzewają po pięciu latach). Gdy wiosną jakaś para pojawi się na zajęтым terytorium, samce stają w szranki, podobne do

jesiennych. Zwycięzca puszy się i klangorem zawiadamia o wiktorii. Samica opuszcza ogon i skrzydła i drepce. Samiec, drepząc, podąża za nią i dochodzi do kilkusekundowego zbliżenia, po którym ptaki wykonują taniec, z odchylaniem głowy i klangorem, opuszczaniem skrzydeł, podskokami i posuwistymi krokami. Żurawi taniec jest motywem przewodnim jednej z książeczek o żubrce Pompiku Tomasza Samojlika, które gorąco polecam.

Efektem amorów u ptaków są jaja, u żurawi zwykle dwa. Wysiadywane są od pierwszego zniesienia (wiele ptaków czeka z tym do ostatniego, rzadziej zaczynają wysiadywanie w połowie zniesienia), więc pisklęta klują się w odstępie trzech dni. Pierwsze dwa-trzy dni pisklę zwykle spędza w gnieździe, potem jedno z rodziców oddala się z pociechą, a drugie opiekuje się kolejnym potomkiem, ponieważ rodzeństwo jest niezgodne i pierwotne pisklę najczęściej zabija młodsze. Rodzina łączy się ponownie, gdy młode dorosną i minie im przypadłość Kaina.

Wiele głodnych dziobów

Jesienią ptaki zbierają się na noclegowiskach, często bardzo licznych. W czasie jesiennych wędrówek może u nas przebywać nawet 150 tys. ptaków. Choć dla większości z nas spotkanie z majestatem żurawia jest powodem przyspieszonego pulsu, to niektórym tętno nie rośnie ze wzruszenia. Rolnicy skarżą się, że żurawie

niszczą im zasiewy. Cóż, żuraw jest wszystkożerny i choć zjada sporo nadwodnej roślinności, to nie da się ukryć, że na polach rośnie ta bardziej kaloryczna. Do tego skupiona w jednym miejscu i w wygodnych rządach. Od świtu ptaki w parach lub małych grupkach wylatują na pola i żerują. Rano, gdy są głodne, wołają się rozproszyć i szybko napęfnąć żołądek. Ale po zaspokojeniu pierwszego głodu warto postawić na bezpieczeństwo. Ponadto w grupie mniej czasu poświęca się na wypatrywanie drapieżników, a obfitość potencjalnych ofiar dekoncentruje niektórych napastników. O ile pojedyncze ptaki wiele nie zjedzą, o tyle ich stado może zjeść znaczną część upraw.

Obecne władze debatują nad rozszerzeniem listy gatunków chronionych, od których należy się odszkodowanie za wyrządzone straty. Wśród nich ma się znaleźć żuraw. Podobny pomysł omawiano w poprzedniej kadencji, na wniosek posłów PSL. PiS niby skłaniało się ku temu rozwiązaniu, ale wcześniej długo blokowało pomysł. Za to jeden z posłów tej partii, Jan Dziedzic, w 2019 r. chciał wciągnięcia żurawi

na wycucie, są właściwe, i zalecili dokarmianie ptaków w wybranych miejscach w celu ograniczenia strat na polach. Ale nie chcą całkowicie odciągać ptaków od pól uprawnych, w końcu żurawie lubią też zwierzęce białko, a to najczęściej pochodzi od niechcianych mieszkańców pól, których rolnicy i tak usiłują się pozbyć. Gdyby system odszkodowań był tańszy, pragmatyczni Finowie raczej nie tworzyliby zastępczych miejsc żerowania.

Wzrost liczebności żurawi nie bierze się tylko ze zmniejszenia ich strachu przed ludźmi. Wiele dobrego zrobiły w tej sprawie bobra. To one, budując system małej retencji (ten, który od połowy lat 90. nieskutecznie próbowały wprowadzić rządy), stworzyły miejsca dogodne dla żurawi, a także wielu innych gatunków, w tym rzadkich, takich jak bociany czarne, wiele kaczek, gęsy, chruściele czy krwawodzioby. Na wzrost ich liczebności mogło też wpłynąć ocieplenie klimatu – skróciło ono trasy wędrówek, nasze żurawie już nie lecą do Afryki Północnej, a przynajmniej nie tak licznie. Wiele zimuje we Francji czy w Niemczech.

Żurawie z Polski rekolonizują Europę Zachodnią, w której wyginęły wieki temu.

na listę gatunków łownych. Jak tłumaczył, umożliwiłoby to wypłaty odszkodowań dla rolników, nie chodziło mu natomiast o „szkodzenie tym pięknym ptakom”...

Finowie najpierw zastanowili się, co wiedzą o żurawach, i na początek wprowadzili system dokarmiania ptaków w pobliżu miejsc koncentracji w czasie wędrówek. Jednocześnie zlecieli badania, by sprawdzić, jak dokładnie funkcjonują żurawie w miejscach koncentracji. Naukowcy zbadali skład ich pokarmu w tym czasie, preferencje odnośnie do wielkości pól uprawnych, rodzaju upraw itp. W Finlandii najwięcej strat dotyczy pól jęczmienia (w Polsce najprawdopodobniej kukurydzy, ale nawet w tej materii brakuje danych). Naukowcy potwierdzili, że pierwsze działania, podjęte

Coraz częściej żurawie zimują również u nas w kraju, choć zapewne to ptaki z północnego wschodu.

Niewielka odległość migracji sprawia, że ptaki szybciej wracają, są silniejsze, bo niewyczerpane długim lotem, i mają więcej czasu na regenerację przed przystąpieniem do lęgów. To przekłada się na jakość jaj i silniejsze pisklęta, które mają większe szanse na dożycie samodzielności. Ale ocieplenie klimatu ma i drugą stronę, może się przyczynić do zaniku tych ptaków, równie szybkiego, jak szybka była ich eksplozja demograficzna.

Warto wiedzieć, że w Polsce zakazano odstrzału żurawi już w 1921 r., wówczas był to bardzo rzadki ptak. W latach 50. Jan Sokołowski szacował jego liczebność na nie więcej niż 500 par. Wraz ze stopowieniem

Polski, czemu winna jest również konsekwentna polityka osuszania przez nieprawidłowe melioracje i regulacje małych rzek, coraz szybciej wysychają śródpolne oczka wodne. Szybkie wysychanie zbiorników spowoduje, że gniazda żurawi będą dostępne dla drapieżników lądowych.

Mieszkam w pobliżu obszaru Natura 2000 Bagno Pulwy. To jeden z najcenniejszych terenów ptasich na Mazowszu. Często chodzę tam na ptaszyska, niemal zawsze spotykam żurawie. Zdarzało się, że leciały mi tuż nad głową, słyszałem szum ich skrzydeł. Corocznie obserwuję, jak wychowują potomstwo. Niestety, dawne bagno jest coraz intensywniej gospodarowane i zaczyna brakować miejsca dla ptaków. Nie tylko dla żurawi, ale także dla wielu innych, rzadkich gatunków, takich jak kulik wielki, rycyk, kszysk, wodnik czy błotniak łąkowy. Gospodarka wodna na tym obszarze prowadzi do coraz szybszego odpływu wód. Jednocześnie co jakiś czas pojawiają się pomysły, które ptakom nie będą służyły.

Niedawno pewna zielona firma chciała na tym obszarze postawić gigantyczną farmę fotowoltaiczną, a przecież jeszcze nie opadł kurz po awanturze, która wybuchła wokół planu przebudowania obecnej drogi utwardzonej i zamiany jej w prostą szosę pod pretekstem zapewnienia dojazdu do dostawnie kilku gospodarstw. Raport środowiskowy dla tej drogi pominął wiele chronionych gatunków i zawierał liczne nieprawidłowości. Wokół problematyki drogi zebrała się grupa mieszkańców i miłośników Pulwy – zawiązali stowarzyszenie Las Bagno Rzeki i rozpoczęli starania o ochronę tego miejsca. Na szczęście, nim doszło do scen znanych z Rospudy, regionalny dyrektor ochrony środowiska odmówił uzgodnienia warunków realizacji, nie zostawiając suchej nitki na raporcie oddziaływania na środowisko dla tej drogi.

Podobne problemy dotyczą setek miejsc w całym kraju, a to zagraża żurawiom. I innym ptakom.

Konrad Malec

Konserwatyzm, katolicyzm i kapitalizm

Czyli Polska Jest Jedna na Podhalu

Anna Wyrwik

W Spytkowicach jest jak na amerykańskim Południu. Mieszkańcy są swoi, robią biznesy, Bogu ufają, systemowi nie do końca. Gdyby w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Polska głosowała jak Spytkowice, ponad połowę Sejmu zajęłoby PiS, a drugą siłą byłaby Polska Jest Jedna. Co to za partia i jak to się stało, że w Spytkowicach zgarnęła prawie 12% głosów?

Gmina przy siódemce

Świeżo otynkowane na różne odcinienie beżu domy porozrzucane są u podnóża gór, na styku Kotliny Rabczańskiej i Beskidu Orawsko-Podhalańskiego, po obu stronach drogi krajowej nr 7. Spytkowice leżą przy niej jak amerykańskie miasta wzdłuż swoich *main streets*. Wszystko, co ważne, znajduje się przy drodze po lewej albo prawej, a boczne uliczki prowadzą do domów w głębi gminy i na stoki narciarskie. Na wjeździe od wschodu stoi przy drodze Przystań w Kabanosie, potężny kompleks hotelowo-restauracyjno-sklepowy, wyglądający jak połączenie góralskiego pałacu z futuro-secesyjną kaplicą. Tylko bardziej i mocniej, bo Podhale jest trochę jak Teksas, więc wszystko musi być większe. W Spytkowicach większe było poparcie dla partii Polska Jest Jedna, a konkretnie największe, jeśli chodzi o gminy w całym kraju – wyniosło 11,91%.

Lokomotywą listy był tam lokalny biznesmen, właściciel firmy od „wykończeń, remontów, elewacji”, Szymon Kołodziejczyk.

Do Kabanosa wchodzi pewnym krokiem, siada i zaczyna mówić o COVID-19. – Wszystko zaczęło się w okresie pandemii. W Spytkowicach zawiązała się grupa podobnie myślących prawicowych katolików. Nie zgadzaliśmy się z niesłusznymi restrykcjami i przymusem szczepień. Uważaliśmy, że to była zaplanowana akcja, którą ktoś steruje. Nikt wtedy nie myślał o polityce. Zależało nam jedynie na tym, by ludzie otrzymali prawdziwe informacje.

Podhale było jednym z najmniej zaszczepionych regionów w Polsce i taki też był klimat w Spytkowicach, że ludzie chodzili bez maseczek, a jak dostawali mandaty, nie płacili. Chwalą mi się tym i mówią, że gdyby nie kontrole, knajpy pewnie byłyby otwarte. – Ludzie psioczyli na restrykcje – mówi Ula. – Górale nie lubią,

nazywa „preparatami”, a na leczenie koronawirusa zaleca amantadynę i antybiotyki. Na fali buntu przeciw „segregacji sanitarnej” buduje ruch społeczny Polska Jest Jedna.

Wspierają go tuzy radiomaryjnej prawicy, m.in. Jan Łopuszański (były polityk chyba wszystkich prawicowo-katolickich partii III RP), dr Zbigniew Hałat (lekarz epidemiolog, swego czasu wiceminister zdrowia i główny inspektor sanitarny, który obostrzenia porównuje do nazizmu i komunizmu, a o WHO mówi, że zajmuje się „przede wszystkim promowaniem kultury LGBT czy też tzw. genderyzmu”), Jan Pospieszalski (znany ze skrajnie prawicowych mediów, lubiących nazywać się niezależnymi) czy małżeństwo Elbanowskich, których chyba nikomu nie trzeba przedstawiać.

W Spytkowicach jest jak na amerykańskim Południu. Mieszkańcy są swoi, robią biznesy, Bogu ufają, systemowi nie do końca.

gdy im się coś narzuca. Nawet jeśli z tym czymś się zgadzają, to tylko dlatego, że im się to narzuca, automatycznie się sprzeciwia.

Antycovidowe przekonania zbliżyły do siebie spytkowiczanki i Rafała Piecha.

Bóg, rodzina, ojczyzna

Przenieśmy się na Śląsk. Mamy rok 2021. Prezydent Siemianowic Śląskich Rafał Piech głośno mówi o odbieraniu ludziom wolności poprzez przymus szczepień, który według niego zaprowadzi nas do światowego totalitaryzmu. Szczepionki

Z hasłem „Bóg, rodzina, ojczyzna” na sztandarach w lutym 2023 r. rejestrują partię polityczną. Antyszczepionkowcy w Spytkowicach czują, że to jest to, i rozpoczynają pracę nad lokalnymi strukturami PJJ. Gdy przed wyborami parlamentarnymi partia rejestruje jeden z siedmiu ogólnokrajowych komitetów wyborczych, Spytkowice są liderem w zbieraniu podpisów i rejestrowaniu list. A że, jak mówi Szymon Kołodziejczyk, nikt tam nie ma parcia na szkło, bo są skromnymi, lokalnymi działaczami, jedynek proponują samemu przewodniczącemu. Rafał Piech się zgadza i nawet przyjeżdża do gminy z kampanijnym



wezwaniem: „Jeśli Polak, katolik myśli, że polityka nie jest dla niego, to kto będzie stanowił prawo w naszej ojczyźnie?”.

Powrót do normalności i tradycyjnych wartości

Po krajowej siódemce samochody pędzą bez ograniczeń, obojętne na podhalański wiatr, którego świst mam w uszach, gdy chodzę po gminie i szukam odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że Polska Jest Jedna zdobyła tu tak wiele głosów.

– Dużo ludzi ma prawicowe poglądy. Taka mentalność – wzrusza ramionami Ula. – Są religijni i konserwatywni. Z niektórymi nie da się porozmawiać, bo mają mózgi tak wyprane przez TVP.

Ula głosuje na Koalicję Obywatelską i mówi, że dobrze jej się tu żyje, ale nie odważyłaby się chodzić po wsi w koszulce z sercem KO czy tęńczową flagą.

– A chciałaby pani? – pytam.

– Myślę, że tak. Jednak ludzie o poglądach podobnych do moich tu się ukrywają. Chciałabym, by Polska była bardziej na lewo niż na prawo.

– Polska Jest Jedna? Co to jest? – sklepikarz sprawdza w internecie. – Politycy to złodzieje. Są jak świny, które gdy mają koryto, żrą, a jak rzygają, to może drugiemu dadzą.

On na PiS nie głosował, bo z Polski zrobiło prawie Białoruś, a ludzie są ślepi.

– To tak jak z wiarą. Możesz wyjść z kościoła z klapkami na oczach, a możesz się otworzyć na świat, pochodzić po nim, poczytać, pogadać z ludźmi i zmienić zdanie. Można lubić schabowego, ale warto spróbować, jak smakują pierogi.

To tyle, jeśli idzie o spytkowicką opozycję.

W wyborach parlamentarnych w 2023 r. PiS zgarnęło w gminie 55,40% głosów. Trzeci wynik miała

– Rozwinęło się tutaj – mówi Aneta, która pracuje w przydrożnej Karczmie Rusnakówka.

gdy tamci politycy walczą o stołki, oni walczą o prawdę.

– Propagujemy powrót do normalności, czyli do tradycyjnych wartości moralnych – zapewnia. – Polska Jest Jedna budowana jest na wielkim patriotyzmie. Czujemy się obrońcami wiary katolickiej w Polsce.

Myślę, że z takimi ideami większość spytkowiczów się zgadza. Mówią mi o wierze i o tym, że u nich na wszystkich czterech mszach niedzielnych są tłumy, a jeśli jakieś dziecko nie pójdzie do pierwszej komunii, to jedno i raz na parę lat, a nie że z całej klasy tylko trojka idzie jak w takim Wrocławiu. Mieszkańcy są przeciwni aborcji, choć ci młodzi już może nie tak bardzo, i cenią sobie niezależność i niepodległość. Amerykańscy południowcy by to polubili, a jakże! „Powrót do tych normalnych zasad moralnych bez wymyślania nowych ideologii, których teraz słucha świat, jak ideologia gender czy ideologia LGBT+?” Myślę, że pod tymi słowami Szymona Kołodziejczyka wielu spytkowiczów i wyborców amerykańskich republikanów by się podpisało. A że Amerykanie z Południa lubią również chrześcijańskie stacje radiowe, to tu jeździliby sobie pick-upami, słuchając RDN z tarnowskiej diecezji czy Radia Maryja, i rozmyślali

Polska Jest Jedna to prawica w nowym stylu.

KO – 11,27%, potem Trzecia Droga – 8,40% i Konfederacja – 8,05%. Czyli 75,36% dla prawicy, 19,67% dla demokratycznej opozycji, a reszta odpada i zgodnie z polskim systemem wyborczym głosy przechodzą na zwycięzcę.

Gdyby to były wyniki ogólnopolskie, PJJ raczej by się z PiS nie dogadała. Może bardziej z Konfederacją (przy samorządowych się dogadali, a teraz razem idą w wyborach do Parlamentu Europejskiego), choć Szymon Kołodziejczyk krytykuje, że koledzy partyni nie stanęli po stronie Grzegorza B., którego on bardzo szanuje za trzymanie się zasad i twardą politykę. Ogólnie jednak jego partia jest alternatywą w sporze PO kontra PiS i podczas

o rozwaleniu mainstreamowego systemu, którego PJJ też nie lubi.

Przykład? Jeden z wyborców PJJ (choć pewna nie jestem, ponieważ dyplomatycznie unika odpowiedzi, „bo po co pytam, skoro wiem?”) tłumaczy, że politycy to mafia, dziennikarze to pacholki systemu, ekolodzy to szkodnicy, ale on na pytania o PJJ i tak nie odpowie. I coś o solidarności ze swoimi jeszcze mówi.

Działki, kopalnie i stomatolog w każdej szkole

Proszę Szymona Kołodziejczyka, by powiedział coś więcej na temat programu PJJ. ▶

Jeśli Polska byłaby jak Spytkowice, byłaby to Polska biznesmenów i przedsiębiorców. Nz. urząd gminy.

- Istotne jest, żeby rodzina była podstawową wartością – deklaruje. I coraz mniej pewny siebie kręci się na krześle, powtarzając zdania o powrocie do tradycyjnych wartości moralnych, a przede wszystkim normalności, i że kampania PJJ była bez kombinacji i manipulacji. I że są niezależni. Szymon Kołodziejczyk jest chyba bardziej człowiekiem czynu niż słowa. Zerknijmy więc do internetu.

Stronę PJJ otwiera filmik z rodzinnego pikniku 2+2. Jest obur w biało-czerwoną kratę, jest kosz wiklinowy, a ojciec rodziny bawi się z ratlerkiem, wymachując smaczkami, tak że ten skacze nerwowo, aż w końcu upragniony kasek zdobywa. W tle widać łąki i pagórki jak w Toskanii, ale pewnie jest to Roztocze.

Przeglądam statut. Gdybym chciała dołączyć, musiałabym mieć „nieposzlakowaną opinię” i akceptować chrześcijański system wartości.

Przeglądam program. PJJ określa się mianem „prawdziwej prawicy”. Wspierają demokrację bezpośrednią, nie wspierają Unii Europejskiej „za wszelką cenę”, wspierają polskie rolnictwo, w tym „lokalną żywność od polskich producentów jako



każdego obywatela i jego konstytucyjnego prawa do decydowania o sobie i własnym zdrowiu”.

Piszą także sporo o Polonii. Gdyby więc Polonusi poczuł się w bidenowskich Stanach za mało amerykańsko i konserwatywnie, PJJ zachęca do powrotu „preferencyjnymi warunkami dla polonijnych inwestorów”.

Polonusi mogliby się poczuć amerykańsko choćby na wjeździe do gminy Spytkowice, gdzie stoi duży market myśliwsko-wędkarski. Przed nim jest wielki parking, bo parkingi w Spytkowicach są wielkie. Jak

Szymon Kołodziejczyk zgarnął w gminie 193 głosy. Więcej zdobyli tylko Arkadiusz Mularczyk z PiS (244 głosy) i lokalny polityk z sąsiedniej Rabki, startujący z Suwerennej Polski Edward Siarka (652). W tyle zostawił m.in. lidera listy PiS Ryszarda Terleckiego (93) i lidera swojej listy Rafała Piecha (71).

Gdy go pytam o wynik, mówi skromnie, że nie wie, że miło, że coś tam czasem działa. Dlatego ludzie go kojarzą. Partii Polska Jest Jedna za bardzo nie. Jednak do niczego nie jest im ani ona, ani jej program potrzebny.

– Dobry i miły jako człowiek, a tu ludzie głosują nie na partię, a na człowieka, bo dlaczego mam głosować na kogoś obcego, a nie na kogoś, kogo znam? – wyjaśnia sprzedawczyni w Groszku, a większego Groszka niż w Spytkowicach w życiu nie widziałam.

– Ludzie nie kierują się partią, tylko tym, czy mają zaufanie do kandydata – dodaje napotkana mieszkanka Agnieszka.

Wszyscy mówią, że ludzie programów raczej nie czytają.

Biznes, kasa, wolny rynek

Jest jeszcze jedna wartość, którą ludzie na Podhalu bardzo sobie cenią i która sprawia, że mogliby z Teksańczykami wypić kielicha.

– Rozwinęło się tutaj – mówi Aneta, która pracuje w przydrożnej

Tu ludzie głosują nie na partię, a na człowieka, bo dlaczego mam głosować na kogoś obcego?

profilaktykę zdrowotną obywateli”. Co do gospodarki, w oczy rzucają się rozwiązania podobne do konfederacyjnych i „obrona gotówki jako środka płatniczego”. Popierają też przekazanie na własność ogródków działkowych. Są za oparciem polskiej energetyki na źródłach geotermalnych i węgla oraz budową nowych kopalń i odtworzeniem starych. Co do służby zdrowia, optują za wprowadzeniem stomatologii do szkół, odchodzeniem od importu leków i nową listą substancji szkodliwych, a poza tym są za „ochroną od poczęcia do naturalnej śmierci”. Podkreślają, że powstała jako „obywatelska inicjatywa stająca w obronie wolności

w Stanach, tak i tu królują samochody. Staruszkowie na rowerach i staruszki na przystankach wyglądają jak relikty przeszłości. W markiecie wiszą ubrania najlepszych outdoorowych marek, plecaki, torby i strzelby myśliwskie. Sprzedawczynie stwierdza, że partii Polska Jest Jedna w ogóle nie kojarzy. Za to kojarzy Szymona Kołodziejczyka: – Wszyscy go znają! Bardzo się udziela!

Wszyscy tak mówią. Mąż koleżanki, kuzyn męża, sąsiad. Dobry człowiek, młody, udziela się, przeciwnik aborcji, rodzinny, pomocy nigdy nie odmawia, pogorzelcom pomaga, charytatywnie działa i piłkę nożną zorganizował dla dzieciaków.

Karczmie Rusnakówka. Głosowała „wiadomo, że na PiS” i uważa, że to dzięki PiS Polska się rozwinęła. Mówi, że ludzie nie muszą już wyjeżdżać za granicę, bo dorabiają się na miejscu. Zauważa jednocześnie, że coraz bardziej dążą do pieniędzy. – Co drugi dom tu ma jakąś działalność. Jest dużo stolarni, firm budowlanych i wykonujących domki ogrodnicze albo altanki – wymienia.

W skali kraju PJJ dostała 1,63% głosów. Szymon Kołodziejczyk liczył na więcej, ale z tak wrogo nastawionymi do partii mediami to bardzo trudne.

Jeżdżę po Spytkowicach i nie nadążam z liczeniem bilbordów reklamujących meble, siatki ogrodzeniowe, konstrukcje metalowe, wyroby z drewna, instalacje elektryczne. Według danych GUS w 2022 r. w gminie mieszkało 4,7 tys. osób. Prawie jedna czwarta aktywnych zawodowo pracuje w przemyśle i budownictwie, a niemal połowa deklaruje jako działalność przemysł i budownictwo. Buduje się tu na potęgę. Całe Spytkowice wyglądają jak w budowie. Domy drewniane à la Kamil Stoch budują się koło nowoczesnych z katalogów albo i prosto od architektów. Ludzie pompują zarobioną na biznesie kasę w domy, a budując, pewnie nie muszą nawet opuszczać granic gminy, bo wszystkie materiały są na miejscu.

Jeśli Polska byłaby jak Spytkowice, byłaby to Polska biznesmenów i przedsiębiorców. Nie byłaby to Polska prawicowa, jak z miejskich legend o pijakach w gumiakach pod sklepem czy rozmodlonych babciach w chustkach na głowie. Nie. To byłaby Polska z krótko ostrzyżonymi trawnikami, Polska w SUV-ach i drogich adidasach, w domach z katalogów bardziej już niż tych za ogrodzeniami strzeżonymi przez kamienne lwy. Byłaby to Polska zapracowana, która umie liczyć i przede wszystkim liczy na siebie.

– Chcemy wolności, by każdy mógł prowadzić swoją działalność bez narzuconych z góry zasad – mówi Szymon Kołodziejczyk. – U nas żyje dużo ludzi niezależnych, przedsiębiorców, wolnościowców. Oni nie czekają na

to, aż władza im coś da. Wolą wziąć sprawy w swoje ręce i działać.

Jeśli stereotypowa prawica, czyli PiS, to ludzie starsi, którzy Chrystusa zgodnie z tradycją łączą z socjalizmem, czyli w tym przypadku socjałem, okraszając to strachem przed innością, bo tej inności nie znają, oraz wiarą w religijno-ludową mitologię, nowa prawica wpisuje się w stereotyp młodych kapitalistów,

którzy Chrystusa połączą z wolnością rynkową, okraszając to niechęcią do inności, którą mieli okazję poznać, ale im się nie spodobała, oraz fake newsami powtarzanymi za pseudoekspertami. Tą prawicą w nowym stylu jest partia Polska Jest Jedna.

Pytanie, która prawica jest bardziej niebezpieczna.

Co dalej?

Na stronie PJJ oglądam nagranie z wieczoru wyborczego, który 15 października 2023 r. działacze partii spędzili w zakopiańskiej restauracji Karczma. Na ścianach wisały polskie flagi, twarz Jezusa Chrystusa wpisana w polskie godło i obraz

Matki Boskiej Częstochowskiej. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, zaczął przewodniczący Rafał Piech, a sala odpowiedziała, choć miny były nietęgę. W skali kraju PJJ dostała bowiem jedynie 1,63% głosów. Szymon Kołodziejczyk liczył na więcej, ale uważa, że z tak wrogo nastawionymi do partii mediami to bardzo trudne. Sądzi, że dziś zabiegany ludziom, którzy stracili zdolność oceny, właśnie media mówią, jak głosować.

Po przewodniczącym przemawiali inni niewybrani kandydaci. Byli panowie z ruchu Panem Jest Jezus, który przewodniczącemu wręczyli pamiątkowy obraz. Była pani z Lubelszczyzny, która zaintonowała „Te Deum laudamus”. Sala się rozśpiewała.

Co dalej? – Mamy ze sobą kontakt, przyjaźnimy się, bo mamy te same poglądy, dzwoniemy do siebie i nieraz się widzimy – mówi Szymon Kołodziejczyk.

7 kwietnia został wybrany na radnego gminy z lokalnego komitetu. 21 kwietnia Rafał Piech, startujący z PJJ, po raz kolejny został prezydentem Siemianowic Śląskich.

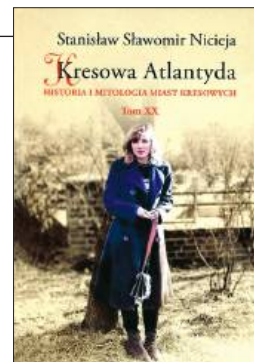
– Można powiedzieć, że cały czas jest jakiś ciąg wydarzeń – podsumowuje nowy radny Spytkowic. – Działamy dalej. My, w Spytkowicach, na pewno chcemy nadal w tych działaniach uczestniczyć.

Anna Wyrwik

KSIAŻKI

Stanisław Stawomir Nicieja
Kresowa Atlantyda
Historia i mitologia miast kresowych, t. XX
Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego,
Wydawnictwo MS, Opole 2024

Tom XX „Kresowej Atlantydy” zabiera czytelnika do trzech miast. Pierwsze z nich to Równe, najliczniejsze miasto polskiego Wołynia, miasto Targów Wołyńskich, ale przede wszystkim to jego mieszkańcy i działacze, którym marzył się nowoczesny, amerykański rozmach w budownictwie, to świetni pisarze i poeci, jak Amos Oz, Zuzanna Ginczanka, Jan Śpiewak, Czesław Janczarski czy Stefan Szajdak. Drugie miasto to Janowa Dolina, zwana wołyńską Gdynią, nowoczesne, wzorcowe miasteczko robotnicze przy słynnej kopalni bazaltu, i mieszkający tam marzyciele, którzy chcieli budować pierwsze polskie autostrady. I wreszcie Korzec, stolica polskiego fajansu i porcelany, gdzie powstawały dzieła zdobiące obecnie światowe muzea. Prof. Nicieja jak zwykle barwnie kreśli historię Kresów, a opowieści ilustruje unikatowymi fotografiami.



Anna J. Dudek

7,5 tys. zł netto miesięcznie – taką kwotę, jak wynika z badań Uniwersytetu SWPS i agencji They.pl, chcą zarabiać przedstawiciele i przedstawicielki pokolenia Z, czyli ludzie urodzonych w 1995 r. i później. Od kilku lat są obecni na rynku pracy, który uważnie im się przygląda, dziwiąc się, jak bardzo się różnią od niewiele przecież starszych mileniów.

Zetki stanowią dziś 27% populacji świata, w Polsce 20%. Przez starsze pokolenia, w tym potencjalnych pracodawców, często są określane jako „bezczelne” czy „roszczeniowe”. Przebojowe zetki od pracodawców oczekują pełnej transparentności i dobrej atmosfery w pracy – którą są w stanie szybko zmienić, jeśli coś im nie odpowiada – oraz bardzo dbają o równowagę między pracą a życiem prywatnym. Chcą pracować zdalnie lub hybrydowo, najlepiej w elastycznych godzinach. Bardzo podoba im się koncepcja czterodniowego tygodnia pracy. Chętnie się uczą, zmieniają branżę, poszukują miejsca, w którym będą dobrze się czuć i dobrze zarabiać. Łatwo się adaptują do nowego środowiska i warunków, a zmiana pracy nie jest dla nich życiową rewolucją, tylko naturalnym procesem. Od szefów oczekują przejrzystej, otwartej i rzeczowej komunikacji. To jedno z kluczowych wymagań.

Szymon, 25 lat: Czytam czasem artykuły o tym, że ktoś ma wrednego szefa, doświadcza mobbingu czy zderza się z kosmicznymi wymaganiami za niewielkie pieniądze. Dla mnie to opowieści z krypty, nie wyobrażam sobie, żebym godził się na takie traktowanie. Pieniądze nie są najważniejsze. Jak nie tu, mogę pracować gdzie indziej.

Na spokojne życie

Zdaniem 40% badanych na spokojne życie pozwala wspomniana wypłata powyżej 7,5 tys. zł netto. 39% uważa, że „spokojnie żyć” można za kwotę 5 tys. zł netto, a 15% potrzebowałoby powyżej 10 tys. na rękę. „Czuję wewnętrzną presję.



Roszczeniowi czy świadomi

Zetki chcą zarabiać dwa razy tyle, ile wynosi minimalna krajowa

Chcę dużo zarabiać, żeby mieć na wszystkie swoje wydatki, żeby utrzymać rodzinę, psy, zwierzęta”, mówi respondent.

Zuzanna Piechowicz, dziennikarka TOK FM i ekspertka rynku pracy, komentuje: „Weźmy pod uwagę koszty życia. Czy 7,5 tys. na rękę to kwota oderwana od rzeczywistości? Warto sprawdzić chociażby rynek nieruchomości, koszty kredytów czy wynajmu mieszkań w dużych miastach. Czy pенса, jaką chce się zarabiać, powinna być wzięta z kategorii »mogę za tyle przeżyć«, czy jednak »mogę za taką kwotę komfortowo żyć«? Zachęcam wszystkich oburzonych do autorefleksji: co złego w tym, że chce się zarabiać dobrze? Jakie stereotypy i uprzedzenia przez nas przemawiają, kiedy słyszymy, że

ktos wysoko wycenia wartość swojej pracy? Przecież nie wycenia przez to niżej naszej pracy. Może po prostu zazdrościmy im odwagi i odrobiny tupetu w walce o swoje?”.

Dziennikarka podkreśla, że dla pracodawców zatrudnianie zetek i negocjowanie ich wynagrodzeń, a jednocześnie dbałość o całą siatkę płac w danej firmie stanowi duże wyzwanie: „To niezwykle ważne, aby odpowiednio wyceniać i doceniać pracę poszczególnych osób w danej organizacji. A nie tylko odpowiednio reagować na odwagę i na umiejętności negocjacyjne poszczególnych osób”.

Agata, 22 lata: Pewnie, że chciałabym zarabiać więcej. Teraz dostaję na rękę 4 tys. w gastro. Mieszkam z rodzicami,

dokładałam się do rachunków, zakupów. Próbuje coś odłożyć, ale to nie jest łatwe. Po studiach chcę pracować w swoim zawodzie – studiuję psychologię – i nie wyobrażam sobie, żebym pracowała za minimalną pensję. Będę psychologiem z dyplomem, chcę zarabiać przynajmniej 6 tys. netto.

A może 3 tys. na rękę?

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w 2023 r. przeciętne wynagrodzenie wyniosło 7155,48 zł. Minimalna płaca netto od

o podwyżkę. „I dwie najciekawsze dane z tego raportu: 82% badanych uważa, że zarabia tyle samo lub mniej od osoby wykonującej tę samą pracę, a 89% nie czuje się komfortowo, rozmawiając o pieniądzach z kimś obcym. W raporcie zaznaczono, że tą osobą obcą może być w tym przypadku osoba rekrutująca lub zarządzająca”.

Według dziennikarki, kiedy zrozumiemy to tło, znowu okaże się, że zetki, mówiąc otwarcie, ile chcą zarabiać i nie podając najniższej krajowej ani nawet średniej krajowej,

Skoro ktoś zaczynał w dzikim kapitalizmie i pracował 12 godzin dziennie za niewielkie pieniądze, to znaczy, że ja też muszę? Nie ma mowy.

1 stycznia 2024 r. wynosi 3221,98 zł, od 1 lipca zaś ma wynieść 3261,53 zł netto. „Na początek przyjrzałabym się temu, co to znaczy, że chcą zarabiać 7,5 tys. zł na rękę. Od razu? Od początku? Docelowo? Ile z tych osób byłoby gotowych negocjować tę kwotę i zgodzić się pracować za mniej? I czy zdają sobie sprawę, że to nie jest pensja dostępna w każdej branży”, mówi Zuzanna Piechowicz i dodaje, że ciekawe wydają się jej pełne zdziwienia i nierzadko oburzenia reakcje na oczekiwania finansowe zetek: „Czy starsze pokolenia wpadłyby w zachwyt nad skromnością zetek, gdyby z badania wyszło, że chcą zarabiać 3 tys. na rękę? Czy wtedy to byłoby pokolenie, które się nie docenia? Czy jest właściwa kwota, którą można podać, aby nie wzbudzała emocji?”.

Ekspertka wskazuje jednocześnie, że starsze pokolenia mają problem z mówieniem o pieniądzach i negocjowaniem pensji. Przytacza tu raport „Ile mogę zarabiać. Świadomość wynagrodzeniowa Polaków” Anny Morawiec-Bartosik, z którego wynika, że tylko 21% Polek i Polaków wie, czym się różni brutto od netto. Czyli jest w stanie realnie określić, ile zarabia i dlaczego kwoty na umowie i na koncie się różnią. Z tego samego badania wynika, że 42% z nas nigdy nie negocjowało wynagrodzenia ani nie prosiło

postępują wbrew schematom stworzonym przez starsze pokolenia.

Agata: Całe to oburzenie jest śmieszne. Skoro ktoś zaczynał w dzikim kapitalizmie i pracował 12 godzin dziennie za niewielkie pieniądze, to znaczy, że ja też muszę? Nie ma mowy.

„Zetki chcą zarabiać i pracować, żeby żyć, a nie żyją, żeby pracować. Kwestia otwartości w rozmawianiu o pieniądzach i jasnego deklarowania, ile chcą zarabiać,

uczenia się od starszych kolegów i koleżanek po fachu musi zapłacić frycowe. Ta generacja wciąż nie umie rozmawiać o pieniądzach i nie dziwi się, kiedy w ogłoszeniach o pracę nie podaje się wysokości pensji. Dla tych ludzi umowa o pracę długo była trudnym do spełnienia marzeniem, więc latami pracowali na śmieciówkach. Zetki takiemu postrzeganiu pracy – i siebie samych – a firmy jako folwarku mówią „nie”. Nie chcą być tylko pracownikami, chcą mieć realny wpływ na firmę, w której są zatrudnieni, i ją współtworzyć. Dlatego oczekują, że szefowie bardziej niż kierownikami będą liderami i partnerami, których rola nie będzie się ograniczała do rozdzielania obowiązków.

„Często jest tak, że te »radikalne«, »roszczeniowe« żądania młodych osób to rzeczy w ramach prawa. I teraz przychodzi pracownik i upomina się o swoje prawo, a to wywołuje wielkie zdziwienie. Bo jak to możliwe, że pracownik ma chęć odezwać się do pracodawcy i żądać tego, że nie musi być dostępny po wyjściu z biura czy że nie bierze biurowego laptopa do domu. A słyszę tego typu historie od wielu rówieśników”, mówiła w TOK FM 23-letnia Wiktoria Jędruszkowiak, aktywistka, współzałożycielka Inicjatywy Wschód.

Może po prostu zazdrościmy zetkom odwagi i tupetu w walce o swoje?

oraz negocjowania tej kwoty to dla mnie, jako starszej koleżanki na rynku pracy, kolejna lekcja od zetek”, mówi urodzona w latach 80. Zuzanna Piechowicz.

Wymagają przestrzegania prawa

To pokolenie, które na rynek pracy wchodziło w „kulturze zapierdolu”, kiedy pracoholizm postrzegany był jako cnota, którą warto się chwalić, nie zaś jako patologia, którą jest. Pokolenie, które odbywało darmowe staże, uważając, że za swoją obecność na rynku pracy i możliwość

Niedawno głośno było o zwolnieniu młodej, nowo zatrudnionej graficzki przez szefa jednej z radomskich firm. Mężczyzna zwolnił ją na czacie, zarzucając zbyt wolne tempo pracy – mimo że dopiero się uczyła, a w firmie pracowała drugi dzień. Kiedy udostępniła wiadomość od szefa i opisała tę historię, w sieci zawrzało, a sam zainteresowany był oburzony, że dziewczyna upubliczniła korespondencję. Ale takie właśnie są zetki: bezkompromisowe i dbające o własne interesy. Już się nie boją szefów i utraty pracy. Mają zaufanie do siebie. I bardzo dobrze.

Mikołaj Gospodarek

W kolejce przed nami stali żołnierz, kobieta z małą dziewczynką na ręce i babuszka jak wyjęta z obrazu Chełmońskiego. Jurek Rajec ki doskonale zna ten bar mleczny w Bielsku Podlaskim. Wybrał to miejsce, bo jak stwierdził: „Tu jest szybko i smacznie”. Ja dodałbym też, że jak na dzisiejsze realia tanio. Za jedzenie dla nas dwóch zapłaciłem 40 zł. Z kompotami!

Bar Smak znajduje się w samym centrum Bielska Podlaskiego przy ul. Dąbrowskiego 3. Otwarty jest od 9.00, więc można zjeść już śniadanie. (...) Dla mnie kuchnia Podlasia to taka kuchnia, którą jedzą jej mieszkańcy. Do tego baru nie zaglądają tłumy turystów. Tam przychodzą mieszkańcy miasta albo ci, którzy z okolicznych wiosek przyjechali coś załatwić w Bielsku. Takich miejsc szukam i takie lubię najbardziej. Lubię jeść tam, gdzie jedzą miejscowi, i to, co jedzą miejscowi. (...)

We wszystkim jednak istotna jest równowaga. Odwiedzam więc lokalne bary, ale również takie miejsca, gdzie w menu znajdę coś, czego nie znam, lub coś, co bardzo lubię. A lubię kartacze. Wręcz kocham kartacze. Gdzie je można zjeść? Miejsce serwujących tę potrawę jest wiele. Jest to proste danie: sporych rozmiarów owalna kluska ziemniaczana nadziewana mięsem. Występuje też w wersji wegetariańskiej i wtedy w środku jest kapusta z grzybami. Generalnie zawsze zamawiam je tylko z okrasą ze skwarków i surówką z kiszanej kapusty.

Do moich ulubionych miejsc, gdzie jeżdżę na kartacze, należy Karczma Koszarka. To klasyczna knajpa przy ruchliwej drodze nr 19. Na miejscu pracują „swojaki”, a o ich kartaczach krążą po okolicy legendy. Są rzeczywiście wyjątkowo dobre, a co najważniejsze – są równe, czyli nie trafia się tam raz lepiej, raz gorzej.

Burząc mit o tym, że Podlasie to wyłącznie kartacze, polecam wybrać się na skraj Puszczy Białowiejskiej, do Narewki. Nad samą rzeką

Jak pokochałem kartacze

Smaki podlaskiej kuchni



stoi Bojarski Gościniec. Do menu wyraźnie wkradły się wschodnie smaki. Granica tuż za miedzą. W karcie znajdzie się sporo dań kuchni kresowej. Ja zamawiam tam zawsze rosół z kołdunami i lanymi kluskami oraz pierogi z dziczyzną. Lubię klimat tego miejsca. Jest to kompleks starych budowli, które przeniesiono w ten zakątek wsi, ocalono od zniszczenia, a przy okazji nadano mu drugie życie. Mam do właścicieli ogromny szacunek, bo to oni przyjęli mnie pod dach bladym świtem, tuż po tym, jak zarwał się pode mną lód w czasie fotografowania żubrów. (...)

Do listy moich ulubionych miejsc z pewnością zalicza się również restauracja Pod Sokółem w Sokółce. Tam zawsze mam dylemat – czy wybrać danie dnia, czy zamówić dwa razy żurek. Z daniem dnia sprawa ma się podobnie jak w przypadku

Bielska Podlaskiego. Na obiad w dobrej cenie zagląda tam sporo mieszkańców, więc i ja lubię zjeść to, co danego dnia jedzą wszyscy. Spróbowałem tam jednak kiedyś żurku i od tamtej pory w menu mógłby być tylko on. W restauracji króluje kuchnia polska. Właściciele przygotowują dania na bazie lokalnych produktów i to się czuje w smaku każdej potrawy. Nigdy też nie trafiłem tam źle.

A zaglądając do Sokółki, nie odmawiam sobie również przyjemności zjedzenia bodaj najlepszych lodów na całym Podlasiu. Mowa tu o lodziarni i palarni kawy Stara Szkoła. Jeśli chodzi o pomysłowość w kwestii smaków lodów, nie mają sobie równych. (...)

Byłbym ignorantem, gdybym, będąc w okolicach Sokółki, pominął kuchnię tatarską. Na wyciągnięcie ręki są przecież Bohoniki i Kruszyń. W tej drugiej wsi znajduje

się słynna Tatarska Jurta. Kołduny, manty, czebureki, bielusz czy pieriekaczewnik to istotnie nazwy brzmiące obco i nieco egzotycznie. Ideą tej restauracji jest kultywowanie tradycyjnej kuchni tatarskiej, więc wszystko, co trafia na talerz, jest zanurzone w historii. Nie są to dania skomplikowane, ale zarówno ciekawe połączenia składników, jak i sposób przyrządzenia sprawiają, że warto wybrać się tam chociażby po to, żeby spróbować tych niecodziennych smaków. (...) Jest to bardzo popularne miejsce, którego renoma budowana jest od lat. Stąd nie dziwią długie kolejki do wejścia czy brak wolnych stolików.

W Bohonikach, choć na dużo mniejszą skalę, skosztować można również specjałów kuchni tatarskiej. Tuż obok meczetu znajduje się agroturystyka U Mahmeda. Atmosfera jest inna niż w Kruszynianach, a karta aktualizowana na bieżąco. Nawet jeśli jakiegoś dania nie ma w menu, to dba się o to, żeby nikt nie wyszedł głodny.

Brakującym puzzlem w wielokulturowym tyglu podlaskiej kuchni są tradycje żydowskie. W tym przypadku bezspornie można wskazać Tykocin. Znam tam jeden adres, pod który mogę bez obaw odesłać każdego, kto chce spróbować dań kuchni żydowskiej. Jest to Villa Regent przy ul. Sokołowskiej 3. Tuż obok stoi Wielka Synagoga, więc trudno o lepszą lokalizację. Czulent,

Wszystko, co trafia na talerz, jest zanurzone w historii.

kugel ziemniaczany, kreplachy to najczęściej wybierane przez ciekawskich dania. Jedynie czulent zrobił na mnie wrażenie czegoś nowego, bo jest to szabasowe jednogarnkowe danie na bazie mięsa wołowego, fasoli, kaszy pęczak, warzyw i jajek (uprzedzam, że porcja jest solidna).

Miejsce, które uważam za kultowe, jest bar U Dany. Mówi się o nim „bar w Wiźnie”, a tak po prawdzie to znajduje się on na

skraju wsi Ruś, tuż obok mostu na Narwi. Obok mknie droga krajowa nr 64 łącząca Łomżę z Białymstokiem. U Dany wszystko jest spójne – menu, wystrój i klientela. Siedzący przy stolikach dzielą się na bardzo lokalnych i bardzo przyjezdnych. Jest to jedno z niewielu miejsc w okolicy, gdzie można zjeść, więc zaglądają tam wszyscy głodni: fotografowie, ornitolodzy, turyści, zawodowi kierowcy oraz

Menu może być uboższe, ale liczy się smak.

Tego w podlaskiej kuchni nie brakuje.

wędkarze. Wśród nich czasem pojawiają się miejscowi i to właśnie oni, moim zdaniem, przydają temu miejscu największego kolorytu. Fakt, że można ich tam spotkać i mimowolnie podsłuchać, o czym i jak rozmawiają, jest bezcenną lekcją podlaskiej mowy, ale też podjęcia do życia. Mnie się to bardzo podoba! Oczywiście nie zawsze trafiam tam na takie regionalne smaczki. Często, zwłaszcza wieczorem, po sezonie, jestem zupełnie sam. Nigdy jednak nie odesłano mnie z tego baru z kwitkiem. Zdarzyło mi się podjechać tam bladym świtem i choć było zamknięte, to już po 10 minutach na stole wylądowała jajecznica na boczku i pajda chleba. W myśl podlaskiej zasady, że podróżnego nie zostawia się głodnego. (...)

Byłbym kłamcą, twierdząc, że przez te ponad 20 lat odwiedziłem tylko te opisane miejsca. Byłem oczywiście w restauracji w Dobarzu, jadłem w wielu restauracjach w Tykocinie, Białowieży czy Supraślu. Istotną cechą dla mnie jest również dostępność, bo w większości miejsc, o których napisałem, można smacznie zjeść przez cały rok. Oczywiście im dalej od wakacji, tym menu może być uboższe, ale liczy się smak. Tego w podlaskiej kuchni nie brakuje. (...)

Mieszkańcom Podlasia niekoniernie jest po drodze z restauracjami. Moja miejska natura podpowiada mi ciągle, że przecież tam jest taki potencjał! Tyle kilometrów gastronomicznej pustyni bez ani jednej knajpy. Uciąłem sobie pewnego razu pogawędkę z miejscowymi przed sklepem w jakiejś maleńkiej wsi nad Narwią. Pytałem ich, gdzie w okolicy można coś dobrego zjeść w restauracji. Mówili mi jedynie o Białymstoku. Zacząłem więc dopytywać i w tej rozmowie padły, moim zdaniem, ważne słowa o mentalności mieszkańców tych terenów.

– Panie, my to w domu gotujemy. Łobiad, jak się robi, to i na trzy dni byndzie. Człowiek ze pola przyjdzie czy z lasu przyjedzie, to i łakomy do gara zajrzeć. A gdzie tam jeździć, szukać, płacić majątek i na kuniec to jeszcze głodnym wyjść? U nas w domach się gotuje z dziada pradziada. Kobiety się znają i nikt tak nie uwarzy stawy jak to. A do restauracji to i owszem, pojedziem czasem, ale to, panie, łód świnta albo jak jaka okazja się nadarzy. Tera to młode ino patrzy, coby do miasta pojechać. Panie, te były z parówkami na cepeenie kupujo. Świat się zmienia, ale my tu nadal gotujemy i gotować bendziem. U nas, panie, tak już jest.

Po tej rozmowie zrozumiałem, dlaczego w tym regionie występują głównie dwa rodzaje restauracji. Dzielą się one na te położone przy głównych drogach krajowych oraz na te kultowe, pokroju Tatarskiej Jurty czy Ziołowego Zakątka. Istnienie tych pierwszych ma sens dzięki przyjezdnym, którzy przystają na obiad w drodze. Te drugie miejsca obrosły w legendy i niczym magnes przyciągają turystów i ciekawskich z ogromnego obszaru. Fakt, że tych miejsc jest mało, sprawia, że cieszą się dużym ruchem. Obecnie, co widać gołym okiem na parkingach przed restauracjami, trendy się zmieniają. Młodsze pokolenie zdecydowanie chętniej jada poza domem.

Fragmenty książki Mikołaja
Gospodarka *Jak poznać Podlasie?*,
Pańny Buriat, Kielce 2024



Dyplomacja rocznicowa

Anna Maria Anders, pani w wieku 73 lat, jest ambasadorem RP we Włoszech od roku 2019. Innymi słowy, jako osoba w wieku mocno emerytalnym podjęła pierwszą pracę w służbie zagranicznej, i to od razu – ambasadora. Nie ma co ukrywać – polska dyplomacja pożytku z niej nie miała. Ale jest szansa, że już na koniec urzędowania w Rzymie jakieś plusy pani ambasador na swoje konto zapisze. Po prostu 18 maja mamy 80. rocznicę bitwy pod Monte Cassino, no i jako córka „tego” generała będzie miała swoje minuty. Nie tylko wśród Polaków.

W ramach obchodów planowane jest nadanie imienia gen. Andersa jednej z ulic w Rzymie. Rada miejska tę decyzję podjęła, choć nie wskazała, która ulica byłaby godna nosić to imię. W lipcu uroczystości „andersowskie” będą też miały miejsce w Ankonie, więc wiadomo, jaka postać najlepiej je uświetni. Dobrze i to.

A 18 maja pod Monte Cassino? Żeby była jasność – MSZ pełnić będzie w tym wszystkim funkcję pomocniczą. Chociaż organizować będzie różne okolicznościowe imprezy, łącznie z pokazem filmu „Czerwone maki”, m.in. na Litwie i w USA.

Natomiast główne uroczystości na cmentarzu organizują Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Według planów przyjętych jeszcze w ubiegłym roku przez poprzednią ekipę.

Na cmentarzu będzie ponad 4,5 tys. osób z kraju i zagranicy. Wśród nich ostatni żyjący veterani 2. Korpusu Polskiego. Żyje ich jeszcze ok. 20, a są to osoby mające 100 i więcej lat, z tego sześcioro ma na Monte Cassino przylecieć.

Z Polski przelot będzie się odbywał specjalnym samolotem, udostępnionym przez premiera, lecieć nim będą przedstawiciele delegacji kombatantów, z różnych organizacji, a także sybiraków. Osobnym samolotem na uroczystości ma przybyć prezydent Andrzej Duda.

Nie ma co ukrywać, powinniśmy się spodziewać wielkiej pompy, dla prezydenta i dla polskiej prawicy to przecież ważna okazja, by się zaprezentować. Szykujmy się więc na bitwę o to, kto większy patriota.

Bitwa ta rozegra się w cieniu pomnika gen. Andersa, który ma być odsłonięty 19 maja. Nawiasem mówiąc, jest w tym pewna ironia historii. Gdyby bowiem Anders żył w czasach PiS i służył w MON albo pracował w MSZ, natychmiast zostałby wyrzucony i opluty. Z prostego powodu – w roku 1910 zgłosił się jako ochotnik do rosyjskiej armii i służył w niej wiernie. Doszedł do stopnia sztabsrotmistrza, ukończył też kurs Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu. Panie Rau, to gorzej niż MGIMO!

Wracając do głównych uroczystości, wszystko zaplanowano pięknie: będzie te 4,5 tys. ludzi, będą harcerze (przyjadą z Polski), będą veterani. Ale, jak alarmują co poniektórzy, nie będzie... toalet. Jest na Monte Cassino muzeum pamięci zbudowane na 70. rocznicę bitwy, ale nie ma ono zaplecza sanitarnego. Jeśli więc ktoś z odwiedzających cmentarz wojenny potrzebuje skorzystać z toalety, musi iść do klasztoru kilkaset metrów dalej. Kłopot jest już przy paru autokarach. A przy ponad 4 tys. gości?

Attaché

Rosjanie świętują Dzień Zwycięstwa, 79. rocznicę pokonania nazistów w II wojnie światowej. Władystok, 9 maja 2024 r.





PENETRACJE

DUŻYFORMAT

PROF. EWA ŁĘTOWSKA,

B. RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH, SĘDZIA TRYBUNAŁU KONSTITUCYJNEGO W STANIE SPOCZYNKU

Sąd Najwyższy... Jak by to powiedzieć... No, sędziowie nie umieją się znaleźć w tym wszystkim. Co jest też akurat bardzo dobrym przykładem na to, że sędziowie właśnie nie myślą politycznie. Gdyby sędziowie myśleli politycznie, to przede wszystkim by dwóch wniosków o wygaszenie mandatów Wąsika i Kamińskiego nie rozdzielili na dwie sprawy, tylko prowadzili jako jedną. W związku z tym ona by trafiła do jednego sędziego. Teraz w SN jest tak, że oni tam mają raz skład złożony z tych sędziów neo, a raz tych prawidłowych – losują raz z jednego zbioru, raz z drugiego. Sprawa Kamińskiego trafiła do sędziego prawidłowego. Sprawę Wąsika złapał neosędzia z Izby Pracy i poniósł do Izby Kontroli Nadzwyczajnej. Choć tego robić nie powinien. Bo jak sprawa wpływa do jakiejś izby, to się ją w niej rozpatruje. Ale Sąd Najwyższy sam jest przecież skłócony...

PlusMinus

PROF. ALEKSANDER HALL,

UCZESTNIK OKRĄGŁEGO STOŁU

Uczestnikiem obrad w Magdalence był Lech Kaczyński, który zawsze Okrągłego Stołu bronił. To później pojawił się spór w naszym obozie o to, co zrobiliśmy z tym zwycięstwem, czy należycie je wykorzystaliśmy. Jarosław Kaczyński grubo po Okrągłym Stole mówił, że tamto porozumienie było konieczne. Ale gdy nastąpiła jesień ludów, trzeba było iść szybciej, należało dokonać przyspieszenia politycznego. I takim przyspieszeniem była kampania na rzecz prezydentury Wałęsy. Jednym słowem, odrzucam te zarzuty o zdradzie w Magdalence, bo są absurdalne. Jedna rzecz jest stale wyciągana – że przy takich spotkaniach pito wódkę. Ja bym tę wódkę darował, chociaż sam jej nie piłem.

TRIPONNIK
ANGORA

MICHAŁ FISZER,

EKSPERT WOJSKOWY

Na podstawie porozumienia z 25.02.1967 r., podpisanego w Moskwie między marszałkami Andriejem Greczką a Marianem Spychalskim, Polska przyjęła na swoje terytorium sowiecką broń jądrową, w tym również dla nas, na zasadzie podobnej do Nuclear Sharing. Jednocześnie otrzymaliśmy liczne środki jej przenoszenia, głównie wyrzutnie rakiet taktycznych i taktyczno-operacyjnych, ale też samoloty dostosowane do jej przenoszenia. Broń jądrową do Polski przywieziono pod koniec 1969 r. i ulokowano w trzech składach – Podborsko koło Polczyna-Zdroju (60 głowic), Gródek pod Złotowem (61 głowic) i Templewo koło Międzyrzecza (56 głowic). Broń sowiecką składowano w Strachowie pod Szprotawą, w Podborsku, w Sypniewie pod Bornem Sulinowem i w okolicach Duninowa pod Ustką. Broń została zabrana z Polski najpóźniej w 1990 r., a przyspuszczalnie już w 1989 r.

VIVA!

FILIP CHAJZER,

PREZENTER RADIOWY I TELEWIZYJNY

„Postać niejednoznacznie pozytywna”. Najpiękniejsze zdanie, jakie usłyszałem o sobie. Opowiedział mi tę historię przyjaciel, producent telewizyjny, który poszedł do Edwarda Miszczaka z pomysłem na program w TVN i prowadzącego ten program. Podobno Edward, gdy to usłyszał, usiadł na swoim wielkim fotelu za wielkim biurkiem – przy ul. Wiertniczej 166, trzecie piętro, gabinet dyrektorski – zadumał się, spojrzął w okno i drapiąc się po brodzie, powiedział: „Hmm, Chajzer... Ale ty wiesz, że to jest postać niejednoznacznie pozytywna?”. Program nigdy nie powstał, został tylko cytaty.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: LINA, MOST, PRÓG, SZOK, TAŚMA, RZECZ, SZTAB, KONIK, GROBLA, SWETER, SPRZĘT, WYCZYNY



Aby język giętki...

KRZYSZTOF VARGA O SZYMONIE HOŁOWNI

Ma ego wielkości układu słonecznego, ale jest nieprzeciętnie błyskotliwy i odczytany.

JAROSŁAW KUŹNIAR O PRACOWNIKACH MEDIÓW PiS

To były przede wszystkim statywy do mikrofonu PiS. Adamczyk, Holecia i kilku innych codziennie o godz. 19.30 próbowali opowiadać świat, który nie istnieje.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA O GRZEGORZU NAPIERAŁSKIM

Wartości jakoś się go nie trzymają. Przeszedł z lewicowej partii, w której był szefem, do liberalno-konserwatywnej, w której nosi halabardę w tłumie.

JERZY STUHR O STRACHU

Najgorszy jest ciągły strach o utratę kontroli nad pamięcią.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI O UKRAINIE

Ukraina z takim poziomem korupcji, a przy tym z tak silnym rolnictwem, nie może stać się członkiem Unii Europejskiej.

JAKUB KWIATKOWSKI O DARIUSZU SZPAKOWSKIM

Nie mam zamiaru powiedzieć: to jest twój ostatni mecz i po nim kapcie, fotel bujany i telewizor.

KATARZYNA DOWBOR O URSZULI DUDZIAK

Miała 70 lat, gdy poznała swojego kapitana. To superczłowiek. Jest przeszczęśliwa.

HANIA RANI O DISCYPLINIE

Genialna w szkołach muzycznych czy artystycznych jest nauka dyscypliny.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz,
 Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek,
 Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
 Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
 Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta,
 Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
 Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
 Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
 Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
 Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
 Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
 07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

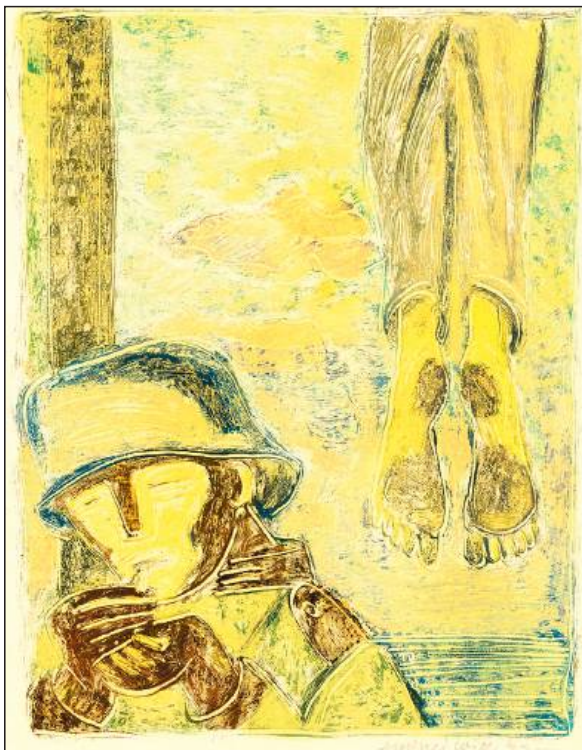
KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

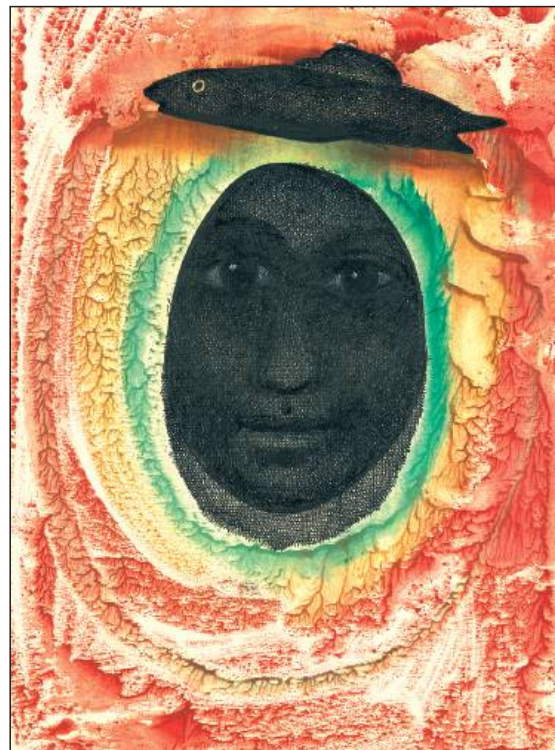


Andrzej Will (1914-1992)

110. rocznica urodzin artysty



Żołnierz z papierosem, monotypia, 1949



Głowa, linoryt, 1970

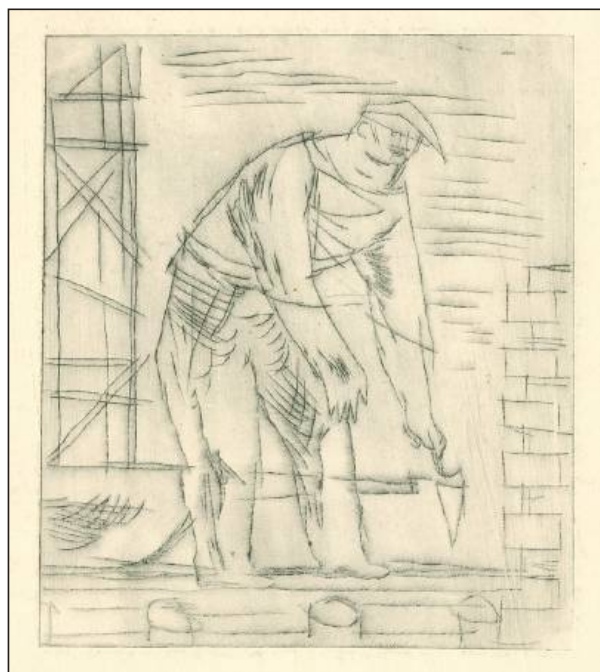
Bohater wystawy, malarz, grafik i rysownik, był postacią niezwykle barwną. Miał wiele zainteresowań: sport, dziennikarstwo, teatr, wędkarstwo. Polska sztuka zawdzięcza mu wiele jako artyście, a jeszcze więcej jako organizatorowi życia artystycznego w kraju. Wszędzie było go pełno. Jego własne życie splecione było z historią Polski XX w.: odzyskaniem niepodległości i związanymi z tym przemianami społecznymi, przemysłowymi i politycznymi, horrorem II wojny światowej

z bombardowaniami, obozem pracy i unicestwieniem Wrocławia, potem odrodzeniem kraju w nowej rzeczywistości politycznej, wreszcie transformacją ustrojową po roku 1989.

Muzeum Niepodległości w Warszawie
pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
do 30 września



Karykatura z okresu okupacji: Benito, Nietzscho ci nie pożałuję... „Demokrata”, 12 sierpnia 1943



Murarz, sucha igła, praca niedatowana

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

THE OLD OAK

OSTATNI FILM KENA LOACHA

„Wiatr buszujący w jęczmieniu”
„Ja, Daniel Blake”



FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY



MFF w Locarno
Nagroda publiczności

Wzruszająca
historia przyjaźni
w świecie pełnym
nienawiści

THE OLD OAK

W kinach od 10 maja





FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ



Uważasz, że
dzieci zasługują
na bezpieczne
dzieciństwo?



Podpisz apel!